KULISY POLSKIEJ POLITYKI

Warzecha docieka, dlaczego partii Tuska nie spada poparcie



Semka bez taryfy ulgowej o autobiograficznej książce Ziemkiewicza



Dlaczego papież Leon XIV obarcza Kościół winą za niewolnictwo?

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 24/684 8–14 CZERWCA 2026
CENA 13,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Gdzie zniknęli słudzy Ukrainy?

PREZYDENT ANDRZEJ DUDA ODZNACZA W 2023 R. PREZYDENTA WOŁODYMYRA ZEŁENSKIEGO ORDEREM ORŁA BIAŁEGO

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

epresa.pl 612cf85725

Od ponad dekady tworzymy jedno
z najbardziej opiniotwórczych mediów w Polsce

SPÓŁKA AKCYJNA
DO RZECZY



Do Rzeczy S.A.
Spółka notowana na rynku **NewConnect (GPW)**
Symbol giełdowy: **DRZ**

WOLNOŚĆ SŁOWA MA WARTOŚĆ - TAKŻE GIEŁDOWĄ

Od 28 kwietnia 2026 możesz nas nie tylko czytać,
ale również zostać akcjonariuszem Do Rzeczy S.A.

ZAINWESTUJ
W NIEZALEŻNE MEDIA
Twoje media. Wspólna sprawa.

Dowiedz się więcej:
www.DoRzeczySA.pl

eprasa.pl 612cf85725

Nagły cud odzyskania wzroku



PAWEŁ LISICKI

Jak to się właściwie stało, że tak bardzo zmieniły się w Polsce nastroje w stosunku do Ukrainy? Dlaczego skandaliczna decyzja prezydenta Wołodymyra Zełenskiego, by jednej z ukraińskich jednostek wojskowych nadać miano bohaterów UPA, wywołała wreszcie masowe oburzenie, do tej pory cierpliwych Polaków? Dlaczego prezydent Karol Nawrocki, który jeszcze trzy lata temu twierdził, że Ukraińcy mają prawo wybierać sobie takich bohaterów, jakich chcą, postanowił zareagować i złożyć wniosek o odebranie najwyższego polskiego odznaczenia prezydentowi Zełenskiemu, które to przecież zostało mu nadane przez Andrzeja Dudę? Czyżby decyzja Zełenskiego była tą kroplą, która przelała czarę goryczy?

Co się bowiem tyczy stosunku do Ukrainy, obie główne partie po roku 2022 wręcz prześcigały się w okazywaniu swojego zaangażowania na rzecz Kijowa. Jedni i drudzy zachowywali się tak samo i tak samo przyjęli manichejski obraz świata polityki, w którym to jedynym złem była Rosja.

Po pierwsze, nie wolno było o problemie banderyzmu w ogóle wspominać. Nie wolno było wspominać, bo problemu nie było, a jeśli pojawiały się oznaki kultu UPA – flagi, emblematy, nazwy ulic, pomniki – to miały one wyłącznie charakter marginalny. Ot, gdzieś na boku, przypadkiem, bez znaczenia. Jeśli już ktoś uparcie próbował wskazywać nie na odosobnione zdarzenia, ale dostrzegał zjawisko odrodzenia banderyzmu, to znaczy, że uległ „rosyjskiej propagandzie". Tak wyglądała pierwsza faza: całkowite wyparcie.

Polscy politycy wychodzili z założenia, że skoro dla ideologii czystości etnicznej nie ma miejsca w ich świecie, to nie może być dla niej miejsca i na Ukrainie. A ponieważ większość z nich obsadziła Ukraińców w roli wice-Polaków – przy pomocy Ukrainy można było zrealizować wreszcie marzenie o zwycięstwie nad Rosją – to też nie chciała za nic przyjmować do wiadomości niepokojących informacji. To, co nie ma prawa istnieć, nie istnieje. A jeśli istnieje, to tym gorzej dla tych, którzy to widzą. Na straży tego niewidzenia stali zagończycy i aktywiści, którzy gotowi byli skakać do gardła każdemu, kto widział to, czego przecież nie było.

Jednak wypieranie rzeczywistości też ma swoje granice. I tak się stało też w stosunku do Ukrainy. Kiedy okazało się, że nie da się już nie dostrzegać kultu zbrodniarzy z UPA, polscy politycy próbowali wybrnąć z tej sytuacji, opowiadając, że to sprawa Ukrainy. Każdy sobie rzepkę skrobie i to, kogo czczą, a kogo nie Ukraińcy, to nie nasza sprawa. Problem polega na tym, że w ten sposób znosi się jakkolwiek rozumiane uniwersalne zasady moralności. Co gorsza, nawet przyjmując taką skrajnie relatywistyczną postawę – niech w Kijowie stawiają pomniki mordercom – trudno było wytłumaczyć, dlaczego Polacy mają wspierać państwo, którego oficjalnymi bohaterami stają się masowi zabójcy Polaków?

Odpowiedź brzmiała, że to nie szkodzi, bo ostatecznie może przywódcy UPA mają na rękach polską krew, ale to było dawno. Teraz to nie ma znaczenia. Oddawanie czci Banderze i Szuchewyczowi jest potrzebne, bo dodaje ducha walki Ukraińcom w wojnie z Rosją. A jak wiadomo, wojna z Rosją jest dziejowym przeznaczeniem Polski, bo Rosja jest państwem zbrodniczym i musi z definicji Polskę zaatakować.

Jest to wciąż retoryka obozu rządowego. Może nam się kult Bandery nie podobać, ale skoro Ukraińcy go potrzebują, to trzeba to przyjąć. Trzeba to przyjąć, bo jak to zostało zapisane w polsko-brytyjskim traktacie podpisanym przez Donalda Tuska, „kierując się trwałym zaangażowaniem na rzecz suwerenności i integralności terytorialnej Ukrainy w jej międzynarodowo uznanych granicach, Strony potwierdzają swoje niesłabnące wsparcie wojskowe dla bezpieczeństwa i niepodległości Ukrainy". No to jak można jednocześnie ogłaszać swoje „niesłabnące wsparcie" i zobowiązywać się do „zaangażowania w przeciwdziałanie i powstrzymywanie rosyjskiej agresji oraz wszelkich form ingerencji z jej strony" oraz podważać morale Ukraińców, którzy walcząc z Rosją, chronią Polskę?

Do niedawna dokładnie w ten sposób mówili politycy PiS: wojna z Rosją jest rzeczą świętą, dlatego trzeba przejść do porządku dziennego nad niebezpieczeństwem, jakim jest ukraiński nacjonalizm. Może ma on niemiłe strony, ale ostatecznie służy jedynej, dobrej sprawie, a więc mobilizacji Ukraińców. Walka z Moskwą jest koniecznością dziejową, bo gdyby nie Ukraina, Polska by zginęła.

Teraz ta opowieść legła w gruzach. Można powiedzieć: lepiej późno niż wcale. Ale można też zauważyć, że znaleźliśmy się w osobliwej sytuacji – z jednej strony jest traktowana przez Polskę jak wróg śmiertelny Rosja, z drugiej coraz bardziej skonfliktowana z nami, przekonana o swoich racjach Ukraina. A wszystko to skutek, nie mam wątpliwości, niedojrzałości, wręcz dziecinności polskiej klasy politycznej. ©℗

eprasa.pl 612cf85725



TEMAT TYGODNIA

16 ADAM WIELOMSKI
NIEWIDOMI W WARSZAWIE. GDZIE ZNIKNĘLI SŁUDZY UKRAINY?
Dlaczego Zełenski czci żołnierzy UPA?

20 ROZMOWA Z LESZKIEM ŻEBROWSKIM
STRACHY NA LACHY W REALU

KRAJ

24 ŁUKASZ WARZECHA
DLACZEGO TUSKOWI NIE SPADA?
KO silna słabością PiS

27 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
FARSA „ROZLICZEŃ"

30 PIOTR SEMKA
BEZ TARYFY ULGOWEJ. KRÓTKI KURS ZIEMKIEWICZOLOGII

33 ROZMOWA Z DR. MICHAŁEM GULCZYŃSKIM
MĘŻCZYŹNI TEŻ SĄ DYSKRYMINOWANI

36 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
ŚMIERĆ NA ŻYCZENIE

KULTURA

40 ARKADIUSZ SIWKO
LOS CZŁOWIEKA W CANNES
O to chodzi w kinie

42 PIOTR GOCIEK
SUPER-NOIR

44 GRZEGORZ KONDRASIUK
ORESTES NA DZIŚ I NA ZAWSZE

NIE PRZEGAP

46 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

50 MACIEJ PIECZYŃSKI
NIEBEZPIECZNE MRZONKI
Rosja nie potrzebuje resetu z Polską

53 ZIEMOWIT MIŁOSZ MALECHA
BIOETYKA PRZYMUSU

54 FILIP MEMCHES
WSPÓŁCZESNA DULSZCZYZNA

56 SERGIUSZ MUSZYŃSKI
ABSURDALNE PRZEPROSINY LEONA XIV. KOŚCIÓŁ A NIEWOLNICTWO



HISTORIA

58 GRZEGORZ MAJCHRZAK
CZERWCOWE „KAMASZE"
50. rocznica kolejnej komunistycznej „branki"

ŚWIAT

62 OLIVIER BAULT
ORBÁN KARANY, SÁNCHEZ CHRONIONY
Praworządność po europejsku



65 PIOTR WŁOCZYK
ORMUZ DO KWADRATU

EKONOMIA

70 JACEK PRZYBYLSKI
UWODZICIELSKI SMAK GWIAZDEK
Szybki awans polskiej gastronomii

SPORT

74 TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT
NOCE I DNI Z PIŁKĄ
Mistrzostwa świata, czyli święto futbolu

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, POSPIESZALSKI (8), JASTRZĘBOWSKI (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (61), PRZYBYLSKI (68), GABRYEL, WARZECHA (69), KOMUDA (77), KOWALCZUK, KARWELIS (79), WIEROMIEJCZYK (80), KUCHARCZYK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 612cf85725

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Radek Pietruszka/PAP**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00

Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek,
dystrybucja@pmpg.pl, tel. 539 953 631, 508 040 664

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumeratаprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © Ⓟ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Piotr Gliński do Pawła Lisickiego

Szanowny Panie Redaktorze, w ostatnim numerze Pana poczytnego tygodnika Pan redaktor Ł. Warzecha był łaskaw w swoim felietonie [„Hipokryci z PiS i KO", „DRz" nr 23/2026 – przyp. red.] postawić tezę, że między PiS i KO nie ma różnicy w podejściu do ustawy o zabezpieczeniu socjalnym artystów. Otóż nie jest to prawdą. To prawda, że projekt podobnej (choć nie takiej samej) ustawy był w naszym programie i był przez nas przygotowany. Ale miał on nieco inny charakter – był znacznie tańszy (o 40 mln zł), mniej zbiurokratyzowany, nie przewidywał synekur dla członków rozmaitych rad i komisji oraz mniej więcej w połowie miał być finansowany z praw autorskich bardziej zamożnych artystów, a więc i w ten sposób znacznie mniej obciążać budżet (mechanizm solidarności środowiskowej).

Ale prawdą jest przede wszystkim to – o czym nie wspomina Pan Warzecha – że co najmniej we wrześniu 2023 r. straciłem motywację do procedowania tego projektu (!): „Jak mam wytłumaczyć naszym wyborcom, że trzeba stworzyć specjalny fundusz emerytalny dla pani Jandy czy dla pana Seweryna? Politycznie to jest dziś nie do przeprowadzenia, bo celebryci przyznali sobie prawo do obrażania nie tylko nas, ale znacznej części polskiego społeczeństwa". To moje słowa z wywiadu udzielonego Piotrowi Zarembie i opublikowanego w „Plus Minus" 8 września 2023 r. I projekt tej ustawy nie został przyjęty przez nasz rząd. Bywa, że politycy wyciągają wnioski z analizy rzeczywistości i zmieniają zdanie. Nasi drodzy celebryci nie dali mi co do tego żadnego wyboru.

A więc nieprawdą jest, że PiS cały czas forsował ten projekt. Natomiast prawdą jest, że po przegranych wyborach tzw. trzeci rząd Morawieckiego przesłał nasz projekt (choć bez mechanizmu solidarnościowego) do marszałka Hołowni. Ale to już zupełnie inna historia…

Piotr Gliński

Od autora

Cieszę się niezmiernie, że Pan Profesor Piotr Gliński potwierdził moje słowa: PiS, podobnie jak obecnie koalicja pana Tuska, także chciał utworzyć system specjalnego wsparcia dla koncesjonowanych artystów jako swoistej nadzwyczajnej kasty. Reszta to didaskalia.

Łukasz Warzecha

NEKROLOG

Z niewypowiedzianym bólem przeżywamy śmierć naszego przyjaciela

ŚP.

Andrzeja KONDRACKIEGO

Zasnął wierny Chrystusowi, Rodzinie i Polsce 28 maja 2026 r. w Lozannie.

Otaczamy modlitwą Joannę, Synów oraz Rodzinę.

Monika, Wojciech, Michał Anioł i Jan Paweł

Credo In Unum Deum…

eprasa.pl 612cf85725



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Cóż szkodzi obiecać?

PSL-owcy właśnie przystąpili do swojej ulubionej gry. Z chęcią przymierzają strój obrońców wartości konserwatywnych. Wszyscy proboszczowie, którzy mają brata lub pociotka w obozie ludowców, przez najbliższe tygodnie zapewne będą mieli o czym mówić. Rzecz w tym, że po zapowiedzi Konfederacji Sławomira Mentzena i Krzysztofa Bosaka złożenia projektu sejmowej ustawy wykluczającej możliwość adopcji dzieci przez pary osób tej samej płci zapowiedzi wsparcia tej idei pojawiły się wśród polityków Polskiego Stronnictwa Ludowego.

„Uważam, że jest to pomysł, który warto przedyskutować" – to wypowiedź ministra Miłosza Motyki z PSL, która padła w rozmowie z Wirtualną Polską. Media informują, że politycy PSL zapowiadają, iż ich klub złoży projekt ustawy idący w tym samym kierunku, co pomysły Konfederacji. Jak zwykle ludowcy pozują na pragmatyków i ogólnikowo wyjaśniają, że jednym z powodów ich inicjatywy jest chęć „uporządkowania" tej kwestii. Tego typu zapowiedzi wywołują histerię po lewej stronie. Postępowi publicyści drą szaty, że koalicyjny PSL ośmiela się wspierać pomysły „homofobicznej" Konfederacji.

Dlaczego wszystkie te zapowiedzi nie wywołują we mnie specjalnych emocji? Problem w tym, że PSL nie protestował przeciwko samemu złamaniu konstytucji poprzez zaakceptowanie przez rząd Donalda Tuska zasady uznawania „małżeństw" jednopłciowych, jeśli zostały one legalnie zawarte w innym unijnym kraju. Wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz bez słowa protestu przyjął podpisanie przez ministrów Krzysztofa Gawkowskiego i Marcina Kierwińskiego rozporządzenia określającego nowe wzory aktów małżeństwa, co umożliwi urzędom stanu cywilnego transkrypcję zagranicznych dokumentów. Sam Donald Tusk deklaruje, że przyjęte przez jego ministrów rozporządzenie nie będzie otwarciem możliwości adopcji przez pary jednopłciowe. Bardziej konserwatywni platformersi uspokajają tych, których niepokoją te zmiany, wskazywaniem, że premier stawia im tamę.

Wszystko to jednak jest maskarada. Organizacje gejowskie już zapowiadają, że jeżeli koś będzie próbował zablokować dostęp par osób tej samej płci, których zagraniczne akty małżeństwa uznano, do adopcji dzieci, to zaskarżą to do TSUE jako wyraz dyskryminacji. Znając typ orzecznictwa unijnego trybunału, można spodziewać się, że sędziowie nakażą Polsce, aby także homopary mogły adoptować dzieci.

Jak można się spodziewać, PSL posłusznie przyjmie to do wiadomości i rozłoży bezradnie ręce. A sympatyzujący z ludowcami proboszczowie smutno westchną: nasi w PSL robili, co mogli! Macie ochotę na oglądanie takiej szopki? Bo ja nie. ©℗

WIELKI SUKCES CHWALIŃSKIEJ

Polska tenisistka Maja Chwalińska pokonała rozstawioną z numerem 25 Rosjankę Dianę Sznajder 7:6 (7-4), 6:4 i awansowała do finału wielkoszlemowego turnieju French Open w Paryżu. Do finałowej rozgrywki doszło już po zamknięciu tego wydania tygodnika. I choć wierzymy, że wygrała, to już samo wejście do półfinału oznaczało ogromny sukces. Maja Chwalińska, która przed French Open zajmowała 114. miejsce w rankingu WTA, po paryskich rozgrywkach awansowała już bowiem do ścisłej czołówki najlepszych tenisistek świata. ©℗

LIST ZEŁENSKIEGO DO PUTINA

„Ukraina proponuje zakończenie tej wojny poprzez bezpośredni dialog między nami. Proponuję spotkanie" – napisał prezydent Ukrainy w liście otwartym do przywódcy Rosji w piątym roku wojny. – Wołodymyr Zełenski i Władimir Putin powinni się spotkać i pójść na kompromisy – oznajmił w reakcji na list prezydent USA Donald Trump, dodając, że obaj politycy „będą musieli pójść na kompromisy". Do inicjatywy ukraińskiego przywódcy odniósł się też rzecznik Kremla. – Jeśli Zełenski chce się spotkać z Putinem, to może przyjechać do Moskwy – stwierdził Dmitrij Pieskow. ©℗



FOT. C. WALLS/SOPA IMAGES/GETTY IMAGES

STARCIA PO ŚMIERCI NOWAKA

Jedenastu policjantów rannych i dwie osoby aresztowane. To bilans zamieszek, które wybuchły w Southampton po publikacji policyjnego nagrania ze śmierci Henry'ego Nowaka. Osiemnastolatek powtarzał, że został dźgnięty nożem, ale policjanci nie chcieli go ratować, bo uwierzyli fałszywym oskarżeniom o rasizm. ©℗

WIĘCEJ W TEKŚCIE „TURBANY" NA STR. 82

eprasa.pl 612cf85725

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



W PREZENCIE

KSIĄŻKI

JACEK GNIADEK:
„EKONOMIA BOŻA I LUDZKA”,
HANS HERMANN HOPPE:
„KRÓTKA HISTORIA CZŁOWIEKA”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1017~~ ZŁ

518,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 499 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- **Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail**
- **Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.**

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 612cf85725



RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Kosmos nad Wisłą

Ta sprawa wielu czytelnikom mogła umknąć, a nie powinna. Prezes Polskiej Agencji Kosmicznej POLSA, dr Marta Wachowicz, wystosowała pismo do Ministerstwa Finansów i Gospodarki z żądaniem, aby „doprowadziło do zaprzestania publicznego komentowania działań instytucji, projektów strategicznych czy bezpieczeństwa państwa" przez dr. Sławosza Uznańskiego-Wiśniewskiego. Tak, tego, któremu ta sama agencja kupiła bilet na Międzynarodową Stację Kosmiczną za – jak podaje internetowa wyszukiwarka – skromne 65 mln euro. Taka suma zobowiązuje, uważa najwyraźniej pani prezes, do lojalności. A tymczasem – tego już w piśmie nie było, to ustalili dziennikarze – Uznański-Wiśniewski ośmielił się podważyć celowość zaangażowania POLSY w prestiżowy europejski projekt IRIS2 (unijna alternatywa dla Starlinka) i wydania na ten cel 3,1 mld zł. Powiedział, że te pieniądze nie przyniosą pożytku Polsce ani polskiej nauce, tylko w większości trafią do koncernów niemieckich i francuskich, a sporą ich część pochłoną koszta własne projektu.

Poniekąd wkurzenie pani Wachowicz można zrozumieć. Facet najwyraźniej nic nie wie o nauce. Nie rozumie, że istnieje ona po to, żeby – jak pokazał choćby przykład Sieci Łukasiewicz – finansować naukowców z Lewicy, PSL i w ogóle szerokiego zaplecza rządzącej koalicji. A przepompowywanie pieniędzy polskich podatników, i w ogóle polskich zasobów, do Niemiec i innych krajów UE jest dla tejże koalicji priorytetem i racją stanu. Kiedyś o takich ludziach jak nasz kosmonauta mówiło się: z księżyca spadł.

Co ciekawe, wszystko to miał Uznański-Wiśniewski powiedzieć na zamkniętym posiedzeniu Agencji 11 maja. Ale wiadomo, że u nas nie ma żadnych tajemnic, więc w sumie tak, jakby powiedział to publicznie. A może chodzi o ostrzeżenie, by nie drążył sprawy? Tylko dlaczego ma to zrobić minister finansów? Dlaczego o uciszenie „sypiącego" naukowca nie zwróciła się POLSA do panów Kierwińskiego, Żurka czy Siemoniaka? Może dopiero zamierza to zrobić, jeśli pierwsze ostrzeżenie nie poskutkuje… ©℗



JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Nie lękajcie się!

Przynajmniej od 2016 r., od konferencji w Royal Society „Nowe trendy w biologii ewolucyjnej", świat nauki musiał uznać, że konsensus dotyczący teorii ewolucji jest nie do utrzymania. W połowie XX stulecia, na skutek nowych odkryć, m.in. genetyki, archeologii, naukowcy zaktualizowali teorię Darwina, nazywając to „Nowoczesną Syntezą". Z czasem okazało się, że neodarwinistyczny mechanizm mutacji i doboru naturalnego niewiele wyjaśnia. Na londyńskiej konferencji wybitny austriacki ewolucjonista, prof. Gerd Müller, wymienił główne deficyty „Syntezy": nieredukowalna złożoność organów (np. oko), nowość fenotypowa (nagłe i równoczesne pojawianie się wielu gatunków) oraz przerwy w zapisach kopalnych, czyli brak występowania tzw. form przejściowych. Tym samym ewolucjoniści szczerze przyznali, że neodarwinowskiemu mechanizmowi brakuje twórczej mocy, by generować nowe formy życia i nowe cechy anatomiczne.

Nie mogą jednak całkiem odrzucić Darwina, bo przecież alternatywne wytłumaczenie zawiera… „Biblia". Do tego trzeba odwagi, którą mają naukowcy amerykańskiego Discovery Institute. To oni od trzech dekad prowadzą interdyscyplinarne badania nad teorią Inteligentnego Projektu (ID). Twórcy Instytutu wyszli z założenia, że skoro tzw. Nowoczesna Synteza (ślepego, niekierowanego procesu) zawiera tyle sprzeczności i nic nie wyjaśnia, to człowiek i przyroda są dziełem projektu, który da się odkrywać i badać na poziomie nie tylko filozoficznym i teologicznym, lecz także zgłębiając biologię, fizykę i inne dziedziny nauki.

Ostatnio w Krakowie gościło kilku wybitnych przedstawicieli Instytutu na IV konferencji „Wiara i Nauka". Szkoda, że mimo wysłanych zaproszeń seminaria duchowne i katolickie uniwersytety zignorowały to fenomenalne wydarzenie.

(Relacja filmowa z wykładów wkrótce na kanale YT PCh24). ©℗

eprasa.pl 612cf85725

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



ĆWIERKOT

Żonina wiedza ekspercka



SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Ale zaraz, zaraz, powoli. Stop. To, że żona ministra spraw wewnętrznych i administracji Marcina Kierwińskiego, Agnieszka, zarabia 342 tys. zł rocznie, to jeszcze nie oznacza, że ona zarabia, bo jest mężatką, akurat z Marcinem. Stop. Że po znajomości małżeńskiej, nepotyzmie, kumoterstwie czy co tam. Stop. To, że przez dwa lata dostała akurat podwyżkę 70 tys. zł rocznie, to nic nie oznacza, gdyż ona jest specjalistką, jednocześnie ekspertką będąc w Kolejach Mazowieckich wybitną. Stop. Tu akurat nie dodam, że jest ekspertką całkowicie apolityczną, gdyż jako radna miasta stołecznego Warszawy w ostatnim roku zarobiła także 50 tys. zł, ale to nie jest ważne, ponieważ jest ekspertką niezbędną na kolei, co potrafię udowodnić, choćby przytaczając jej kierunkowe, podstawowe wykształcenie. Stop. Przytoczyć? Stop. Politologiem jest. Politologiem. Stop. Łyso wam, hejterzy?

Nie ma sprawiedliwości na tym wszechświecie. Stop. Prokuratura w Częstochowie skierowała do sądu akt oskarżenia przeciwko byłemu posłowi Platformy Obywatelskiej i naczelnemu lekarzowi szpitala w Myszkowie Wojciechowi P. Stop. Cyniczni pacjenci, którzy własnym ciałem zetknęli się z państwową służbą zdrowia, mawiają, iż lekarze nasi dwie rzeczy robią: leczą i biorą w łapę, choć ponoć kolejność bywa różna. Stop. Odcinając się od haniebnego generalizowania, przyznajemy, że pan Wojtek jednak w łapę brał, bo pacjenci potwierdzili i on sam też się przyznał. Stop. A o takim lekarzu Tomaszu G., który był trochę nawet marszałkiem Senatu, to pacjenci na potęgę zeznawali, że brał w łapę, ale przed sądem nie stanie, bo mu matka partia zapewniła bezkarność, nie uchylając immunitetu. Stop. Lojalność, jakże to piękna sycylijska cecha. Stop.

Wołodymyr Zełenski, prezydent Ukrainy, któremu wybory się skończyły, nadał elitarnej jednostce wojskowej nazwę „Bohaterów UPA". Stop. UPA to prymitywni ludobójcy, mordowali polskie bezbronne kobiety, dzieci, starców na szokująco okrutne sposoby. Stop. Naplucie Polakom w twarz spotkało się z gwałtowną niechęcią do banderowców, których wciąż sporo nie tyko w ukraińskich władzach. Stop. Jednym z oburzonych był nawet Leszek Miller, który stwierdził wprost, że w Polsce mamy banderowską piątą kolumnę, której szefem jest Paweł Kowal. Stop. Ja to tam nie wiem, czy Kowal jest szefem, ale wiem, co mówił, tłumacząc UPA i rzeź wołyńską. Stop. A mówił: „Zbrodnia wołyńska nie obciąża państwa ukraińskiego, bo nie istniało. Mówimy o zbrodni dokonanej przez obywateli polskich na innych polskich obywatelach". Stop. Według Kowala Polacy nabijali na widły i cięli piłami Polaków, bo nienawidzili Polaków. Stop. Kowal jest jeszcze polskim posłem… ©℗

eprasa.pl 612cf85725



ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

TRYBUN LUDOWY SKOLIM

W zajmowaniu się samymi sobą przodują co prawda dziennikarze, ale powoli na czoło wysuwają się „artyści". Dla ułatwienia uogólnijmy i wrzućmy do tego worka zarówno tych przez duże „A", jak i pomniejsze gwiazdki i gwiazdeczki. Świat show-biznesu żyje rządowym projektem wsparcia emerytalnego dla artystów, których nie stać na opłacenie składek. Uznano, że skoro ich nie stać, to dołożymy się my wszyscy. Samozwańczy król latino Skolim, czyli Konrad Skolimowski, również podzielił się swoim zdaniem przy okazji pikniku, który zorganizował w podlaskiej Czeremsze oraz podczas transmisji live. – Pojechałem dzisiaj na live o tych k.....h artystach. Domagają się emerytur, a dzieci oczekują na zbiórki. Państwo polskie nie ma na zbiórki. Artyści albo ci starzy przechlali



FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI / FAST NEWS

całą karierę, p.....i, albo ci młodzi robią taką c.....ą muzykę czy obraz, że nikt tego nie chce oglądać, a domagają się naszych pieniędzy [...]. Nigdy na to nie pozwolę – grzmiał. – Gram 503 koncerty w roku w całej Polsce. Bawię ludzi, rozweselam. Różną muzykę ludzie robią: taneczną, mniej taneczną, ale nie można wyciągać rąk po pieniądze, które się nie należą, bo dzieci potrzebują zbiórki. K...a, dzieci chorują na raka – dodawał oburzony. Skolim zaapelował ze sceny do zgromadzonych na pikniku. – Nie możemy się godzić na to, żeby z naszych podatków jakieś k...y miały pieniądze [...]. Takie jest moje zdanie. Przepraszam, jeśli kogoś te słowa urażają – zakończył. Jak to powiadają użytkownicy X – ostro, ale tak trzeba.

KULTURA, CHAMIE!

Wywołana do tablicy poczuła się Dorota „Doda" Rabczewska. Do ostrych tez kolegi z branży odniosła się na Insta-Story. – Każda osoba, która udostępnia szokującą, obrzydliwą i naprawdę ohydną wypowiedź Skolima, nie spodziewałam się po nim tego, wydawało mi się, że ma trochę więcej empatii, nie wiem, może był pod wpływem czegoś, który wyzywa artystów od k...w i narkomanów, mówiąc, że nie zasługują na żadną pomoc rządu, bo dzieci są chore, przyczynia się do naprawdę ohydnego hejtu, który i tak mamy w nadmiarze od wielu lat, i to głównie my – zaczęła. – Skolim jest dosyć młodym artystą nieznającym najwidoczniej całej branży i sugerującym się jedynie środowiskiem, z którego się wywodzi, niemającym najwidoczniej, po tej wypowiedzi wnioskuję, pojęcia, co dzieje się w środowisku artystycznym [...]. Każda branża dzieli się na k...y i narkomanów i na osoby bardzo wartościowe, każda! Od polityków, od lekarzy, od policji, od artystów. Wkładanie wszystkich do jednego worka, bo tylko takich zna Skolim, jest bardzo krzywdzące, bo oczywiście ja też jestem 25 lat w show-biznesie i znam ludzi, którzy przechlali, prze....i swoje majątki, ale znam też ludzi, którzy nigdy w życiu, będąc tysiąc razy bardziej utalentowani ode mnie i miliard razy utalentowani od Skolima, nawet nie zarobią jednej setnej tego, co ja – podkreśla wokalistka. – Najbardziej utalentowani, najbardziej wspaniali artyści, którzy mają wiele wartości, czasami nie mają co do garnka włożyć, ja też takich znam – dodała. Na koniec wbiła Skolimowi szpilkę. – Zajmij się sprzedawaniem swojej kiełbasy, Skolim, a w międzyczasie zapraszamy cię do teatru, musicalu, do miejsc, gdzie są artyści, którzy nie mieli jak prze.....ć swoich finansów, bo po prostu ich nie mieli – stwierdziła. – Wykorzystywanie chorych dzieci w tak okropnej chwili jest bardzo nieetyczne i niesprawiedliwe. Miejmy dla siebie więcej zrozumienia. Ale żeby mieć zrozumienie, trzeba chcieć zrozumieć i nie być ignorantem. A żeby nie być ignorantem, trzeba przede wszystkim zaznajomić się z historią polskiej sztuki, kultury, muzyki, teatru, filmu – podsumowała. Rabczewska walczy z pogardą, sama ją stosując. Samo życie.

FUNDUSZ SOLIDARNOŚCIOWY ARTYSTÓW

W temacie dopłat do składek polityka miesza się ze sztuką. Jednoznacznie negatywnie propozycję rządu ocenił Sławomir Mentzen. „Jeśli jesteś aktorem, to znaczy, że umiesz ładnie czytać napisany przez kogoś tekst, potrafisz udawać kogoś, kim nie jesteś, i pajacować na scenie tak, żeby publiczności się podobało. Nie jesteś w niczym lepszy od magazynierów, sprzedawców, kelnerów i rolników. Wiedzę o prawdziwym świecie masz nawet zwykle mniejszą niż oni. Ładnie czytasz z kartki i tyle" – napisał współlider Konfederacji na Facebooku. Ale się wściekli, ale się rozjuszyli! Aktor Paweł Deląg nie wytrzymał. „Słowa Mentzena o artystach jako »czytających z kartki« czy »pajacujących« są nie tylko krzywdzące. Są po prostu kretyńsko głupie. Czysta demagogia" – przekonuje. Podkreślił, że kultura nie jest jedynie sferą rozrywki, ale też ważnym elementem polskiej gospodarki. „Kultura to nie »dodatek« do gospodarki. To część gospodarki. I to coraz ważniejsza. Przemysły kultury i kreatywne generują w Polsce ok. 4 proc. PKB i tworzą dziesiątki miliardów złotych wartości rocznie. To setki tysięcy miejsc pracy: aktorzy, muzycy, filmowcy, twórcy gier, pisarze, animatorzy, technicy, scenografowie, montażyści, graficy, projektanci" – wylicza Deląg. „Kraj, który przestaje szanować własną kulturę i własnych twórców, sam sobie strzela w stopę" – podsumował. Skoro środowisko jest tak solidarne, to może niech bogatsze gwiazdy łożą na te uboższe? ©℗

eprasa.pl 612cf85725



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, widzieliśmy ostatnio dane dotyczące dzietności w tym kraju i tak szczerze powiedziawszy, nooo… jest ona na niskim poziomie. Otósh współczynnik dzietności spadł do 1,068, a więc jest tak niski, iż gdyby był wynikiem KPI w naszym korpo, to Nowy z Tarnowa już dawno powołałby zespół roboczy w ramach spotkań naprawczych i obowiązkowe szkolenia pt. „Jak skutecznie realizować cele reprodukcyjne w nowoczesnym środowisku hybrydowym" – of kors pobłogosławione przez księdza proboszcza i certyfikowane przez magików z LinkedIna.

Na szczęście problem nie dotyczy naszych wyników sprzedażowych (chociaż te też nie są wybitne, iż podążając za hasłem: towar prawem, nie towarem, dajemy bardzo dużo zniżek i rabatów), tylko społeczeństwa, a więc dzięki naszemu socjologicznemu zacięciu możemy spojrzeć na sprawę szerzej. I szczerze mówiąc, nie rozumiemy tej narodowej histerii, szczególnie widocznej w środowiskach prawackich, narodowych i katolickich. Od kilku dni ciągle słyszymy, iż Polaków będzie coraz mniej.

Kochani, no ale gdzie wady? xD

Przez ostatnie dekady słyszeliśmy, iż największym problemem planety jest przeludnienie, nadmierna konsumpcja, produkowanie śladu węglowego, zużycie środowiska naturalnego, a niektórzy z nas nawet pamiętają czasy, kiedy ludzkość robiła dziurę ozonową. No i wreszcie teraz okazało się, iż młode pokolenie w tym kraju, a przynajmniej jego progresywna część, w ramach odpowiedzialności obywatelskiej i troski o losy Europy i planety postanowiło rozwiązać ten problem oddolnie. Tyle się mówi, iż młodzieży nic się nie chce, a kiedy wreszcie zachciało się jej walczyć z problemem przeludnienia, to mamy histerię, wzmożenie i panikę. No kaman.



Poza tym odnosimy wrażenie, iż – jak to w patriarchalnym katotalibanie – cała ta debata jest niebezpiecznie uprzedmiotawiająca wobec waginoosób. Za każdym razem, gdy pojawia się temat dzietności, natychmiast znajdują się różni eksperci tłumaczący, iż to kobiety powinny rodzić wcześniej, bo że niby w wieku 30 lat pierwsze dziecko to za późno, więcej, szybciej i najlepiej jeszcze pomiędzy Teamsami a spotkaniem statusowym, a najlepiej, jakby skrócić ciążę tak, iżby rocznie można było urodzić kilkoro dzieci. No sorry bardzo, ale nie możemy pozwolić na to, iżby ciało waginoosób stało się przedmiotem polityki społecznej.

Wszelkiego rodzaju konserwatywne boomerstwo narzeka też, iż młodzi nie chcą być odpowiedzialni i to dlatego nie mają dzieci. Tymczasem rzeczywistość jest taka, iż niemal połowa gospodarstw domowych w tym kraju jest zamieszkiwana przez osobę psią, która w wielu przypadkach jest traktowana jak psiecko, obchodzi adopciny i w relacji z kohabitującymi osobami ludzkimi tworzy rodziny międzygatunkowe. A psieci, zwłaszcza te mniejsze, sprawiają w ogóle o wiele mniej kłopotów społeczeństwu – nie trzeba się za nie wstydzić w pociągu, nie płaczą celebrytom za uszami nad morzem, nie przychodzą o godz. 22, iż na kolejny dzień potrzebują do szkoły paliwa rakietowego, sznurka od snopowiązałki i lewego gumowca.

Kiedy tak sobie o tym dyskutowaliśmy w open spejsie, Nowy z Tarnowa oczywiście błyskotliwie stwierdził, iż „bez dzieci naród wymrze". Odpowiedzieliśmy mu, że, nooo, w sumie to dokładnie taka jest definicja wymierania, więc Ameryki to on nie odkrył xD. Siedział potem obrażony przez pół dnia i oglądał na fejsbuku zdjęcia znajomych wielodzietnych rodzin z Podkarpacia. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Branie pensji traumatyzuje?

Marcin, przekaż Rafałowi, że ma coś z tymi dzikami zrobić. To się na nas odbija, a on miastem kieruje. A ty strukturami.
Donek, ale Rafał jest nieobecny.

Jak: nieobecny? Porwali go czy jak? W sumie źle by nie było…
Nie, z traumy się leczy.

Jakiej traumy? Branie pensji za Warszawę go traumatyzuje?
Wspomina rocznicę. Podobno w depresję wpadł. Zamknął się w pokoju i pije.

Powiedz mu, że jak się nie zbierze do kupy, to mu do mieszkania lochę wpuścimy. Z warchlakami.
©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Pouczanie Ukraińców to spowiedź z cudzych grzechów".

PROF. MACIEJ JANOWSKI, *historyk, w „Gazecie Wyborczej"*

eprasa.pl 612cf85725

dwaj panowie g

To, co najważniejsze. Mundial. Znaczy mistrzostwa świata w piłce kopanej. Niedługo się zaczną. Nie możemy się już doczekać: Czy wyjdziemy z grupy? Ile bramek strzeli Lewandowski? Niestety, pytania pozostaną bez odpowiedzi, gdyż reprezentacja Polski się nie zakwalifikowała. To dziwne. Za rządów PiS regularnie się kwalifikowała. Przypadek?

Dla niedowiarków podajemy szczegółowe dane. Polska zagrała na mundialu raz przed wojną (1938), dwa razy za Gierka (1974, 1978), dwa razy za Jaruzelskiego (1982, 1986), raz za Millera (2002) i trzykrotnie za rządów PiS (2006, 2018, 2022). Za Platformy – nigdy. Powtórzymy pytanie: Przypadek?

Jednocześnie dobiegły końca rozgrywki polskiej Ekstraklasy, zwanej także Ekstraklapą. Zakończyły się spadkiem do pierwszej ligi drużyn Lechii Gdańsk i Arki Gdynia, co oznacza, że województwo pomorskie pozostało bez swoich przedstawicieli na najwyższym poziomie rozgrywek. Tymczasem prawicowa Małopolska ma już w Ekstraklapie trzy zespoły: Cracovię, Wisłę Kraków i Wieczystą Kraków. Co ma to wspólnego z polityką? Niby nic, ale chcieliśmy po prostu złośliwie odnotować.

Zamykając wątek piłkarski – piłkarz polski Tymoteusz Puchacz, aktualnie grający w Azerbejdżanie, udzielił był wywiadu, w którym szczerze opowiedział o swoich doświadczeniach z pobytu w Niemczech. A był tam kilka sezonów i grał w trzech klubach. „Ja się spotkałem po prostu z rasizmem. Oni są uprzedzeni do Polaków, są uprzedzeni do czarnoskórych" – powiedział Puchacz. Salony zadygotały z oburzenia. My nie, bo się to składa z naszym oglądem sytuacji.

W Krakowie o fotel prezydenta opróżniony po odwołanym Miszalskim walczył będzie z ramienia PiS radny Michał Drewnicki. Nie mamy nic przeciwko gościowi. Musimy jednak skomentować uzasadnienie, które po tej decyzji wypłynęło z Nowogrodzkiej. Otóż kandydatura Drewnickiego ma „symbolizować strukturalną pracę partii w terenie". Naszym zdaniem symbolizuje raczej strukturalną niezdolność do wygrywania wyborów.

Oburzonych prosimy o wstrzymanie koni i zastanowienie się przez chwilę. Ze wszystkich badań wynika, że zbieranie podpisów pod wnioskiem o referendum udało się, bo okazało się ponadpartyjne. Odwołanie udało się, bo organizatorzy trzymali się z dala od partyjnych etykietek, a wielu głosujących przeciw Miszalskiemu głosowało przeciw upartyjnieniu polityki w ogóle, a samorządowej w szczególności. Jaki z tego wniosek wyciągnął PiS? Że trzeba wystawić kandydata partyjnego, który ma symbolizować struktury. Najsmutniejsze jest to, że my już nawet nie jesteśmy zdziwieni.

O tym, jak kończy się dopieszczanie strukturalnej pracy struktur partyjnych, można dowiedzieć się z najnowszych badań z pięknego miasta Tarnowa. Gród



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

eprasa.pl 612cf85725

prawicowy, leżący na ziemi prawicowej z dziada pradziada. Polsko-Amerykańska Fundacja Edukacji i Rozwoju Ekonomicznego Pafere zadała tam pytanie: „Na kogo zagłosowałbyś dziś w wyborach na prezydenta miasta?”. Wygrywa kandydat KO (26 proc.), drugi jest aktualny prezydent Kwaśny (przemalowany z dawnej PO na niezależnego – 22 proc.), trzeci zaś kandydat PiS (15 proc.). Żeby było ciekawiej, w tym samym sondażu kandydat Konfederacji ma 10 proc.

Tymczasem na Nowogrodzkiej w gabinecie szeregowego prezesa partii panuje ponoć niezadowolenie z faktu, że wszędzie wszyscy teraz zapowiadają kolejne referenda odwołujące platformerskich prezydentów. Istnieje bowiem obawa, że wiele z nich ogłoszono przedwcześnie i nie mają szans na powodzenie. A jak nie wyjdzie, to na kogo będzie? Na opozycję, że nieudolna i że tylko burdy polityczne wywołuje. Więc w sumie to rozumiemy. Inna sprawa, że gdyby co, to najbliżej do kolejnego odwołania prezydenta byłoby we Wrocławiu, bo tam frekwencja w wyborach była niska, więc i próg referendalny nie jest za wysoki.

Tymczasem kolejną inicjatywę referendalną zepsuto właściwie już na początku. Ledwie się ludzie w Radomiu zaczęli skrzykiwać, żeby odwołać lokalnego prezydenta, już aktywista Marek Suski wyrwał się, że to będzie inicjatywa PiS i że PiS odwoła. Otóż jeśli będzie to inicjatywa PiS, to PiS nie odwoła. Wspomnicie nasze słowa.

Donald Tusk zaproponował, by postawić pomnik Tadeuszowi Mazowieckiemu i iść wspólnie z opozycją w wielkim marszu w 100. rocznicę urodzin byłego premiera. Popieramy. Lubimy, gdy ludożercy stawiają pomniki wielkim postaciom ruchu wegańskiego. Bo tyle mniej więcej łączy Tuska z Mazowieckim. Co do wielkiego marszu – zamiast czekać na 18 kwietnia 2027 r., podpowiadamy Złemu Donaldowi z Sopotu, że znacznie wcześniej, bo już 13 sierpnia tego roku, przypada 100. rocznica urodzin Fidela Castro.

Gdyby z jakichś powodów odrzucono kandydaturę Fidela, który podobnie jak Tusk zwalczał syjonizm i amerykańską soldateskę, mamy kolejną ciekawą propozycję. Chyba trafniejszą. Otóż 17 sierpnia będzie można świętować 100. urodziny Jiang Zemina. Mało kto pamięta – on też był uważany za partyjnego liberała. Zbudował również w strukturach partii wąską grupę oligarchii, preferował pragmatyzm nad ideologię oraz oczekiwał, by zachowywano wobec niego pełną lojalność.

Pozostańmy przez chwilę przy hołdach premiera z KO dla Mazowieckiego. Otóż tak się składa, że znamy wielu ludzi. I tak się składa, że wielu z nich jest od dawna w polityce. Nie uwierzylibyście, jak wielu z nich opowiadało nam o tym, jak bardzo Tadeusz Mazowiecki nie cierpiał Donalda Tuska. Co więcej, opowiadali nam też, jak Bronisław Geremek szczerze i namiętnie nie cierpiał Radzia Sikorskiego. Liczymy więc na kolejne pomniki.

Àpropos Tuska. Docierają do nas wiewiórki z informacją, że rzeczywiście szykuje się zmiana na stanowisku premiera. Jednak tym razem zły Donald z Sopotu nie zamierza uciekać do Brukseli. Powód oddania władzy ma być inny – a mianowicie choroba Parkinsona. Podchodzimy do tych informacji z taką samą podejrzliwością jak do wieści, że Jarosław Kaczyński ma raka trzustki. Pierwsze informacje na temat tego nowotworu usłyszeliśmy jakieś 10 lat temu. Oznaczałoby to, że Naczelnik jest cudem medycyny jeśli chodzi o przeżywalność tego typu nowotworu.

O dobrej kondycji premiera informują nas tymczasem wiewiórki z Łazienek. A wiecie, że akurat tam jest ich cała masa. Rzeklibyśmy, że to najbardziej zawiewiórkowane miejsce w Warszawie. Owe wiewiórki co prawda zaobserwowały zmniejszoną liczbę przebieżek osoby szefa rządu. Utrzymują, że premier biega głównie w pierwszej połowie tygodnia. Tłumaczymy zatem – przebieżki w drugiej części tygodnia odbywa zapewne w Sopocie. Druga część tygodnia zaczyna się w środę. Jak mawiają niektórzy – środa to taki mały piąteczek.

Afera, która wybuchła w związku z zakończeniem wieloletniej akcji rozdawania za darmo lodów w Pszczynie dzieciom, które okażą świadectwo z biało-czerwonym paskiem, ma też swoje dobre strony. Od pewnego czasu krążyły bowiem pomysły, żeby w ogóle znieść paski. Oczywiście żeby nie stygmatyzować co durniejszych uczniów. To już nieaktualne. A na pewno nie przed wyborami.

Tymczasem w szkołach dożynki. Jednak nie uczniów, a nauczycieli. To najbardziej stresowy okres dla nich w szkole. Oszaleli rodzice potrafią do nich wydzwaniać nawet po nocy, żądając podwyższenia pociechom ocen. Na porządku dziennym są groźby napisania donosu do kuratorium, a nawet uszkodzenia ciała. Takich problemów nie sprawiają państwo Nawroccy.

Córkę posłali do przyzwoitej szkoły prowadzonej przez zakonnice. Ostatnią rzeczą, na jaką siostry by sobie pozwoliły, jest to, żeby się na nich jakiś rodzic wydzierał.

Skończył się konflikt o ambasadorów. Pałac z gmachem zaczęły się dogadywać. Rysował się nawet poważny deal – Berlin za Waszyngton. Innymi słowami, do Ameryki miał pojechać człowiek Karola Tadeusza, a w zamian za to Jan Tombiński miał zostać podniesiony do rangi pełnoprawnego ambasadora w Berlinie. Jednak nici z tego. Wyjazd Zbigniewa Ziobry do USA pokrzyżował te plany. Radek uznał, że nadal musi mieć swojego człowieka w Waszyngtonie. W Pałacu się nie zmartwili specjalnie. – Do wyborów raptem półtora roku, a po wyborach przynajmniej nie będzie kłopotów z obsadą placówek ludźmi prawicy – usłyszeliśmy.

Biznesmen od InPostu Rafał Brzoska wybrał się był do gościnnej, przyjaznej przedsiębiorcom Francji, by potem publicznie chwalić otwartość tamtejszych władz na zagraniczne inwestycje. Mamy nadzieję, że zabrał ze sobą żonę. Czas najwyższy, żeby ktoś zorganizował porządną imprezę techno także w Wersalu. ©℗

eprasa.pl 612cf85725



FOT. XXXXXX

ABP ADRIAN GALBAS: WIARA NIE JEST SPRAWĄ PRYWATNĄ, NIE WSTYDZIMY SIĘ CHRYSTUSA

Jak co roku tłumy wiernych przeszły w czwartek w procesjach Bożego Ciała zorganizowanych w miastach i wsiach na terenie całego kraju.

– Idąc w tej procesji, nie wstydzimy się naszego przywiązania do Chrystusa i do Kościoła, nie ukrywamy tego, przeciwnie: pokazujemy i jesteśmy z tego dumni. Wciąż się czasem słyszy absurdalny slogan, że wiara jest sprawą prywatną. To nonsens – mówił ks. abp Adrian Galbas. W homilii wygłoszonej na zakończenie Centralnej Procesji Bożego Ciała ulicami Warszawy metropolita warszawski sprzeciwił się również m.in. redefinicji małżeństwa czy ograniczaniu wpływu wierzących rodziców na wychowanie dzieci w szkołach.

Tradycję obchodów uroczystości Bożego Ciała w Polsce pochwalił papież Leon XIV.

– Niech udział w procesjach eucharystycznych, zwłaszcza rodzin, dzieci i młodzieży, będzie odważnym świadectwem wiary i przypomina wszystkim, że Bóg jest obecny pośród swego ludu oraz towarzyszy mu w codziennym życiu – mówił Ojciec Święty, zwracając się do Polaków podczas środowej audiencji generalnej na Placu św. Piotra. ***(jap)*** ©℗

FOT. LESZEK SZYMAŃSKI/PAP

eprasa:[illegible]



eprasa.pl 612085725



Ukraińscy nacjonaliści maszerują ulicami Lwowa z okazji 117. rocznicy urodzin Stepana Bandery, 1 stycznia 2026 r. FOT. GLOBAL IMAGES UKRAINE/GETTY IMAGES

Niewidomi w Warszawie



Adam Wielomski

Ukraina nie jest państwem nazistowskim. To raczej neofeudalna patologia. Niemniej prezydent Zełenski został zakładnikiem banderyzmu, gdyż odrzucając go, nie miałby żadnej idei uzasadniającej istnienie samodzielnej Ukrainy jako państwa narodowego, separatystycznego wobec rosyjskiego imperium

Nieżyjący już filozof religii prof. Zbigniew Mikołejko 28 lat temu opublikował na łamach „Gazety Wyborczej" pamiętny tekst „Niewidomy w Jassach" (nr 190/1998), poświęcony niezwykle wtedy popularnemu w Polsce i chętnie tłumaczonemu rumuńskiemu religioznawcy Mircei Eliademu. W tekście tym przypomniał jego młodość w nazizujących organizacjach kierowanych przez Corneliu Zelea Codreanu i jego współpracowników, a mianowicie w Legionie Archanioła Michała i Żelaznej Gwardii. Po drugiej wojnie światowej Eliade mieszkał na emigracji na Zachodzie i udawał, że nic nie pamięta i niczego nie widział – stąd w tytule tego tekstu pojawia się określenie „Niewidomy". A chodziło o masakrę Żydów mieszkających w rumuńskim mieście Jassy. Całe środowisko naukowe religioznawców także milczało i było „niewidome", aby nie skalać nazwiska swojego mistrza. Dodajmy, że autentycznie chyba najwybitniejszego religioznawcę w całej historii tej dyscypliny, którego badania wskazują jednakże na wyraźne zakorzenienie w mistyce legionowej.

Piszę to dlatego, że my, w Polsce, również mamy własnych „niewidomych" mieszkających w Warszawie, Krakowie, Poznaniu i wielu innych miastach. Tak jak Eliade patrzył na mistyczny nazizm ruchu legionowego i niczego nie widział oraz niczego nie pamiętał, tak polskie elity polityczne, medialne, naukowe, kulturalne, dziennikarskie i „eksperckie" (przepraszam za ostatnie słowo, nieprawdopodobnie dziś ośmieszone) przez lata patrzyły na kwitnący na Ukrainie neonazizm i także nic nie widziały. Aż nagle któregoś dnia zrobił się wielki rwetes, że Wołodymyr Zełenski nadał Samodzielnemu Centrum Operacji Specjalnych „Północ" imię „Bohaterów UPA". I nagle, jak na komendę, prawie wszyscy otworzyli oczy i zobaczyli… ukraiński neonazizm w pełnym słońcu.

UKRAIŃSKIE OKULARY CZYNIĄ ŚLEPYMI

Prawdę mówiąc, ta masowa epidemia wieloletniej ślepoty jest sama w sobie interesującym zjawiskiem, gdyż tradycja UPA od dawna była i jest bardzo silna.

eprasa.pl 612cf85725

Józef Stalin i Bolesław Bierut wcale nie zniszczyli z korzeniami ukraińskiego nazizmu. Zgnietli jego zewnętrzne formy w zachodniej sowieckiej Ukrainie i południowo-wschodniej Polsce Ludowej. Wybili tylko pionki. Przywódcy polityczni, wojskowi i wielu żołnierzy z SS „Galizien" oraz UPA trafili na Zachód dzięki poparciu wywiadów Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Niemiec. Stepan Bandera, aż do wykonania na nim wyroku przez agenta KGB Bohdana Staszynskiego w roku 1959, wraz z żoną mieszkał sobie spokojnie w Monachium pod ochroną CIA i powstałego w 1956 r. z transformacji Organizacji Gehlena zachodnioniemieckiego BND. Około 100 tys. ukraińskich nazistów zostało przez Brytyjczyków osiedlonych w Kanadzie, gdzie mają dziś olbrzymie wpływy polityczne. Bandera nie tylko korzystał z ochrony wywiadowczej, lecz także cały czas stał na czele tajnej organizacji nazistowskiej, która wykonała – już po drugiej wojnie światowej – przynajmniej kilkadziesiąt wyroków śmierci na „zdrajcach sprawy" mieszkających na emigracji. CIA niezwykle chętnie inwestowało w emigracyjne środowiska nazistowskie, które zbiegły z Europy Wschodniej, także w resztki po rumuńskim ruchu legionowym, uznając, że są to ludzie znający teren i miejscowe stosunki, fanatycznie antykomunistyczni, którzy w sprzyjających okolicznościach mogą stać się V kolumną w macierzystych krajach. Na Ukrainie wpływów tych użyto znacznie później, niż się spodziewano, gdyż dopiero po upadku Związku Sowieckiego, ale zrobiono to i Amerykanie nie mieli najmniejszych moralnych problemów z popieraniem ruchów neonazistowskich.

Odblaskiem polityki anglosaskiej była postawa elit postsolidarnościowych i tej części dawnego układu komunistycznego, która na czas przemieniła się w prozachodnich socjaldemokratów czy ludowców. Sprzyjał temu fanatyczny antykomunizm propagowany na prawicy. Olbrzymia doza antyrosyjskich resentymentów w Polsce, doktryna Jerzego Giedroycia, nakazująca popierać wszelkie antyrosyjskie siły na Ukrainie, popularny piłsudczykowski prometeizm etc. Nie bez znaczenia były zapewne wspólne kontakty ukraińskiej emigracji i polskich opozycjonistów z Solidarności z CIA, acz na ten temat możemy tylko gdybać dopóty, dopóki nie zostaną otwarte amerykańskie archiwa. Część polskich polityków miała także ukraińskie lub mieszane ukraińsko-polskie korzenie, lecz nie wskażę tutaj nikogo palcem, gdyż znam na ten temat tylko plotki. Razem stworzyło to idealistyczny wizerunek Ukrainy jako strategicznego antyrosyjskiego sojusznika Polski w naszej części kontynentu. Od czasu przewrotu na Majdanie do Kijowa w misyjno-apostolskim zapale jeździły dziesiątki polskich polityków budujących antyrosyjską federację w Europie Środkowo-Wschodniej i krzyczących na kijowskim Majdanie: „Sława Ukrainie"!

Od wybuchu wojny ukraińsko-rosyjskiej w 2022 r. doszło do prawdziwego paroksyzmu proukraińskości, gdy oddawaliśmy Kijowowi, co leciało: czołgi, samoloty, amunicję, pieniądze, energię, płaciliśmy za Starlinki, zaciągaliśmy długi, odbieraliśmy sobie od ust – wszystko było dla Ukrainy. Jarosław Gowin w proroczym uniesieniu głosił, że „w przyszłości Ukraińcy będą w Polsce elitą", gdy w tym czasie funkcjonariusz rządu PiS ogłaszał nas „sługami narodu ukraińskiego". Media nie pisały o niczym innym, jak tylko o pomocy Ukrainie, opisując ukraińskie męstwo za pomocą dziesiątek produkowanych przez siebie fake newsów. Nauka ukraińskiego miała „czynić coś cudownego" z mózgiem etc. Do Kijowa pielgrzymowały dziesiątki polskich wolontariuszy i „ekspertów". Ci ostatni wracali i przedstawiali nam

Pisaliśmy wcześniej w „Do Rzeczy"



„Do Rzeczy" nr 8/2023



„Do Rzeczy" nr 39/2023



„Do Rzeczy" nr 49/2023



„Do Rzeczy" nr 3/2024



„Do Rzeczy" nr 35/2024



„Do Rzeczy" nr 48/2024



„Do Rzeczy" nr 9/2025



„Do Rzeczy" nr 21/2025



„Do Rzeczy" nr 43/2025

eprasa.pl 612cf85725

wizję Ukrainy wzorowaną na wioskach potiomkinowskich, co nakazuje zadać wprost pytanie, czy to wynikało z poznawczej ślepoty, fascynacji geopolitycznej czy było efektem zwykłej i pospolitej korupcji, która w Kijowie nie jest zjawiskiem szczególnym. Pieniądze na tę działalność Ukraińcy mieli po części z przelewów od polskich podatników.

Słowem, liczba niewidomych i niedowidzących ukraińskiego neonazizmu ciągle rosła. Było to o tyle zastanawiające, że neonaziści na Ukrainie bynajmniej się nie ukrywali. We Lwowie i na zachodniej Ukrainie wywieszanie znaków i flag banderowskich to całkowity standard i można w Internecie znaleźć dziesiątki filmów i zdjęć. Acz w Polsce twierdzono, że to „ruskie fejki", to przecież publikowali je nie tylko Rosjanie i źródła niewiadomego pochodzenia, lecz także znani z imienia i nazwiska Polacy. Mówili i pisali o tym Leszek Miller i Sławomir Mentzen, którego przestraszyła pod tym względem wizyta we Lwowie. Znakomitym źródłem tych zdjęć i filmów jest choćby konto na X ukraińsko-amerykańskiej badaczki tematyki Holokaustu i nazizmu Marty Havryshko. Jej kosmopolitycznych poglądów wprawdzie nie podzielam, ale jednak – z autentycznym przerażeniem – publikuje ona kolejne materiały, których symbolika nie może budzić żadnych wątpliwości. Mało tego, wiele zdjęć i filmów zamieszczanych w mediach społecznościowych przez znanych ukraińskich polityków i generałów było oblepionych neonazistowską symboliką. Mieliśmy już zdjęcia gen. Wałerija Załużnego z taką symboliką, publikowane przez przyjazne mu media, a także zdjęcie Wołodymyra Zełenskiego trzymającego w ręku prawdziwą „biblię" ukraińskiego socjaldarwinistycznego szowinizmu w postaci „Nacjonalizmu" Dmytra Doncowa. Również na zdjęciach polskich polityków pielgrzymujących do Kijowa co jakiś czas w tle przewijały się nazistowskie symbole. Były covidiański minister zdrowia za rządów PiS Adam Niedzielski dał sobie zrobić pamiętną fotkę we lwowskim szpitalu, gdzie nad łóżkiem jednego z pacjentów wisiała wielka flaga UPA.

Z tej perspektywy nadanie Samodzielnemu Centrum Operacji Specjalnych „Północ" imienia Bohaterów UPA w ogóle nie jest niczym zaskakującym. Wszak

Od 2022 r. liczba niewidomych i niedowidzących ukraińskiego neonazizmu ciągle w Polsce rosła. Było to o tyle zastanawiające, że neonaziści na Ukrainie bynajmniej się nie ukrywali

wiele ukraińskich oddziałów i batalionów ma podobne nazwy, i to całkiem od dawna. W 2025 r. 31. Samodzielna Brygada Zmechanizowana otrzymała imię oficera UPA Łeonida Stupnyckiego; w 2023 r. w ramach batalionu dronowego Raid działa jednostka Nachtigall; inny pułk dronowy oficjalnie nosi nazwę Luftwaffe (sic!); wywodząca się z nazistowskiego Azowa 3. Brygada Szturmowa oficjalnie czy półoficjalnie używa zmodyfikowanego emblematu Brygady SS Dirlewanger. Zbrojne oddziały Azowa to zresztą inna historia, która mniej się w Polsce kojarzy z nazizmem, a przy którego rasistowskiej i jawnie nazistowskiej ideologii „tradycyjne" znaki i symbole UPA to tylko ideologiczne szczenięta.

Dlaczego w Polsce takie poruszenie wywołało nadanie jednej z jednostek nazwy Bohaterów UPA? Chyba dlatego, że każde polskie dziecko wie, czym była UPA. Nachtigall naprawdę mało komu mówi cokolwiek. Tymczasem pełna nazwa oddziału, do której nawiązano w roku 2023, brzmiała Battalion Ukrainische Gruppe Nachtigall. W okresie drugiej wojny światowej jednostką tą obok niemieckiego głównodowodzącego kierował ukraiński zbrodniarz wojenny Roman Szuchewycz. Batalion razem z Wehrmachtem 30 czerwca 1941 r. wszedł do Lwowa i wziął udział w (nieuznanej przez Niemców) proklamacji Państwa Ukraińskiego, a następnie w sposób dla siebie charakterystyczny uczcił to wydarzenie, współorganizując wielki pogrom lwowskich Żydów (liczba ofiar oceniana jest na ok. 1 tys. do 5 tys.). Żołnierze tego batalionu mieli także, nie do końca wyjaśniony, związek z masakrą polskich profesorów z Uniwersytetu Lwowskiego. Z kolei symbolika, której używa 3. Brygada Szturmowa, odwołuje się do emblematów SS-Sonderkommando Dirlewanger, jednostki kierowanej przez zbrodniarza wojennego i pedofila w jednym Oskara Dirlewangera, który kierował kompanią rozrośniętą w końcu do rozmiaru pułku. Była to jednostka złożona ze zwolnionych z więzień kryminalistów. Oddział dopuścił się licznych zbrodni na Lubelszczyźnie, Białorusi i Ukrainie, a najlepiej znany jest ze swojego udziału w brutalnej pacyfikacji powstania warszawskiego, po której Hans Frank wydał dla jego dowódcy uroczysty obiad w podziękowaniu za służbę III Rzeszy. Dirlewanger zmarł po wzięciu go do niewoli w 1945 r. w niewyjaśnionych okolicznościach, prawdopodobnie w wyniku śmiertelnego pobicia przez polskich żołnierzy, którzy rozpoznali w nim rzeźnika Warszawy. Naprawdę przy batalionach Nachtigall i Dirlewanger Bohaterowie UPA nie mogą dziwić. Stąd też zapewne autentyczne zdziwienie Zełenskiego i ukraińskich polityków, że ta właśnie nazwa wywołała w Polsce dziwne poruszenie, którego nie było nigdy wcześniej.

CZY UKRAINA JEST PAŃSTWEM NAZISTOWSKIM?

W wielu polskich środowiskach, szczególnie kresowych i patriotycznych, pomoc Ukrainie otwarcie tolerującej banderyzm zawsze wywoływała wielkie kontrowersje. Są one znacznie starsze niż wybuch wojny w 2022 r. Wielu Polaków, których głos jednak nie przebijał się do wielkich mediów i szerszej opinii publicznej, sygnalizowało problem znacznie wcześniej. Wielu też uważa, że współczesna Ukraina jest państwem jawnie nazistowskim. Czy jest?

Nie, jako państwo Ukraina nazistowska nie jest. Państwo nazistowskie to system totalitarny z narodowo-socjalistyczną ideologią. Jakkolwiek niepodległej Ukrainie do państwa liberalnego i demokratycznego zawsze wiele brakowało – zresztą bardziej w praktyce niż w teorii konstytucyjnej – to z pewnością nie ma w niej totalitarnego systemu władzy, charakteryzujących go mechanizmów kontroli społecznej i gospodarczej. Panuje tam raczej system mafijny, czyli rządów prywatnych grup lobbystycznych, niż system państwowego powszechnego zamordyzmu. Bliżej jej do jakiejś neofeudalnej patologii niż do silnego i wszechmogącego państwa.

eprasa.pl 612cf85725

Nawet w czasie toczącej się wojny działa jakiś kadłubowy wielopartyjny parlament, a fakt, że wspomniana Marta Havryshko może publikować w mediach niewygodne dla władz filmy i zdjęcia dowodzi, iż swobody liberalne jakoś tam funkcjonują, choć w bardzo niedoskonały sposób. Na Ukrainie nie ma też rządzącej monopartii totalitarnej. W Kijowie problem jest innego typu: państwo to systemowo nie tylko toleruje, lecz także wręcz wspiera symbolikę nazistowską.

Dlaczego? Mamy tutaj przedziwną sytuację, gdy ideologię neonazistowską, w imię której wymordowano setki tysięcy Polaków, Rosjan, Żydów i Czechów (o tych ostatnich ofiarach mało kto w Polsce wie, a chodzi o potomków osadników czeskich z XIX w., którzy budowali w Galicji zręby przemysłu), popierają władze państwowe bynajmniej zdominowane przez element nie tylko nazistowski, lecz także oryginalnie niezbyt nacjonalistyczny. Antysemici dawno już zwrócili uwagę na nadreprezentację Żydów we władzach w Kijowie. Żydami są lub mają żydowskie pochodzenie: prezydent Zełenski, były wicepremier i minister obrony Oleksij Reznikow, do niedawna wszechmocny człowiek numer dwa systemu władzy Andrij Jermak, mer Kijowa Witalij Kliczko etc. Do tego dochodzą liczni wielcy i wpływowi oligarchowie, jak Ihor Kołomojski czy Wadym Rabinowicz. Trudno mi przypuszczać, aby ludzie ci byli neonazistami, skoro częścią składową ideologii nazistowskiej zawsze był antysemityzm, a ideologia UPA absolutnie nie odstawała w tym względzie od ideologii NSDAP. Propagując nazizm i budując państwo nazistowskie, wszystkie wymienione tutaj osoby musiałyby nie posiadać instynktu samozachowawczego. O cóż więc chodzi?

Emmanuel Todd w wydanej w Polsce w 2025 r. książce „Klęska Zachodu" rysuje ciekawą mapkę. Dzieląc Ukrainę na zachodnią, środkową, wschodnią i południową (te dwie ostatnie części Rosjanie nazywają „Noworosją"), pokazuje, że prawie cała elita polityczna, administracyjna i wojskowa Zełenskiego składa się z ludzi pochodzących z Ukrainy Środkowej z Kijowem włącznie, podczas gdy oligarchowie głównie pochodzą z rosyjskojęzycznej Ukrainy Wschodniej. Ci drudzy panicznie boją się aneksji do Rosji, gdyż Władimir Putin dawno już u siebie ukrócił rodzimych oligarchów, więc popierają własne państwo ukraińskie. Rządzące elity ze środkowej Ukrainy ukonstytuowały państwo po Majdanie jako strukturę polityczną separatystyczną wobec imperium rosyjskiego, lecz brak im ideologii dla szerokich mas. Co więcej, masy ze wschodniej części państwa były prorosyjskie. W tej sytuacji elity z Kijowa musiały sięgnąć po ideologię nacjonalistyczną, opracowaną i propagowaną na Ukrainie Zachodniej, wokół Lwowa, czyli po banderyzm, gdyż była to jedyna dostępna im doktryna ukraińskiej suwerenności. Środkowa Ukraina nie miała żadnej idei, doktryny czy ideologii. Wschodnia ciążyła ku Rosji i w pewien sposób dotyczy to nawet Azowa, który rekrutuje się z tej części kraju, jest rosyjskojęzyczny, ale w zasadzie nie głosi doktryny ukraińskiego państwa narodowego, lecz stworzenie na gruzach Rosji imperium „białego człowieka".

Promocja banderyzmu stanowiła zatem racjonalną decyzję elit niewyrazistego narodowościowo i ideowo Kijowa, który sam banderowski nie jest, a jego elity tym bardziej, lecz nie potrafił wytworzyć własnej normalnej doktryny państwa narodowego i skupić Ukraińców wokół tej idei. Jedyną dostępną ideologią separatyzmu wobec Rosji pozostał szowinistyczny banderyzm, wraz z symboliką i skojarzeniami sięgającymi III Rzeszy. Zełenski i jego ekipa znaleźli się między ideologią ruskiego miru i rosyjskojęzycznego imperium Putina (której dziwaczną rasistowską odnogę stanowi miejscowy Azow) a szowinistycznym banderyzmem. Co więcej, Zełenski został zakładnikiem tej ideologii, gdyż po jej odrzuceniu nie miałby żadnej idei uzasadniającej istnienie samodzielnej Ukrainy jako państwa narodowego, separatystycznego wobec rosyjskiego imperium. Badacze stosunków międzynarodowych o tendencji „rewizjonistycznej", tacy jak wspomniany Emmanuel Todd, Glenn Diesen (autor książki „Nowy porządek świata po wojnie ukraińskiej") czy Jacques Baud (autor książki „Paix en Ukraine"), podkreślają, że wygrywając wybory prezydenckie w 2019 r., Zełenski chciał kompromisu z Rosją, lecz został do twardej postawy negocjacyjnej zmuszony przez nacisk zachodniej Ukrainy, bez której nie miałby ideologii państwowej, dostatecznego poparcia społecznego, a która groziła mu wprost rewoltą lub zabójstwem w razie ustępstw.

PO ODZYSKANIU WZROKU

Dochodzimy do wniosku końcowego, że siła banderyzmu nie wynika z sympatii Zełenskiego i jego ekipy, lecz z niedojrzałości politycznej Ukrainy, która w 1991 r. nagle stała się niepodległym państwem, nie będąc do tego przygotowana i decydując się złapać oraz wykorzystać jedyną jej dostępną ideologię odrębności od Rosji – banderyzm. Niestety, w Polsce nie chciano tego dostrzec, choć wszystkie oznaki tego procesu były dostrzegalne choćby z powodu istnienia mediów społecznościowych. Zainwestowaliśmy trudne dziś do ustalenia kwoty pieniężne, a także wysłaliśmy setki czołgów, wiele samolotów i tony broni do państwa, które miota się pomiędzy rosyjskim imperializmem a neonazizmem i nie potrafi stworzyć normalnego narodu z normalną doktryną państwa narodowego.

Nie zawaham się powiedzieć, że z punktu widzenia naturalnych procesów narodowotwórczych powstanie samodzielnej Ukrainy było przedwczesne, a to prowadzi do obecnych kłopotów. Dla naturalnych procesów narodowotwórczych byłoby lepiej, gdyby Ukraina przez następne dziesięciolecia istniała jako państwo od Rosji odrębne, lecz żyjące z nią w zgodzie, nawet pod jej protekcją. Każdy rok, każde dziesięciolecie przyzwyczajałyby Ukraińców do nowej dla nich sytuacji posiadania własnego państwa. Powstawałaby własna tradycja państwa narodowego, powoli wykuwałaby się elita polityczna, rodziłyby się własna refleksja polityczna i poczucie tożsamości.

Tak się jednak nie stało i możemy tylko stwierdzić, że dopóki Ukraina będzie się identyfikowała jako nie-Rosja i będzie budowała swoją tożsamość na czystej negacji wielowiekowej przynależności najpierw do Rzeczypospolitej, a potem do Rosji, dopóty jest skazana na budowę swojej tożsamości na szowinizmie, gdyż brak jej idei normalnego państwa narodowego. Dziwi, że nasze elity polityczne dopiero teraz zaczynają ten problem dostrzegać. Świadczy to o niedojrzałości geopolitycznej także z naszej strony.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 612cf85725



Z Leszkiem Żebrowskim, historykiem, pisarzem i publicystą
rozmawia Ryszard Gromadzki

Strachy na Lachy w realu

RYSZARD GROMADZKI: W ostatnich dniach w Kijowie miał miejsce uroczysty pochówek sprowadzonych z zagranicy szczątków Andrija Melnyka, jednego z głównych ideologów OUN.

W ceremonii wziął udział prezydent Ukrainy Zełenski. Kilka dni później nadał on tytuł „Bohaterów UPA" jednej z brygad ukraińskiej armii. Czy te prowokacyjne gesty nie wpisują się w zbrodnicze dziedzictwo OUN i UPA, które od momentu powstania oparte były na wrogości do państwa polskiego i nienawiści do Polaków?

LESZEK ŻEBROWSKI: Nie tylko do państwa polskiego. Ta wrogość do wszystkiego, co obce na ziemiach, które oni uważają za swoje, była niejako wpisana w ukraiński nacjonalizm. Ukraińcy podziwiali Adolfa Hitlera za to, co zrobił, ale uważali, że nie był doskonały, bo przecież zostawił część Żydów. My, oni tak rozumowali, nie zostawimy nikogo obcego, Polaka, Rosjanina, Ormianina, Węgra, Czecha, Cygana oczywiście czy Żyda i tak po kolei. To jest trudne do zrozumienia w Europie, bo dla mnie to nie jest Europa, jeśli ktoś w otwarty sposób propagował takie treści. Myślę, że to opóźniony skutek rewolucji francuskiej i wojen napoleońskich. Uwolnienie tego, co wcześniej nie istniało w świadomości. Naród rycerski, szlachecki, to byli Polacy, a cała reszta nie. W każdym innym państwie było podobnie.

Nacjonalizmy, które w drugiej połowie XIX w. pojawiły się w Europie, nie były zjawiskiem nowym, one istniały wcześniej, ale były inaczej rozumiane. W Polsce wczesny patriotyzm, w postaci jakiegoś pseudonacjonalizmu, pojawił się już za czasów Władysława Łokietka. Córka Bolesława Kaliskiego, Jadwiga, mówiła o sobie, że jest pierwszą Polką, bo za taką się uważała. We Włoszech prekursorem nacjonalizmu był Dante Alighieri. Ale potem była długa przerwa. Gwałtowny wybuch nacjonalizmów europejskich nastąpił pod koniec XIX w. Nie tylko wschodnioeuropejskich, środkowoeuropejskich, lecz także zachodnioeuropejskich. Co ciekawe, nacjonalizmy francuski, angielski czy niemiecki były nacjonalizmami skrajnymi, opartymi na

eprasa.pl 612cf85725



25 maja 2026 r. prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski wziął udział w ceremonii powtórnego pochówku Andrija Melnyka, przywódcy współpracującej z nazistowskimi Niemcami Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN)

FOT. GENYA SAVILOV/AFP/EAST NEWS

kryterium „krwi". „Nasz" był ten, który miał tę samą „krew", którą odziedziczył. Polska na tym tle bardzo się wyróżniała.

Czy wynikało to wprost ze spuścizny I Rzeczypospolitej, państwa wielonarodowego, gwarantującego wolność religijną?

W Polsce nie powstał nacjonalizm odwołujący się do kryterium „krwi". Dobrze wyraził to prof. Wincenty Lutosławski, który mawiał, że „Polakiem w Polsce może być każdy. Może być Niemiec, może być Żyd, może być Murzyn czy Indianin".

A więc Ukrainiec też...

Jeśli identyfikuje się z Polską, z polskością, wyznaje polskie wartości i chce pracować dla Polski. Dla innych to było nie do pojęcia. Niemcy np. uważali, że na pierwszym miejscu jest czystość rasowa. U Ukraińców trudno mówić o czystości rasowej, bo oni byli mieszani przez wieki. Natomiast w ich wypadku kryterium czystości etnicznej polegało na tym, kto uważa się za Ukraińca, cała reszta jest do eksterminacji. To straszne, bo z jednej strony nie rozumiemy takiego podejścia, a z drugiej ponosimy tego skutki.

Czy podglebiem współczesnego ukraińskiego nacjonalizmu nie była Kozaczyzna? Ekstremalne okrucieństwo wobec nie-Ukraińców było normą w czasach powstania Chmielnickiego, a później Humania i „koliszczyzny". Opisy rzezi urządzanych przez Kozaków w XVII czy XVIII w. niczym nie różnią się od bestialstw popełnianych przez UPA na Wołyniu czy w Małopolsce Wschodniej podczas drugiej wojny światowej.

Oczywiście, że tak. Mówimy o ciągu zdarzeń, przynajmniej od potopu, a nawet wcześniej, na terenach, które nazywaliśmy Kresami Wschodnimi. Dziś w świadomości wielu Polaków za Kresy Wschodnie uchodzi Małopolska Wschodnia. To absurdalne, bo w epoce I Rzeczypospolitej była to Polska Środkowa. Kresy Wschodnie i Południowo-Wschodnie przez wieki miały wpisane w swój los cierpienie i okrucieństwo, w rycie wschodnim. Nie samo w sobie. Mówimy o czerpaniu przyjemności z okrucieństwa i zadawaniu cierpienia. To właśnie stamtąd przyszło nadziewanie na pal, wymyślne tortury, np. gotowanie ludzi w smole. Rzeczy nie do pojęcia.

Są relacje rabinów żydowskich, którzy opisują tortury, których doświadczyli ze strony Kozaków w czasie powstania Chmielnickiego Żydzi. To były takie same tortury, jakimi zamęczano Polaków na Wołyniu. Z tą różnicą, że w XVII w. ich skala była mniejsza. W tych relacjach znaleźć można opisy rozpruwania brzuchów kobiet i zaszywania w nich żywych kotów, które wydostawały się na zewnątrz, rozrywając pazurami ciało. To są rzeczy niewyobrażalne, których nikt nie chce przyjąć do wiadomości. Tam to było zawsze. Od Kozaczyzny, przez Humań, „koliszczyznę", aż przyszedł czas rewolucji bolszewickiej w 1917 r. Państwo rosyjskie jest w rozsypce, panuje anarchia. I znowu na terenach Kresów Południowo-Wschodnich tysiące Polaków straciło życie z rąk Ukraińców w niezwykle okrutny sposób.

Piszą o tym przejmująco Zofia Kossak-Szczucka w „Pożodze" czy Eugeniusz Małaczewski w „Koniu na wzgórzu"...

Tak. Istnieje bogata literatura wspomnieniowa, dziś prawie całkowicie zapomniana. W czasach II RP te wspomnienia były powszechnie wydawane i masowo czytane. W tzw. Polsce Ludowej już takich książek nie publikowano, bo nie wypadało. Tym bardziej po roku 1989 można powiedzieć, że tego rodzaju wydawnictwa są bardzo niechętnie widziane, bo mogą urazić czyjąś wrażliwość. Czyli rezygnujemy z własnej wrażliwości, bo oni nie lubią, żeby im to przypominać.

Były momenty w polsko-ukraińskiej historii, kiedy to Polska próbowała stworzyć sojusz najpierw z Kozakami w formule „Rzeczypospolitej Trojga Narodów", a później z Ukraińcami. Mam na myśli współpracę Piłsudskiego z Petlurą i udział sił ukraińskich w wojnie z bolszewikami. Dlaczego pana zdaniem to nie mogło się udać?

Podstawą jest współmierność. Można dążyć do jakiegoś porozumienia, do unii, do stworzenia wspólnego państwa, tak jak się to stało z Litwinami, ale na jakimś konkretnym podłożu. Tam były współmierność religijna i w jakimś stopniu poczucie wspólnego zagrożenia przed Moskwą. Stąd unie z Litwą, które w istocie uratowały ją przed całkowitym zniszczeniem i zruszczeniem. Natomiast na Kresach Południowo-Wschodnich tej współmierności religijnej zabrakło. W sensie społecznym to, z czym mieliśmy tam do czynienia w wiekach XVII czy XVIII, to nie był klasyczny nacjonalizm, bo ludzie tam żyjący nie mieli czystych korzeni ruskich. Trzeba pamiętać, że na tych ziemiach miało miejsce olbrzymie osadnictwo z Polski Centralnej, z Mazowsza, z Kielecczyzny czy z Małopolski. Działo się tak dlatego, że w miejscach, skąd brali się osadnicy, brakowało ziemi i była ona gorsza do uprawy. Za to na Ukrainie były „wolnizny", więc jechały tam całe wsie. Do tego osadnicy mogli liczyć na zwolnienie z podatków, nawet przez kilkadziesiąt lat. Dzięki temu mogli się szybko bogacić.

Problemem była religia. Brak kościołów katolickich, co wynikało z unii brzeskiej. W związku z tym panował tam obrządek bizantyjski, prawosławny,

eprasa.pl 612cf85725



już zgrecyzowany. To przede wszystkim z tego powodu nie mogliśmy się z nimi porozumieć. Oni tego nie chcieli. Porozumienie może być wtedy, gdy chcą go obie strony. W tym przypadku tego zabrakło. Nie było wspólnej miary do tego, co razem chcemy przeżywać i tworzyć. Oni chcieli być u siebie, tylko dla siebie, a wszystkich obcych najlepiej usunąć. I dokładnie to przez wieki robili.

Piłsudski wykazał się głęboką naiwnością, forsując sojusz z Ukraińcami?

Pomysły Piłsudskiego były skrajnie anachroniczne w tamtym okresie. On wierzył, że jak wkroczy z odezwami Osmołowskiego na dawne ziemie Wielkiego Księstwa Litewskiego, to stworzy potężną, antyrosyjską federację, na której czele stanie on sam. Był przekonany, że to się uda. A to się udać nie mogło, dlatego że wojna 1920 r. rozpoczęła się od tego, iż to Polacy wkroczyli na dawne ziemie Rzeczypospolitej i chcieli wyzwalać Ukrainę, stworzyć Ukrainę. Przez dwa tygodnie polskiego panowania w Kijowie nie udało się namówić Ukraińców, bo ci nie mieli ani sił, ani środków, by stworzyć przynajmniej zalążkową własną administrację. Petlura przyznawał się wprost, że nie ma z kim, że nie ma ludzi. Więc co? Mieliśmy tam zostać jako okupanci? A tak byliśmy traktowani. Petlura miał jakąś tam armię, ale na tle tego, co wtedy działo się na Ukrainie, nie była to armia największa. Od 30 do 40 tys. ludzi pod bronią, gdy ataman Machno miał do dyspozycji dwa razy więcej ludzi. Jeśli Petlura był w sojuszu z Polską, to my walczymy za niego i dla niego, a on za nas i dla nas. Natomiast kiedy zaczęło się wycofywanie się spod Kijowa aż do Warszawy, to wojsko Petlury zaczęło szybko topnieć. Ostatecznie w Polsce znalazło się tylko kilka tysięcy jego żołnierzy, do tego nie wszyscy walczący. O jakimkolwiek poważnym sojuszu polsko-ukraińskim nie mogło więc być już mowy.

Wojna z bolszewicką Rosją skończyła się traktatem ryskim. Na mocy jego postanowień w granicach II RP znalazła się ponadtrzymilionowa ukraińska mniejszość z całym bagażem problemów wynikających z historii i kulturowej obcości.

To była tak znacząca mniejszość, która odcisnęła piętno na całej historii II Rzeczypospolitej. Nie możemy obciążać się wiecznie winą, mówić ciągle, że zrobiliśmy coś źle. Były gesty ze strony polskiej. Oddawanie im więcej, niż powinniśmy czy nawet mogliśmy. Natomiast gdy jakieś gesty pojednawcze pojawiały się ze strony ukraińskiej, jakieś ośrodki i siły czy znaczące osoby, które chciały z Polakami współpracować, to ci ludzie byli mordowani. Ci z Polaków, którzy wyciągali ręce do Ukraińców, także byli mordowani. Chodziło o to, żeby nie dopuścić do jakiegokolwiek porozumienia.

Ofiarami najgłośniejszych zamachów ze strony ukraińskich terrorystów padli w latach 30. minister spraw wewnętrznych Pieracki i poseł Hołówko. Ale przecież ofiar ukraińskich zamachowców było więcej.

Wymienił pan dwie znaczące postacie polskiej polityki tamtego czasu. Ale ten zabójczy proceder był nagminny, to działo się przez cały okres II RP. Wszyscy ci Ukraińcy, którzy okazywali jakikolwiek sentyment albo lojalność wobec II Rzeczypospolitej, wobec państwa, w którym żyli, byli szykanowani, a w skrajnych przypadkach mordowani.

Powstała w Wiedniu w 1929 r. Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) mogła liczyć na wsparcie ze strony Niemiec, realizowane operacyjnie przez ich wywiad Abwehrę, przez pewien czas także Związku Sowieckiego, Czechosłowacji, a nawet małej Litwy. Czy można powiedzieć, że sąsiedzi Polski celowo podsycali ukraiński nacjonalizm w II RP?

Tak, ale oczywiście w różnym stopniu. Na przykład Litwa, jako państwo mikroskopijne, nieliczące się w Europie, nie odgrywała w tej historii istotnej roli. Natomiast rola Czechosłowacji polegała przede wszystkim na udzielaniu schronienia działaczom OUN. Dla Niemiec Ukraińcy i organizacje ukraińskie stanowiły agenturę, którą można było manipulować i podpuszczać na Polaków. Z kolei Stalinowi było na rękę, że są w Polsce bunty, że Ukraińcy się przeciwstawiają, bo widział w tym własny interes. Każde działanie przeciw II RP było działaniem na jego korzyść. Jest ciekawa rzecz, o której nie wiem, dlaczego w ogóle się nie mówi. To opublikował jako pierwszy prof. Wiktor Poliszczuk. W 1929 r., kiedy powstała Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów, jej pierwotna nazwa brzmiała zupełnie inaczej. Oni się nazywali Organizacja Ukraińskich Faszystów. W Europie panowała wówczas „moda na faszyzm" i oni się do tego dopasowali. Ostatecznie ich przywódcy doszli do przekonania, że faszystów jest wszędzie pełno, a my chcemy być odrębni, nie chcemy identyfikować się z innymi. Stąd wzięła się Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów.

Gloryfikowanie Andrija Melnyka, najważniejszej obok Bandery postaci OUN, nie jest bezczelną prowokacją ze strony Ukraińców? Melnyka przedstawia się dziś jako polityka i ideologa umiarkowanego, odcinając go od ludobójczej praktyki OUN UPA. Czy zasadnie?

Ukraińcy byli podzieleni. Nacjonalistyczne formacje ukraińskie faktycznie się różniły. Rzeczywiście melnykowcy byli mniej okrutni, mniej zbrodniczy niż banderowcy. Ale w sumie współpraco-

eprasa.pl 612cf85725



Zamordowani przez nacjonalistów ukraińskich członkowie rodziny Rudnickich ze wsi Chobułtów koło Włodzimierza Wołyńskiego FOT. IPN

wali ze sobą. Bardzo częste były przejścia z jednej frakcji do drugiej. Symbioza trwała i była możliwa. To nie była brutalna walka o władzę, tylko rywalizacja o wpływy. A kto wygra, to się zobaczy. Melnykowcy współpracowali z Niemcami w sposób jednoznaczny, nie ma co do tego wątpliwości. Wyciąganie dzisiaj Melnyka jako kogoś w zastępstwie Bandery nie wchodzi w rachubę, oni tego nigdy nie zrobią. Jednak z punktu widzenia Polski nie powinno być żadnej akceptacji dla prób rehabilitacji ani Bandery, ani Melnyka, dla wszystkich frakcji OUN-UPA, bo w sprawie zniszczenia polskości i Polaków wszyscy oni szli ręka w rękę. Jedni bardziej otwarcie i okrutnie, inni mniej, ale robili to samo.

Czy aparat państwowy II RP radził sobie skutecznie z ukraińskim nacjonalizmem?

Nie. Ten aparat nie miał wizji i świadomego celu. Nie były sformułowane przekonujące postulaty, jak załatwić sprawę ukraińską w Polsce. Bo powstanie niepodległego państwa ukraińskiego było mrzonką, która nie wchodziła w rachubę, dlatego że mielibyśmy klasyczny rozsadnik. Wrzód rozlałby się na całą Rzeczpospolitą. Chodziło o istnienie w państwie, które uzyskało określony kształt terytorialny, tak jak wszystkie inne państwa w Europie Środkowo-Wschodniej, i to było uznane przez prawo międzynarodowe oraz państwa leżące wokół nas.

Natomiast Ukraińcy uważali, że są w stanie samodzielnie albo przy pomocy agentury niemieckiej wykroić część terytorium II RP, utworzyć coś w rodzaju „ukraińskiego Piemontu", a później iść coraz dalej. Pamiętajmy, że do dziś w hymnie ukraińskim są żądania terytorialne nieograniczone. Wobec Rosji to jest Don, wobec Polski to jest San. Oni tego nie ukrywają. Granice obecnego państwa ukraińskiego uważają za tymczasowe. Przed wojną były różne propozycje dotyczące ukraińskiego samorządu, podejmowano próby dogadywania się. My wam otworzymy serce, damy więcej, ale wy w zamian za to będziecie przyjaźni. Ukraińcy się na to nie godzili. Niszczyli wszystko w zarodku, co ze strony ukraińskiej powstawało jako niepropolskie, ale nie antypolskie. Nie było jednej polityki II RP wobec mniejszości ukraińskiej. Nie wiedziano, jak postępować z Ukraińcami. Czy łagodnie, czy siłowo. Działano więc raz tak, a raz tak. To spowodowało katastrofę. Było coraz gorzej zamiast coraz lepiej.

Minęło ponad 80 lat i znów mamy w Polsce silną ukraińską mniejszość i podobnie jak w II RP brakuje strategii ze strony państwa polskiego, jak z nią postępować. Wisi nad nami widmo kolejnej katastrofy?

Historia jest doświadczeniem niepowtarzalnym. To samo się już nigdy nie powtórzy. Będzie inaczej. Ale w ogólnym zarysie jak najbardziej tak. Pytał pan, co się może dalej dziać w relacjach z Ukraińcami. Możliwe jest wszystko. Także scenariusz, że być może sfrustrowani Ukraińcy odwrócą oręż przeciw nam. Oni wojny z Rosją nie wygrywają, choć jeszcze jej nie przegrali. Ale ponad 20 proc. terytorium kraju jest w tej chwili w zasięgu Rosji. Rosja miała być pobita i rozbita, a rosyjscy żołnierze mieli chodzić w łapciach i jeść przeterminowane konserwy. Okazało się, że to wszystko jest nieprawda. Rosja się trzyma i Ukrainy ze swoich rąk nie wypuści, przynajmniej jakiejś części. Co wobec tego mogą zrobić sfrustrowani ludzie z frontu, jeśli dojdzie do jakiegoś zawieszenia broni czy trwałego pokoju? Uzbrojeni po zęby, wyszkoleni, ostrzelani na froncie. A kto jest po drugiej stronie? Wojska Obrony Terytorialnej? Tak, dobre do strzeżenia granicy. Wojsko Polskie jako takie? To prawda, że dziś kupujemy masę żelastwa itd., ale tamci są z tym obyci. Oni się tym posługiwali, a my się tego dopiero uczymy. Gdzie będziemy się bronić? Nie mamy tak zróżnicowanych pod względem rzeźby terenów, jak np. Iran. Polska jest płaska jak stół. Jak wejdzie do niej jakieś wojsko, to bardzo szybko dotrze do Wisły, a być może dalej, bo nie mamy gdzie i jak się bronić. Nie mamy za bardzo czym. Jeśli polska armia ma generalnie 200 tys. ludzi, z czego do walki można użyć 50, a może tylko 40 tys., to po drugiej stronie frontowych wojsk ukraińskich mamy setki tysięcy. Zaprawionych w boju ludzi. To jest zjawisko groźne. Oby do tego nie doszło. Ale były i są siły, które ostrzegają, że jeśli Ukraina obróci oręż przeciwko nam, to my nie mamy sojusznika. Kto nas będzie bronił? To nie będzie agresja przeciwko państwu NATO, gdzie miałby zastosowanie słynny artykuł 5. Wielokrotnie się na różnych sojuszach sparzyliśmy i wiemy, jak to działa, a raczej nie działa.

Słuchając pana, ktoś może powiedzieć, że to czysty defetyzm i strachy na Lachy. To przypomina sytuację z 1939 r., gdy również zapewniano, że jesteśmy silni, zwarci i gotowi.

Lepiej trochę postraszyć, niż później udawać zaskoczenie, „a bo my nie wiedzieliśmy, nie zdawaliśmy sobie sprawy". Broń jest przemycana przez granicę od ponad czterech lat. Ludzie wyszkoleni wojskowo są w Polsce. Tu są ściągani na leczenie i wypoczynek, tu są ich rodziny.

Wielu z nich tu zostanie i ma marzenia polityczne. To nie jest tylko Zakierzonie, czyli teren, który uważają za swój, bo granice Ukrainy imperialnej, nacjonalistycznej sięgają od Białegostoku, przez Warszawę, Radom i Kielce, po Kraków. To jest kawał terytorium Polski, który w ich mniemaniu im się po prostu należy. Ale my nie chcemy tego oddać – to oni sobie to wezmą…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Leszek Żebrowski *– historyk, pisarz i publicysta. Jest autorem licznych książek historycznych i stałym felietonistą tygodnika „Do Rzeczy".*

eprasa.pl 612cf85725



Łukasz Warzecha

Dlaczego Tuskowi nie spada?



Jeśli po niemal już trzech latach sprawowania władzy z niezliczoną liczbą potknięć i fatalną sytuacją budżetową partia Donalda Tuska jest w stanie nadal wyprzedzać PiS o ok. 10 punktów, to oznacza to, że PiS jest słabszy niż kiedykolwiek

Trochę ponad rok temu Rafał Trzaskowski został prezydentem RP. Co prawda tylko na dwie godziny. Ostateczna wygrana jego rywala Karola Nawrockiego wywołała w PiS entuzjazm. Politycy tego ugrupowania zachowywali się tak, jakby wybory w 2027 r. były już wygrane, a Donald Tusk miał wkrótce wylądować na politycznym śmietniku. Może nie byliby tak pochopni w swoich ocenach, gdyby wychwycili dzisiaj powszechnie znany detal z wieczoru wyborczego Trzaskowskiego: podczas gdy jego otoczenie skakało z radości, a po zakończeniu oficjalnej części spotkało się w mniejszym gronie, aby dalej świętować, premier szybko się zwinął i pojechał do domu. Donald Tusk bardziej niż większość członków jego własnej partii nie tylko rozumiał, co się dzieje, lecz także był na to przygotowany.

Przegrana kandydata Koalicji Obywatelskiej była oczywiście dla tej partii ciosem. Ale czy faktycznie tak dotkliwym, jak wyobrażali sobie polityczni rywale spod sztandaru PiS? Spójrzmy na średnią sondażową, bo ona pozwala nam wydobyć względnie klarowny obraz z gąszczu badań różnych ośrodków. Rok po dwugodzinnej prezydenturze Rafała Trzaskowskiego trudno byłoby obronić tezę, że KO ucierpiała, a PiS dostał wiatr w żagle. W ciągu 12 miesięcy średnie notowania obu ugrupowań zrównały się tylko raz: w lipcu ubiegłego roku, czyli bezpośrednio po czerwcowym zwycięstwie Nawrockiego. Nie wynikało to zresztą ze wzrostu notowań PiS, ale z chwilowego osunięcia się notowań KO w okolice 28 proc. Lecz nawet wtedy KO zachowała jednopunktową przewagę nad głównym rywalem. Potem widzimy fluktuujące w zakresie ok. 5 pkt, średnie notowania KO mieszczące się pomiędzy 30 a 35 proc. oraz systematyczny spadek notowań PiS z poziomu 30 proc. w sierpniu 2025 r. do poziomu 21 proc. obecnie, z tąpnięciem nawet do 19 proc. W całym tym okresie Konfederacja Wolność i Niepodległość zachowuje bardzo stabilne notowania na poziomie 13–14 proc., podczas gdy Konfederacja Korony Polskiej Grzegorza Brauna zjechała w ciągu ostatnich kilku miesięcy ze szczytu na poziomie 11 proc. na przełomie lat 2025 i 2026 do obecnych 8 proc.

IDEALNY PRZECIWNIK

Można by się spodziewać, że ugrupowanie Tuska ma na koncie dość wpadek i problemów, aby jego notowania spadły. Dlaczego tak się nie dzieje? Odpowiedź można podzielić na cztery wątki.

Wątek pierwszy to wybór Karola Nawrockiego. Z wewnątrzpartyjnego punktu widzenia Donalda Tuska jako przewodniczącego KO wiele przemawiało za wystawieniem właśnie Trzaskowskiego, a nie znacznie trudniejszego do kontrolowania i mniej przewidywalnego Radosława Sikorskiego. Ostatecznie decyzję podjęli członkowie KO w głosowaniu, ale jasne jest, że miało na nią wpływ to, jakie było życzenie „Kierownika". Zresztą zrzucając ciężar wyboru na członków partii, Tusk uwalniał się od osobistej odpowiedzialności.

Wystawiając Trzaskowskiego, premier, w razie jego przegranej, pozbywał się potencjalnego rywala. To się idealnie udało – dzisiaj Rafał Trzaskowski jest w KO nikim i prawdopodobnie zakończy swoją dużą polityczną karierę po odejściu ze stanowiska prezydenta Warszawy. Może jeszcze załapie się w przyszłości na europosła. W razie wygranej Donald Tusk przypisałby natomiast sukces sobie, a znając charakter i zdolności Rafała Trzaskowskiego, wiedział, że ten jako prezydent nie zagrozi mu bardziej niż kiedyś Bronisław

eprasa.pl 612cf85725



Premier Donald Tusk i rzecznik rządu Adam Szłapka FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/FORUM

Komorowski. Czyli wcale. W praktyce był to układ win-win.

Natomiast z punktu widzenia krajowej polityki przegrana kandydata KO była porażką, ale nie była przecież klęską, bo różnica głosów była w skali kraju bardzo nieduża, a Tusk wiedział doskonale to, co starają się pomijać w swoich wypowiedziach politycy PiS: że ponad 40 proc. głosów oddanych na Nawrockiego były to głosy „pożyczone" z elektoratów innych ugrupowań. Wbrew temu, jak ubiegłoroczne zwycięstwo próbuje przedstawiać obóz Jarosława Kaczyńskiego, Karol Nawrocki nie wygrał dlatego, że był znakomitym kandydatem, ale dlatego, że dla elektoratu niepisowskiego był kandydatem relatywnie lepszym niż kandydat KO.

Premier w zamian za niedoszłą prezydenturę Rafała Trzaskowskiego dostał przeciwnika idealnego w postaci nowej głowy państwa: asertywnego prezydenta, który pozwala mu podtrzymywać zbawienną dla KO polaryzację szczególnie poprzez weta. W roli drugiego bieguna coraz słabiej sprawdzałoby się rozbite, zdezorganizowane i pogrążone w wewnętrznych walkach PiS.

Może ktoś powiedzieć, że przecież Karol Nawrocki zawetował dotychczas jedynie 34 ustawy z ogólnej liczby 250, jakie do niego trafiły, a więc 13,6 proc. To oczywiście znacznie więcej niż poprzednik, ale też poprzednik przez ogromną większość swoich dwóch kadencji współrządził z partią, która wystawiła go na prezydenta. Klucz do tworzenia polaryzacyjnego mechanizmu nie leży jednak w suchej statystyce, ale w tym, co prezydent wetuje. Weto do ustawy wprowadzającej SAFE, ustawy o kryptoaktywach albo o Krajowej Radzie Sądownictwa czy spodziewane weto do ustawy o statusie osoby najbliższej są z tego punktu widzenia wiele warte. To one pozwalają podtrzymywać iluzję walki dobra ze złem. Prezydent, dbając o własne notowania, jest w tej kwestii godnym zaufania partnerem dla rządu. Jest też dobrym i uniwersalnym wytłumaczeniem jego nieskuteczności. Donald Tusk może żonglować dwoma wyjaśnieniami braku sprawczości, kierowanymi w stronę własnego elektoratu: w niektórych przypadkach Sejm przegłosowuje rozwiązania, o których wiadomo, że niemal na pewno zostaną przez prezydenta zawetowane – jak kolejna wersja ustawy o kryptoaktywach czy ustawa o statusie osoby najbliższej; innych projektów nawet nie ma, bo można powiedzieć, że i tak będzie weto. Właśnie sprawa związków homoseksualnych – pojawiających się pod różnymi nazwami – jest idealnym przykładem.

Mało kto zdaje się dostrzegać, że Karol Nawrocki może mieć również duży wpływ na potencjalnie korzystny dla KO wynik wyborów parlamentarnych w przyszłym roku. Donald Tusk byłby niemądry, gdyby nie zagrał kartą prezydenta, mówiąc wyborcom: zobaczcie, jeśli nie powierzycie nam rządów na kolejną kadencję, to polexitowcy i putiniści wezmą już wszystko – mają prezydenta, a będą mieli i rząd. Ciekawe, czy otoczenie Karola Nawrockiego opracowuje już taktykę na czas długiej kampanii wyborczej, która osłabiłaby tę argumentację.

SILNI SŁABOŚCIĄ PRZECIWNIKA

Drugi wątek to przejęcie przez Donalda Tuska niektórych tematów, uznawanych przez PiS za swoje. Nie da się już dzisiaj wiarygodnie atakować premiera za sytuację na granicy wschodniej. Owszem, są pojedyncze zdarzenia dotyczące jeszcze przeszłości, które są przez największą partię opozycyjną wyciągane – takie jak sprawa byłego już policjanta Tomasza Waszczuka, który nie dopuścił na teren nadgraniczny za rządów PiS posłanek Klaudii Jachiry i Urszuli Zielińskiej. Nie sposób jednak dzisiaj twierdzić, że rząd KO odpuścił granicę z Białorusią. Nie bez powodu PiS nie próbuje nawet tego argumentu podnosić – politycy tej partii wiedzą, że zostałby błyskawicznie obalony.

To również rząd Tuska stworzył strategię migracyjną – nieidealną, ale jednak – czego rząd PiS nie zrobił. Od połowy ubiegłego roku weszły także w życie przepisy ograniczające możliwości przyjmowania zagranicznych studentów spoza UE, co przez wiele lat było furtką

eprasa.pl 612cf85725

dla niekontrolowanej imigracji i z czym rząd PiS również sobie nie poradził.

Poprzez temat pożyczki SAFE Donald Tusk umiejętnie zagrał kartą twardego bezpieczeństwa. I choć sondaże wskazują, że w ocenie przystąpienia do programu wbrew prezydenckiemu wetu respondenci są podzieleni prawie po połowie, to stanowisko rządu pozwoliło Tuskowi utrwalić skojarzenie z kwestiami bezpieczeństwa.

Tymi posunięciami premier dopieszcza elektorat, dla którego ważne są „twarde" kompetencje władzy, przede wszystkim zapewnienie bezpieczeństwa. Oczywiście toczy się tutaj wizerunkowa wojna, w ramach której nagłaśniany jest przez opozycję każdy przypadek, mogący podważać tezę, że rząd takie bezpieczeństwo zapewnia. Jednocześnie dopieszczaniu zideologizowanej części wyborców służą takie działania jak wytyczne, pozwalające uznać rzekome zagrożenie zdrowia psychicznego za przesłankę do aborcji, przegłosowanie ustawy o statusie osoby najbliższej czy wprowadzenie – ze złamaniem prawa – transkrypcji „małżeństw" homoseksualnych zawartych w innych państwach.

Wreszcie trzeci wątek to kondycja przeciwnika. Ta zaś jest bardzo słaba. „Rząd jest silny słabością opozycji" – ta fraza powtarzana była w wielu sytuacjach w przeszłości, ale nie jest przecież nieprawdziwa. O błędach lub problemach PiS pisałem wielokrotnie. W kontekście skutecznej obrony swojej pozycji przez KO trzeba je jednak ponownie krótko przypomnieć.

Przede wszystkim dla każdej partii politycznej potencjalnie zabójcze byłyby wewnętrzne spory, kłótnie i awantury wywlekane nieustannie na zewnątrz. W partii Kaczyńskiego poziom wewnętrznego konfliktu jest prawdopodobnie największy od momentu jej powstania, a publiczne zarzucanie sobie hipokryzji, niekonsekwencji czy złej woli stało się standardem. KO także ma wewnętrzne problemy i również walczą w niej frakcje – oczywista sprawa w dużym ugrupowaniu – ale nie ma mowy o tym, żeby działo się to publicznie i aby przedstawiciele zwaśnionych środowisk okładali się pałkami w mediach społecznościowych. Wskutek tego KO jest w stanie utrzymać wizerunek partii spójnej, nad którą jej przewodniczący ma pełną kontrolę, podczas gdy PiS wydaje się dzisiaj ugrupowaniem słabym, którego prezes stracił autorytet i nie jest w stanie ani uspokoić zwaśnionych środowisk, ani wytyczyć jasnego i czytelnego kursu.

Spoglądając na średnią sondażową, zobaczymy wyraźną zależność: wahania w poparciu dla PiS nie mają praktycznie żadnego wpływu na notowania Konfederacji, za to są niemal idealnie zbieżne z notowaniami Konfederacji Grzegorza Brauna. Tam, gdzie PiS spada, tam KKP rośnie – i odwrotnie. W tej chwili jesteśmy w fazie lekkiego osłabienia poparcia dla tej ostatniej i lekkiego wzrostu notowań Prawa i Sprawiedliwości. Jest to zapewne skutek wprowadzenia w niektórych sprawach radykalnej retoryki do języka niektórych polityków PiS. Ale ta taktyka ma ograniczoną skuteczność. Po pierwsze – barierą jest wiarygodność partii Kaczyńskiego. Część elektoratu, który opuścił PiS dla którejś z Konfederacji, zrobiła to z powodu dobrze pamiętanych działań władzy w czasie COVID i w sprawie Ukrainy, a po części również z powodu rozbuchanego etatyzmu czy Polskiego Ładu. Brak rozliczenia się przez PiS ze swoich działań i udawanie, że ich po prostu nie było, np. buńczuczne pohukiwania w sprawie Zełenskiego choćby przez Pawła Jabłońskiego, byłego wiceministra spraw zagranicznych, w latach 2022–2023 gromiącego każdego, kto nie był dość proukraiński, sprawiają, że przepływ wyborców z KKP do PiS ma pułap, powyżej którego nie wyjdzie.

KO musiałaby raczej potknąć się o własne nogi, bo żadna z metod, które próbuje stosować wobec niej największa partia opozycyjna, nie daje nadziei na znaczącą zmianę sytuacji sondażowej

Można postawić tezę, że obrona pozycji sondażowych przez KO jest miarą słabości jej głównego oponenta. Jeśli po niemal już trzech latach sprawowania władzy z niezliczoną liczbą potknięć i fatalną sytuacją budżetową partia Donalda Tuska jest w stanie nadal wyprzedzać PiS o ok. 10 pkt, to oznacza to, że PiS jest słabszy niż kiedykolwiek. Nie jest bowiem w stanie wykorzystać błyskawicznego zużywania się władzy.

Ostatnie źródło siły Tuska to pasożytowanie na staczającej się w niebyt Polsce 2050 (obecnie 1–2 proc. w średniej sondażowej). Jest to źródło, które niemal całkowicie już wyschło, najpierw jednak zostało wyssane przez dużego koalicjanta.

DWA ZAGROŻENIA

Największym zagrożeniem dla stabilności notowań KO mogą być dwie kwestie. Pierwsza to wzrost kosztów życia, a więc inflacja, a także zapowiedzi ukształtowania zasad Zielonego Ładu. W najnowszym raporcie „W poszukiwaniu optymalnej polityki klimatycznej" Warsaw Enterprise Institute ostrzega, że sam system ETS to dla Polski koszt blisko 13 mld euro (czyli ponad 55 mld zł) rocznie! Po wejściu w życie ETS2 ceny ogrzewania mogą wzrosnąć nawet o 41 proc., a ceny transportu – o 25 proc. Rząd Tuska nie ma na to żadnej odpowiedzi. Aczkolwiek pamiętać trzeba, że prognozy i przewidywania, w dodatku dotyczące wielkich liczb, mają na wyborców wpływ ograniczony. Znacznie bardziej działa na nich to, co już się dzieje i co bezpośrednio dotyka ich portfeli.

Druga kwestia to zachwianie obrazem władzy jako dbającej o polskie bezpieczeństwo. Może na to wpłynąć zarówno jakiś jeden spektakularny incydent czy dwa, np. następny nalot dronów nad polskie terytorium, jak i nagromadzenie zdarzeń innego rodzaju i mniejszej skali, takich jak atak obywatela Zimbabwe w Lublinie na Polaka, który zakończył się dla Murzyna bez konsekwencji.

Innymi słowy – KO musiałaby raczej potknąć się o własne nogi, bo żadna z metod, które próbuje stosować wobec niej największa partia opozycyjna, nie daje nadziei na znaczącą zmianę sytuacji sondażowej. Trudno też uwierzyć, aby PiS, w którego notowaniach próżno szukać odbicia „efektu Czarnka", był w stanie w ciągu niecałego roku, jaki pozostał do rozpoczęcia nieformalnej kampanii wyborczej, ponownie zewrzeć szeregi i stworzyć równie wiarygodny oraz przekonujący program jak przed wyborami 2015 r. Dzisiaj partia Kaczyńskiego działa w innym krajobrazie politycznym – istnieją dla niej znacznie wiarygodniejsze alternatyw – i jest zużyta ośmioma latami sprawowania władzy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 612cf85725

Farsa „rozliczeń”



Rafał A. Ziemkiewicz

Podnoszenie do rangi zbrodni normalnych działań politycznych i administracyjnych na podstawie subiektywnej opinii śledczych, że nie były potrzebne ani uzasadnione, to cyrk specyficznie polski i specyficznie Tuskowy

Skierowałem dziś do Przewodniczącej Parlamentu Europejskiego wniosek o uchylenie immunitetu, zatrzymanie i przymusowe doprowadzenie europosła Patryka Jakiego” – pochwalił się we wtorek rano na portalu X minister sprawiedliwości Waldemar Żurek. „Sprawa dotyczy poważnych zarzutów z art. 231 § 2 k.k. – przekroczenia uprawnień w celu osiągnięcia korzyści majątkowych i osobistych w czasie, gdy pełnił on funkcję wiceministra sprawiedliwości i nadzorował Służbę Więzienną”.

Brzmi to poważnie dopóty, dopóki nie zainteresujemy się szczegółami. W obszernym uzasadnieniu, napisanym – chyba celowo – bardzo niejasnym językiem, nie sposób znaleźć, jakie niby przestępstwo popełnił Jaki. Specjalny zespół prokuratorski do spraw nieprawidłowości w Służbie Więziennej, powołany w 2024 r. przez Dariusza Korneluka, którego Adam Bodnar ogłosił wcześniej, z naruszeniem prawa, prokuratorem krajowym, po dwóch latach śledztwa oskarżył Patryka Jakiego, że „przekroczył uprawnienia i nie dopełnił obowiązków” w ten sposób, iż jednego z funkcjonariuszy mianował na wyższe stanowisko, przez co zapewnił mu „korzyść osobistą i majątkową” w postaci awansu i wyższych poborów. Czyżby wiceminister nadzorujący Służbę Więzienną nie miał prawa awansować funkcjonariusza? Nie, w przeciwieństwie do wspomnianego awansu Korneluka wszystko odbyło się w ramach posiadanych kompetencji i zgodnie z procedurą. Na czym więc polegać ma przestępstwo? Na tym, że zdaniem prokuratorów awans „nie był uzasadniony ważnymi potrzebami służby”, a tym samym – „bezprawny”.

Mamy więc kolejne „przestępstwo” wymyślone przez ludzi Tuska dla generowania „zarzutów”, „aktów oskarżenia”, „wniosków o uchylenie immunitetu” i sprawiania wrażenia, że „rozliczenia” trwają i przynoszą sukcesy. Niedawno Waldemar Żurek porozsyłał wezwania na przesłuchanie doradcom prezydenta RP pod zarzutem „namawiania do przestępstwa”, którym miało być nieprzyjęcie przez prezydenta ślubowań od wybranych przez Sejm, w wątpliwy, delikatnie mówiąc, sposób, nowych sędziów Trybunału Konstytucyjnego. Całe śledztwo w sprawie Funduszu Sprawiedliwości, które uzasadnić miało próby zatrzymania byłego ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobrę i jego byłego zastępcy Marcina Romanowskiego, oparte zostało na konstrukcji prawnej „osiągnięcia korzyści politycznej”, utożsamionej przez kreatywnych prokuratorów z kodeksowym pojęciem „korzyści osobistej”. Korzyść polityczna polegać miała na tym, że wydając publiczne środki na publiczne cele – przysłowiowe już wozy ochotniczej straży pożarnej i sprzęt dla kół gospodyń wiejskich, a także na zakup systemu Pegasus i remont budynku prokuratury – politycy Zjednoczonej Prawicy robili to tak, aby zwiększyć swoją popularność i szanse wyborcze.

NAWET W INNYCH PAŃSTWACH UE TEGO NIE ROBIĄ

Szkoda czasu, by udowadniać po raz kolejny, że gdyby wydawanie publicznych pieniędzy w taki sposób, aby podobało się to wyborcom, było przestępstwem, to chyba żaden demokratyczny polityk nie uchroniłby się przed odsiadką. I nigdzie na świecie żaden sąd, decydujący o wydaniu Europejskiego Nakazu Aresztowania, „Czerwonej Noty” czy ekstradycji, nie uzna pism z Żurkowej prokuratury za poważne. Zresztą nie tylko na świecie. Tydzień przed ofensywą Żurka na Jakiego warszawski sąd okręgowy dosłownie zmiażdżył i wyśmiał wnioski prokuratury o zabezpieczenie majątkowe (przejęcie domu, konta bankowego i samochodu) byłego wiceministra sprawiedliwości Michała Wosia na poczet kary za „przewłaszczenie środków publicznych” (kolejny kreatywny pomysł Bodnara i Żurka: „przewłaszczenie”, różniące się tylko jedną literą od ściganego prawem „przywłaszczenia”), które polegać miało na zakupieniu za 25 mln zł systemu Pegasus dla Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Mówiąc nawiasem, Prokuratura Krajowa (czy raczej ludzie podający się dziś za nią) skomentowała to kuriozalnym oświadczeniem, iż „fakt, że Sąd uchylił nałożone przez prokuraturę zabezpieczenia nie oznacza, że były one bezzasadne”. Otwiera to drogę do kolejnej rozliczeniowej narracji, która być może pojawi się niebawem: „fakt, że sąd uniewinnił pisowca, nie znaczy, że nie jest on złodziejem”.

eprasa.pl 612cf85725



Oskarżanie polityków opozycji o „przestępstwa" polegające na realizowaniu kompetencji przypisanych do ich stanowisk, czyli „nieuzasadnione ważnym interesem" wydawanie pieniędzy budżetowych na przewidziane budżetem cele, awansowanie podwładnych na wyższe stanowiska i w ogóle zarządzanie powierzonymi im resortami, co Bodnar i Żurek nazwali „kierowaniem zorganizowaną grupą przestępczą", czyni polski aparat ścigania pośmiewiskiem. Nawet na tle współczesnej Unii Europejskiej, gdzie używanie do zwalczania opozycji politycznej „zblatowanych" w rządzącym establishmentem sędziów staje się powoli normą. W wypadku Marine Le Pen czy Jordana Bardelli, Geerta Wildersa, przywódców hiszpańskiej partii Vox czy Alternatywy dla Niemiec prokuratury i sądy, mniej lub bardziej stronniczo, starają się przykleić „wrogom demokracji" jakieś przestępstwa, przeważnie korupcyjne, będące naprawdę przestępstwami. Podnoszenie do rangi zbrodni normalnych działań politycznych i administracyjnych na podstawie subiektywnej opinii śledczych, że nie były potrzebne ani uzasadnione, to cyrk specyficznie polski i specyficznie Tuskowy.

Nasuwają się pytania: „Dlaczego?" i „Po co?". Zacznijmy od „Dlaczego?". Brnięcie przez nominatów Bodnara i Żurka coraz głębiej w prawnicze absurdy jest logiczną konsekwencją decyzji politycznej, podjętej przez Donalda Tuska. Decyzji, która okazała się błędna i, szczerze mówiąc, od początku można było dostrzec w niej fundamentalny błąd, ale nikt nie miał odwagi ani wtedy, ani tym bardziej teraz Tuskowi to powiedzieć. On zresztą podejmując ją, nikogo o zdanie zapewne nie pytał.

Chodzi o decyzję, żeby niszczenie PiS, nazwane „rozliczeniami", odbywało się po zmianie rządu w roku 2023 nie pod hasłem tropienia nadużywania przez PiS władzy, jak to było po roku 2007, ale pod hasłem tropienia „złodziejstwa". Jako premier ogłosił Tusk, że PiS „ukradł co najmniej 100 mld zł", po czym nakazał podwładnym, by znaleźli konkretne przykłady tego, co on obwieścił, kierując się intuicją.

Skąd wziął Tusk owe 100 mld – tylko on raczy wiedzieć. Możliwe, że oszacował, mając w pamięci własne rządy przed rokiem 2015, że przez dwie kadencje tyle właśnie mniej więcej musiało się przykleić szeroko rozumianej władzy do rąk. A być może, jak często mu się zdarzało, strzelił po prostu, co mu akurat przyszło do głowy. W każdym razie odnośni ministrowie zostali postawieni przed konkretnym zadaniem: znaleźć pisowskie „złodziejstwo".

ANDRZEJ CZUMA VERSUS RYSZARD KALISZ

Mówiąc szczerze, zapewne więcej sukcesów mieliby szansę osiągnąć, gdyby poszli jednak po linii „nadużywania władzy". Ale tu Tusk zapamiętał prawdopodobnie fiasko swych działań sprzed bez mała 20 lat, kiedy to kilkadziesiąt śledztw prokuratury – wtedy jeszcze niesterowanej ręcznie, jak dziś – i dwie sejmowe komisje nie zdołały niczego znaleźć. Szczególnie ciekawy jest przykład owych komisji. Pierwszą z nich, która miała wykazać przypadki nadużywania władzy (zwaną „naciskową") powierzył Tusk Andrzejowi Czumie, chcąc, by niemoralny charakter rządów PiS zdemaskował ktoś powszechnie szanowany za swe przymioty charakteru i chwalebną przeszłość. Okazało się to błędem. Andrzej Czuma, choć z początku – jak twierdzą dziennikarze, którzy wtedy się z nim kontaktowali – szczerze wierzył, że PiS naprawdę dopuszczał się bezprawnych „nacisków" i należy je pokazać społeczeństwu i przykładnie ukarać, gdy ostatecznie nie znalazł żadnego potwierdzenia oskarżeń, którymi przez dwa lata zasypywały Lecha i Jarosława Kaczyńskich i ich koalicjantów media, po prostu szczerze to przyznał: komisja ustaliła, że nie było żadnych nieprawidłowości. Tusk w zemście za to zniszczył Czumę jako osobę publiczną i zakończył jego karierę.

Zupełnie inaczej zachował się Ryszard Kalisz, postawiony na czele komisji do spraw śmierci Barbary Blidy. Gdy jemu także nie udało się znaleźć niczego na Kaczyńskiego ani Ziobrę, zmyślił „naruszenie konstytucji". Owo naruszenie polegać miało na tym, że do wyjaśnienia sprawy „mafii węglowej" rząd PiS powołał zespół międzyresortowy. A konstytucja nie przewiduje zespołów międzyresortowych.

eprasa.pl 612cf85725



Patryk Jaki podczas konferencji prasowej w Sejmie, 2 czerwca 2026 r.

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

Oczywiście był to nonsens: konstytucja nie przewiduje także istnienia „zespołów programowych" w Sejmie (takich jak obecnie „zespół do rozliczenia PiS" Romana Giertycha i Aleksandry Uznańskiej-Wiśniewskiej) ani „gabinetów politycznych" w ministerstwach, ani klubów sportowych, zespołów rockowych i promocji w marketach. Twierdzenie, że jeśli coś nie jest expressis verbis przewidziane w konstytucji, to ją łamie, było idiotyzmem. Ale zadziałało: media i wyborcy PO zyskali pretekst, by powtarzać, że jeśli nawet Kaczyńskiemu i Ziobrze nie udało się udowodnić, iż zamordowali Blidę, to jednak udowodniono, że złamali konstytucję, a to już post factum uzasadnia, iż „rozliczenia" miały sens.

W ten sposób Ryszard Kalisz stał się ojcem założycielem obecnego bodnaryzmu-żurkizmu. Tusk kazał znaleźć przykłady złodziejstwa PiS? Nie umiemy ich znaleźć, ale możemy stworzyć pozory, że „coś jednak było". Możemy pisać akty oskarżenia, wnioski aresztowe i o uchylenie immunitetu pod byle pretekstem, byle tylko dać rządowym mediom asumpt do powtarzania, że na politykach poprzedniej zmiany ciążą zarzuty, że rozliczenia trwają i trzeba tylko cierpliwości, aż przyniosą konkretne dowody konkretnych nadużyć.

FENOMEN PREZESA

Możliwe, że i Tusk, i jego podwładni naprawdę wierzyli, iż PiS musiał coś przez te osiem lat ukraść, i to dużo, i nawet jeśli niczego konkretnego na razie o tym nie wiedzą, to wystarczy parę rewizji, parę „aresztów wydobywczych", paru mocno nastraszonych i przyciśniętych podczas przesłuchania, a znajdą „coś" – jakieś przelewy, rachunki czy inne „kwity", które będą mogli pokazać premierowi, a premier wyborcom ze słowami: „A nie mówiłem?".

Jeśli tak, to wykazali się skrajnym niezrozumieniem fenomenu Kaczyńskiego i jego partii. PiS i PO to nie są byty bliźniacze – kiedyś dosadnie nazwałem różnicę między nimi jako różnicę między sektą a mafią. PiS nie jest symetrycznym odwzorowaniem systemu Tuska, który patronuje rozmaitym „układom", sitwom, koteriom i gangom, wyważając wpływy między nimi jak klasyczny „capo di tutti capi". PiS to partia postsanacyjna, oparta na autorytecie „Naczelnika", a ten „Naczelnik" jest typowym polskim inteligentem. A dla inteligenta zarabianie pieniędzy – nawet uczciwe – jest czymś niegodnym. Co dopiero „kombinowanie"! Jarosław Kaczyński, niczym kiedyś Władysław Gomułka, żyje ascetycznie, w jakimś starym PRL-owskim klocku, nie ma nawet prawa jazdy, a co dopiero jachtu i odrzutowca, nie używa życia, całkowicie oddany sprawie – i tego samego oczekuje od podwładnych. Za ekscesy obyczajowe bezlitośnie wyrzuca z partii. Głośna była w środowisku historia polityka, któremu wróżono w PiS wielką karierę, zanim przyprawił o ciążę swoją sekretarkę. Żona wtedy wybaczyła, ale Prezes – nie.

Jarosław Kaczyński jest typowym polskim inteligentem. A dla inteligenta zarabianie pieniędzy – nawet uczciwe – jest czymś niegodnym. Co dopiero „kombinowanie"!

Gdyby podczas ośmiu lat rządów jakieś znaczące pieniądze przykleiły się do rąk któremuś z „ziobrystów", można być pewnym, że następnego dnia któryś z „morawiecczyków" byłby już z donosem na Nowogrodzkiej. I odwrotnie. Posłanym do „rozliczeń" podwładnym Tuska wydawało się oczywiste, że wystarczy, pod byle najgłupszym pretekstem, wejść do domu Ziobry czy Romanowskiego, a znajdą tam złote sedesy, klamki i zwitki dolarów i euro w meblach, jak w mieszkaniu Sławomira Nowaka – bo tak przecież robi każdy, kto się dorwie do władzy. A wtedy nikt nie będzie pytał, czy pretekst, pod którym tam weszli, był zasadny.

Tymczasem nie znaleźli niczego. A „Donald się wścieka" i żąda wyników. Więc trzeba było brnąć w pozory, w groteskę coraz głębiej i głębiej, produkując coraz bardziej absurdalne oskarżenia.

„Dlaczego?" jest więc pytaniem, na które łatwo odpowiedzieć. Trudniej jest z „Po co?", bo tu możliwe są dwie odpowiedzi. Być może produkowanie coraz bardziej oderwanych od logiki oskarżeń jest tylko „rozstrzeliwaniem na niby", jak w starym (dziś widać, że proroczym) filmie „Wojna Światów" Piotra Szulkina. Horyzont myślowy prokuratorów stanowi spełnienie bieżących oczekiwań ministra Żurka, a Żurka – oczekiwań Tuska. Gdzieś tam na końcu znajdzie się sędzia, który, jak w sprawie Wosia, wyrzuci te „akty oskarżenia" do śmieci, lecz o to rozliczający będą się martwić później.

Ale, być może, Tusk i Żurek mają już plan, jak takich sędziów, jak ten, który odmówił nękania Wosia, czy ci, którzy nie chcieli wydać ENA za Romanowskim i nakazu ścigania Ziobry, usunąć i zastąpić posłusznymi, z przypartyjnych stowarzyszeń, którzy najgłupsze nawet akty oskarżenia zamienią w oczekiwane przez władzę wyroki. Tusk jest przecież otwarcie zachęcany przez Niemców, by szedł na całość. Publicysta Klaus Bachmann z góry rozgrzesza, że w walce z wrogami demokracji nie trzeba się przejmować prawem, a sam prezydent RFN wręcza jednemu z głównych wykonawców i symbolowi Tuskowego „prawa, jak my je rozumiemy" Adamowi Bodnarowi „nagrodę wolności" za „gorliwą obronę praworządności"…

Groteska czy groza? Historia uczy, że czasem jedno nie wyklucza drugiego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 612cf85725



Piotr Semka

Mój redakcyjny kolega przekroczył sześćdziesiątkę i taka życiowa cezura w naturalny sposób skłania do „spowiedzi dziecięcia wieku". Ja swoją opowieść o dotychczasowym żywocie popełniłem w formie wywiadu rzeki dokładnie dekadę temu, gdy skończyłem 50 lat. Jednak ten gatunek to śliska ścieżka



FOT. ADAM CHELSTOWSKI/FORUM

Krótki kurs ziemkiewiczologii

Zawsze gdy opowiadamy o sobie, musimy lawirować między kierowanymi pod naszym adresem oskarżeniami o kreowanie wygładzonego wizerunku a krzywieniem się na nasz ekshibicjonizm emocjonalny. Jak to niełatwe zadanie udało się autorowi „Walca stulecia" i „Polactwa"?

Ponieważ Rafał A. Ziemkiewicz jest raptem rok starszy ode mnie, czytałem jego wyznania, zderzając je w naturalny sposób ze swoimi doświadczeniami. Przechodziliśmy przez te same wydarzenia pokoleniowe, kształtowały nas te same okresy historii i trudno uciec od porównań. To zresztą skłania mnie do podejrzenia, że będzie to książka raczej dla jego rówieśników lub wyznawców (bo i takich Rafał ma). Bardzo byłbym ciekaw, jak duży procent jego książek kupili ludzie o 20 czy 40 lat młodsi. Ja osobiście, licząc sobie nawet 20 lat, nigdy nie miałem problemu z sięganiem po wspomnienia ludzi znacznie starszych ode mnie, bo zawsze ciekawiło mnie, jak wyglądało życie poprzednich pokoleń. Pytanie: Ilu takich ciekawskich młodych jeszcze się uchowało?

Rafał zaczyna od niezwykle ciekawego świadectwa. To opis tego, co przeżywać musiał w ciągu ostatnich 30 lat ktoś, kto swoją publicystyką zasłużył w obozie liberalnym na status „wroga publicznego". Mam w tej kwestii swoje własne doświadczenia, ale oczywiście Rafał dostał na tym polu nieporównanie więcej razów niż ja. Może dlatego, że ma bardziej niewyparzony język, może czasem ponosi go polemiczna swada, a może dlatego też, że nakładów jego książek mogę mu tylko zazdrościć. Ale dobrze, że książka „Ziemkiewicz" opisała te dziesiątki drobnych kopniaków w kostkę, które musiał i musi znosić ktoś, kto zadarł z „salonem". Może kiedyś sam opiszę swoje doświadczenia, choć dotąd wstrzymywałem się przed tym, bo znów trzeba lawirować między użalaniem się na swoje krzywdy a groźbą wpadnięcia w toń mołojeckich przechwałek, jak to się świetnie wkurzało innych. Ale wróćmy do Ziemkiewicza.

Gdy autor wywiadu Wiktor Świetlik pyta: „Budzisz złość?", Ziemkiewicz odpowiada: „Pewnie tak, ale ludzie nastawieni negatywnie na szczęście rzadko są wyrywni. Dobrze czują się w kupie, do osobistej konfrontacji z pogardzanym »pisiorem« nie dążą. Nawet jak mijam na ulicy Arkadiusza Szczurka [znany zadymiarz KOD – przyp. P.S.] czy kogoś takiego, to on tyle że spojrzy spod oka i się oddala. Nawet »Babcia Kasia« była przy mnie grzeczna [...]. Słyszę jakiś rzucony z większej odległości okrzyk, ale raczej

eprasa.pl 612cf85725



ROZMAWIA WIKTOR ŚWIETLIK „ZIEMKIEWICZ" CZARNA SKRZYNKA 2026

rzadko. Jeśli mam kogoś w zasięgu wyciągniętej ręki, to nie zdarzyło mi się, żeby był agresywny".

Ziemkiewicz potwierdza moją osobistą obserwację, że najczęściej na jawne wyzwiska decydują się osoby przejeżdżające czy to samochodem, czy jadące na hulajnodze lub rowerze. Obrażają, gdy kogoś mijają, ale potem szybko dają w długą. Rafał opowiada też o bardzo ciekawym przypadku, jak w czasie „strajku kobiet" podawano w Internecie jego prywatny adres, na który przychodziły nienawistne przesyłki i obelgi. Przypomina też, że znany publicysta lewicy Jacek Żakowski przeprowadził kiedyś rozmowę w tygodniku „Polityka" z jakimś Amerykaninem z progresywnego think tanku, który wręcz podawał instruktarz, jak atakować „kolaborantów reżimu" w miejscach publicznych, zawstydzać na ulicy czy sekować na uczelniach członków ich rodzin. Robi wrażenie opowieść o tym, jak jego córka przygotowywała dla swoich koleżanek przyjęcie urodzinowe, a akurat tego dnia na drzwiach nabazgrano obraźliwe hasło z ich rodzinnym nazwiskiem. Ważne jest też świadectwo o próbie nakręcenia jakiegoś donosu do Oksfordu, żeby starszą córkę Rafała wyrzucono ze studiów. Jak się okazało, nawet tamtejsi lewicowcy okazali się na tyle rozsądni, żeby taki donosik z Polski wrzucić do kosza.

Ale oczywiście znajomość z Rafałem przynajmniej dla jego żony, Oli – jak wyjaśnia bohater książki – ma i miała swoje wymierne konsekwencje. Związek z szeroko znienawidzonym publicystą kosztował ją de facto wypchnięcie z zawodu aktorskiego. Rafał opisuje, jak to wygląda w praktyce.

Oto Aleksandra Ciejka (panieńskie nazwisko żony) napisała sztukę dla dzieci. Pewien teatr to przytulił, pozwolił wystawić. I potem zaczęły się kłopoty. „Po premierze byli zadowoleni, czyli chcieli włączyć to do stałego repertuaru. A potem odezwali się: »Bardzo przepraszamy, ale wie pani [...], mamy dotację z miasta«".

NIE PRZEKONUJE

Przyznam szczerze, że rozdział, w którym Rafał opowiada o tym, jak poznał swoją drugą żonę i jakie to było niepowtarzalne i romantyczne wydarzenie, przeleciałem wzrokiem. Nic nie poradzę, ale nawet zakładając stuprocentową szczerość (a nie mam powodu, aby w nią wątpić), takie opowieści zawsze wychodzą albo jak lukrowanka, albo wyciąganie na wierzch rzeczy, które są jak ów „płochliwy ptak", którego łatwo spłoszyć. Nie odbieram Rafałowi prawa do takich opowieści – najwidoczniej uznał, że są niezbędne dla jego opowieści o swoich ostatnich dwóch dekadach życia, ale mnie to nie przekonuje.

Natomiast ciekawy jest opis konsekwencji wiązania się z kimś o takim nazwisku jak jego. Choćby iście orwellowską scenę zatrzymania go przy próbie wjazdu do Wielkiej Brytanii. Żona Rafała i jego córka musiały czekać wiele godzin na londyńskim lotnisku. Okazało się, że wskutek donosu jakiejś lewicowej posłanki Rafał znalazł się na niejawnym rejestrze ekstremistów. Do tego mamy jeszcze setki podawanych bardzo rzeczowo przez Rafała przykładów, jak jego wypowiedzi przekręcano lub demonizowano. W tym przodowała „Gazeta Wyborcza". I znowu bardzo dobrze, że wszystkie te łajdactwa zostały przez Rafała dokładnie skatalogowane. Ja sam wzdrygam się przed tworzeniem rejestru takich małych świństewek, bo człowiek w naturalny sposób wzdryga się przed opisywaniem historii, których nie da się opisać bez zacytowania świństw pod swoim adresem. Rafał to zrobił i to już zostanie na lata. Można tu wymienić wyczyn dyrektora Muzeum Historii Żydów Polskich Dariusza Stoli, który na wystawie z okazji kolejnej rocznicy Marca '68 nie omieszkał wstawić cytatu z tweeta mojego kolegi oraz cytatu z Magdaleny Ogórek, aby udowodnić, że są oni rzekomo kontynuatorami nagonek antysemickich.

BOLĄCE ZĘBY

Bardzo ciekawe jest rozliczenie się Rafała z paroma rzeczami, które utkwiły gdzieś głęboko w jego świadomości. Oczywiście to rozliczenie się z rozmaitymi atakami na jego osobę, których autorzy intuicyjnie uderzali tam, gdzie spodziewali się, że Rafała najbardziej zaboli. Tak jest z oskarżeniami, że Rafał w latach stanu wojennego „nic nie robił". W tym kontekście opowiada on o współpracy w latach 80. z liderem podziemnej oficyny Markiem Kamińskim. Bez żadnego fałszywego krygowania się opowiada, że po zatrzymaniu przez bezpiekę Marka przeżył okres oczekiwania na własne aresztowanie i był to czas, który ma prawo wspominać jak najgorzej.

„Ja tymczasem przez te dwa miesiące chodziłem jak we śnie. A to nie koniec. Na ten moment złożyła się druga sprawa. Był jeszcze jeden cios, jeszcze jeden powód do strachu. Moja ówczesna dziewczyna, a późniejsza pierwsza żona dostała diagnozę ciężkiej choroby [...]. Wszystko wyglądało potwornie i spadło na moją głowę jednocześnie. Dopiero z czasem okazało się, że ani SB po mnie nie przyszło, ani choroba nie była aż tak beznadziejna, jak brzmiała pierwsza diagnoza". Jak wyjaśnia Rafał – Marek Kamiński po wyjściu z aresztu wznowił nielegalne drukowanie, ale nie chciał już w to wciągać świeżo ożenionego Ziemkiewicza. Można to zrozumieć.

Ale też budzi mój sprzeciw, gdy Rafał dość łatwo zamyka sprawę zawieszenia na kołku konspirowania po tym incydencie. Pisze: „Także dałem sobie spokój i nie mam o to do siebie pretensji, bo potem ci wszyscy ludzie [którzy wtedy konspirowali na wydziale polonisty-

eprasa.pl 612cf85725

ki na Uniwersytecie Warszawskim – przyp. P.S.] poszli do »Gazety Wyborczej«. Gdybym się stał »uczniem podziemia na polonistyce«, pewnie wylądowałbym w tygodniku „Mazowsze", a potem nie daj Boże u Michnika".

No cóż. Ja zaangażowałem się w podziemne pisemka w latach 80., a u Adama Michnika nie wylądowałem. Może więc zbyt łatwe lub zbyt wygodne są te uogólnienia.

Ale Rafał dość wiarygodnie pokazuje, jak atrakcyjną niszą było wtedy środowisko miłośników fantastyki. I jak bardzo ta fascynacja nauczyła go pisać i pchnęła ku tworzeniu literatury science fiction. To, że jej twórcy myśleli już w kategoriach krytycznej analizy lewicowych utopii, jest bardzo trafną uwagą. To, czego Rafał już nie mówi, to to, w jakim stopniu ta przedziwna mieszanka życia w świecie fantastyki pchnęła go później ku temu, co ja na swój użytek nazywam korwinizmem, czyli mieszaninie ideałów libertariańskich z pewną dawką szaleństwa i jednocześnie przedziwnego egoizmu. Zresztą jego krótki epizod bycia rzecznikiem Unii Polityki Realnej i tym samym bliższej znajomości z Januszem Korwin-Mikkem to temat osobnego rozdziału. W nim Rafał dosyć rozsądnie tłumaczy, dlaczego akurat w latach 90. było to dla niego bardzo rozwojowe miejsce, ale i w jakich okolicznościach wykazał się dostateczną ilością rozumu, aby z tego ciepłego miejsca się teleportować. Wśród „czułych punktów" w rozmowie nie mogło zabraknąć tematu Moniki Jaruzelskiej. Jego wygibasy memuarowe na ten temat dość brutalnie spuentuję tak: odnoszę wrażenie, że Rafał po prostu w urodziwej Monice w czasach licealnych się bujał, i stąd zapewne jego sentyment do córki czerwonego generała. Ale to moje podejrzenie i możecie je tylko uznać za zazdrość.

ZAKAMARKI DUSZY

I wreszcie kolejny fragment książki, który przeczytałem z prawdziwym zainteresowaniem. To opowieść o potykaniu się Rafała z własną religijnością. I tutaj rzeczywiście Rafał bardzo wiarygodnie opowiada o swoich wadzeniach się z katolicyzmem. Na przykład szczerze wyznaje, że Msza trydencka wcale go nie przekonała. Jak mówi: „Piękne przeżycie, ale za trudne [...]. Półtorej godziny albo dwie, dużo klęczenia, dużo psalmów. Nie polecam początkującym w kościele". Jednocześnie bardzo ciekawe są jego refleksje dotyczące epizodu, gdy ktoś zaproponował mu udział w akcji reklamowej o nazwie „Nie wstydzę się Jezusa". Jak mówi Rafał, bardzo samokrytycznie zadał sobie pytanie, czy przypadkiem z racji swoich wcześniejszych życiowych zygzaków aby Chrystus się go nie wstydzi. I szanuję Rafała za szczerość, którą dzieli się z nami takimi wątpliwościami, bo jest to człowiek, któremu wielokrotnie wyrwano takie szczere wypowiedzi z kontekstu i okładano go nimi bez litości. Bardzo też szczerze odpowiada na pytanie, czy kiedykolwiek zgubił wiarę.

W książce są setki przykładów, jak wypowiedzi Rafała A. Ziemkiewicza przekręcano lub demonizowano. Przodowała w tym „Gazeta Wyborcza". Bardzo dobrze, że wszystkie te łajdactwa zostały przez Rafała dokładnie skatalogowane

„Nie, robiłem głupstwa, popełniałem grzechy. Wiedziałem wtedy, że robię źle. Ale nigdy nie zaparłem się Boga. Jestem z tego dumny". I puentuje te wyznania swoim przesłaniem wobec hierarchii: „Kościół to ma być latarnia morska, a nie lampka nocna. Ma nauczać, a nie patrzeć w sondaże jak politycy".

CHODZENIE SWOIMI ŚCIEŻKAMI

Nie jest przypadkiem, że prowadzący wywiad Wiktor Świetlik przypomniał w trakcie rozmowy film Krzysztofa Kieślowskiego „Przypadek". Tym, którzy go nie widzieli, przypomnę, że jest to opowieść o młodym człowieku, który zależnie od tego, czy w trzech różnych wersjach swego losu zdążył na pociąg, wylądował albo w opozycji, albo w PZPR, albo został niemieszającym się w ogóle do polityki lekarzem. Opowieść Rafała jest przypomnieniem, jak bardzo wiele znaczy dla nas to, kim są nasi rodzice, kim jest ojciec, kim jest matka. Czy byliśmy w przedszkolu czy też rodzice wzbraniali się przed wypuszczeniem nas do poddanych pedagogicznej opiece kolektywów. Czy wychowaliśmy się w domu pełnym książek czy nie. Czy rodzice słuchali płyt z Kabaretu Starszych Panów czy nie. Czy nauczyliśmy się wcześnie czytać czy też odkładaliśmy to na później. Czy ktoś nam zaproponował drukowanie książeczek czy nie. Najszerzej uśmiechnąłem się, gdy wyczytałem z książki „Ziemkiewicz", że Rafał poszukując miejsca pracy w dziennikarstwie, zapukał też do „Gazety Wyborczej" w 1990 r. Ja miałem podobny epizod rok wcześniej, w 1989 r. Pracowałem już w „Tygodniku Gdańskim" wydawanym przez NSZZ „Solidarność" i po otrzymaniu pytania, czy zasiliłbym gdańską redakcję „GW" przez chwilę zamyśliłem się, czy byłbym w stanie łączyć swoją aktywność aż w dwóch redakcjach. Na szczęście dla mnie szacowna dama z gdańskiego podziemia, która organizowała Michnikowi redakcję nad Motławą, potraktowała moje zastanawianie się jako tchórzostwo i zbyt szybko jak na mój gust spuentowała moje milczenie wyniosłym dictum: „A więc nie jest pan w stanie się zdecydować? No cóż, nie od każdego można wymagać odwagi".

We wspomnieniach Rafała znalazłem podobny fragment wspomnień z wizyty w redakcji „GW".

„Siedział tam brodaty facet. Wtedy cała opozycja nosiła brody. Przedstawiłem się, że szukam pracy. Umiem pisać. Potraktował mnie z lekceważeniem. Na zasadzie: »Takich kajtków mamy tu od metra i każdy inny«. Rafał się wkurzył i wyszedł. Ale samokrytycznie dodaje: „Wyobraźmy sobie, że zamiast tego faceta siedziałby tam jakiś fan science fiction, który mnie znał, i zachowywałby się tak, jakby mnie oczekiwał: »Czytałem pańskie opowiadania. Świetne. Prawie polski Ray Bradbury. Pisz pan u nas«".

Wizja, w której mógłbym spotkać się z Rafałem, biurko w biurko, jako dwóch kolegów z redakcji Michnika, zarówno rozbawiła mnie, jak i wprawiła w przerażenie. Na szczęście nad naszą dwójką czuwał dobry Bóg. I chyba za to musimy razem z kolegą „Ziemasem" złożyć się na jakąś wystawną Mszę. I nie żałować dutków.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 612cf85725



Z dr. Michałem Gulczyńskim, socjologiem, autorem książki „Mężczyźni. O nierównościach płci”
rozmawia Radosław Wojtas

Mężczyźni też są dyskryminowani

RADOSŁAW WOJTAS: Tytuł jednego z rozdziałów pańskiej książki brzmi: „Dlaczego nie rozwiązuje się problemów mężczyzn?”. Dlaczego? Czy to polska specyfika czy problem globalny, że mężczyzn i ich kryzysów po prostu się nie zauważa?

DR MICHAŁ GULCZYŃSKI: W dużej mierze to problem globalny, przynajmniej w krajach rozwiniętych, bo w biedniejszych państwach nierówności płci wyglądają zupełnie inaczej. Skupmy się jednak na Europie. Unia Europejska jest potężną organizacją, która wyznacza trendy w politykach równościowych. I to tam najlepiej widać pewną bezwładność instytucjonalną. Nawet jeśli na chłodno zauważamy nierówności dotykające mężczyzn, to systemowi niesłychanie trudno jest przestawić się z paradygmatu wspierania wyłącznie kobiet na równość obustronną.

Zrozumienie, że nie rozwiążemy problemów społecznych bez wsparcia dla określonych grup mężczyzn, idzie jak po grudzie. Dominuje myślenie, w którym to, co ewentualnie robimy dla mężczyzn, ma w pierwszej kolejności... pomóc kobietom. Spójrzmy na urlop ojcowski. W dyrektywach unijnych czy strategiach równościowych wymienia się go jednym tchem z luką płacową: kobiety zarabiają za mało, bo mają za dużo obowiązków opiekuńczych, więc wprowadzimy urlopy dla ojców, żeby to oni musieli się bardziej zajmować domem.

Czyli rozwiązujemy problem mężczyzn niejako przy okazji, stawiając w centrum problem kobiet?

Tak. Główną motywacją do działania na rzecz mężczyzn pozostaje pomoc kobietom. A przecież można by dojść do tego samego rozwiązania z zupełnie innej strony. Skoro dyrektywa nazywa się „Work-life balance”, to powiedzmy o korzyściach dla życia rodzinnego: chcemy, by mężczyźni się nie przepracowywali, mieli czas na życie, na relacje z rodziną i budowanie więzi z dziećmi. Dajemy im nowe uprawnienie. Tymczasem narracja brzmi raczej: nakładamy na nich nowe obowiązki, bo są leniwi, nie zajmują się dziećmi, a jedynie robią kariery i zarabiają pieniądze. Jak już raz zaczęliśmy opowiadać o nierównościach wyłącznie z kobiecej perspektywy, to trudno instytucjom zmienić tę opowieść.

Czy to tylko siła przyzwyczajenia do starych dyskursów czy może polityczna ostrożność? Mówienie o nierównościach mężczyzn może być odbierane jak podnoszenie ręki na kobiety.

To jest rzeczywiście niewygodne politycznie. Ale jednocześnie politycy lewicowi i mainstreamowi panicznie boją się tego, co w politologii określa się mianem skrajnej prawicy. Widzą, że nowsze, najbardziej prawicowe partie są szczególnie popularne wśród młodych mężczyzn. Dociera do nich, że jest jakiś problem, którym trzeba by się zająć. Ponadto te same partie polityczne mają w swoim zapleczu liczne organizacje kobiece, nierzadko negatywnie nastawione do mężczyzn. Okazywanie empatii męskiej części społeczeństwa może zniechęcać twardy aktyw.

Ale jest jeszcze drugi czynnik: psychologiczno-kulturowy. Mamy potężną „lukę empatii”. Być może nawet ewolucyjnie jesteśmy zaprogramowani do tego, by mniej przejmować się śmiercią czy bólem mężczyzn. Mężczyzna szedł na polowanie, szedł walczyć i miał się poświęcać, bo to kobiety i ich zdolność rodzenia były kluczowe dla przetrwania plemienia. To jest utrwalane przez kulturę.

„Zginęło tysiąc osób, w tym dwie kobiety i jedno dziecko”...

Otóż to. Utarło się kulturowo, że kobiety i dzieci to szczególne ofiary, bo one są „niewinne”. Mężczyźni to ci, którzy walczą, więc ich śmierć jest wkalkulowana w system. Widzimy to dziś jak na dłoni: pozwalamy na to, by podczas wojny kobiety mogły opuścić kraj, a mężczyznom ratunku odmawiamy. Co robi Parlament Europejski? Pisze rezolucję, w której stwierdza, że wojna nieproporcjonalnie dotyka kobiet i dziewcząt! Hillary Clinton już 30 lat temu stwierdziła, że to kobiety najbardziej cierpią na wojnie, bo tracą mężów i synów.

Ten brak współczucia powielają też niestety mężczyźni u władzy. Kobietę łatwiej przekonać do pewnych regulacji, bo ona widzi, że normy płciowe bywają ograniczające. Politycy mężczyźni tkwią w przekonaniu o własnej sprawczości: „Doszedłem do wszystkiego sam, jestem kowalem własnego losu, inni też mogą”. Jeśli ktoś został bezdomnym albo ma problem z alkoholem, to w ich optyce podjął złe decyzje i nie trzeba mu pomagać.

eprasa.pl 612cf85725



Przyjrzyjmy się zatem polskiemu podwórku. Gdzie te nierówności są najbardziej uderzające?

Polska jest absolutnym ewenementem, jeśli chodzi o nierówności prawne. Mamy nierówny wiek emerytalny, przywrócony przez Prawo i Sprawiedliwość, i jesteśmy już ostatnim krajem w Unii Europejskiej, który nie ma nawet planu wyrównywania tej dysproporcji.

Wyjątkowym przykładem dyskryminacji jest też wprowadzony przez poprzedni rząd system PIT zero dla seniorów. W praktyce oznacza to, że jeśli 60-letnia kobieta i 60-letni mężczyzna pracują na tym samym stanowisku, to ona może zacząć pobierać emeryturę lub dalej pracować, nie płacąc podatku dochodowego. On, z racji płci, podatek nadal musi płacić.

Są nierówne urlopy dla rodziców – kobietom przysługuje 20 tygodni płatnych w 100 proc., a mężczyznom tylko dwa. Zasiłek nazywa się „macierzyńskim" nawet wtedy, gdy bierze go ojciec. Ministerstwo Rodziny odmawia zmiany nazwy, bo „ludzie są przyzwyczajeni". Co zabawne, ta sama lewicowa „ministerka", która nie widzi problemu w tym archaicznym nazewnictwie, jednocześnie gorliwie walczy o feminatywy. Wprowadziła też nową rentę wdowią z zaszytą na starcie pięcioletnią różnicą wieku dla uprawnionych.



MICHAŁ GULCZYŃSKI „MĘŻCZYŹNI. O NIERÓWNOŚCI PŁCI" WYDAWNICTWO PORT 2026

Mamy także kwalifikację wojskową wyłącznie dla mężczyzn, a partie prawicowe regularnie wracają do pomysłów obowiązkowego przeszkolenia wszystkich panów. Raz o obowiązkowych szkoleniach mężczyzn powiedział też Donald Tusk, ale wycofał się z tego pomysłu jeszcze tego samego dnia.

To prawo. A pan w swojej książce stawia tezę, że kluczowe są edukacja i zdrowie.

Bo one determinują całe dorosłe życie. Chłopcy osiągają znacznie gorsze wyniki już na egzaminie ósmoklasisty – średnio o 9 punktów procentowych z polskiego i 3 z angielskiego. Te różnice są potężne zwłaszcza na wsiach. Nasza debata publiczna o szkołach sprowadza się do liceów. Nawet posłowie Konfederacji, która wydaje się partią młodych mężczyzn, apelują do „licealistów i licealistek", „maturzystów", zapominając, że 20 proc. chłopaków idzie do szkół branżowych, gdzie nie zdaje się matury. Do liceum idzie tylko jedna trzecia. Z kolei większość młodych kobiet ma dziś wyższe wykształcenie, a to w połączeniu z ich masową migracją do dużych miast wprowadza spore nierównowagi na tzw. rynku matrymonialnym. W Warszawie jest o 10 proc. więcej młodych kobiet niż mężczyzn. Z kolei w niektórych gminach na wschodzie Polski na 10 młodych mężczyzn przypada tylko siedem młodych kobiet. „Rolnik szuka żony, a studentka szuka partnera". Żyją w różnych miejscach, mają różne aspiracje. Nawet gdyby średnio wszyscy byli świetnie dopasowani, i tak się nie spotkają.

Mężczyźni żyją w Polsce znacznie krócej. Ile w tym biologii?

Nie tak wiele, jak się powszechnie uważa. Różnica średniej długości życia wynosi w Polsce ponad siedem lat. To nas brutalnie odróżnia od Zachodu. W Holandii czy Szwecji ta różnica wynosi ok. trzech lat – większe różnice trudno zatem uznać za naturalne. Polskie siedem lat to anomalia wynikająca z warunków pracy fizycznej, braku profilaktyki i katastrofalnego stylu życia: złej diety, palenia, niezwykle szkodliwego, wschodniego modelu picia alkoholu.

Czyli jednak możemy mieć pretensje do samych siebie?

Częściowo oczywiście tak. Państwo oferuje programy bezpłatnych badań, choćby „Moje Zdrowie", dostępne dla każdego, kto skończył 20 lat. Ale korzysta z nich dwa razy więcej kobiet niż mężczyzn. Dlaczego? Z jednej strony brakuje nam elastyczności. Mężczyzna zatrudniony fizycznie nie weźmie dwóch dni wolnego w fabryce, żeby pojechać do przychodni w godzinach jej pracy. Ponadto mężczyźni wciąż odruchowo mówią: „Nic mi nie jest". Mają zakodowane, że nawet jeśli boli, to trzeba zagryźć zęby.

Kobiety wykształcają w sobie nawyk badań od młodości. Chodzą do ginekologa, są pod opieką lekarzy w czasie ciąży. Młody mężczyzna, jeśli nie złamie nogi, nie ma potrzeby iść do lekarza. Kiedy dobija do czterdziestki, pójście na badania krwi czy kolonoskopię jest dla niego publicznym przyznaniem się nie tylko do słabości, lecz także wręcz do starości i „walki o życie".

Pamiętamy mammobusy docierające do Polski powiatowej, towarzyszącą im kampanię popularyzującą badanie piersi i duże zainteresowanie ze strony kobiet. Trudniej dziś sobie wyobrazić kolejkę panów czekających przed busem na badanie jąder.

Akurat w dużych miastach pojawiają się już badania w ramach corocznych,

eprasa.pl 612cf85725



FOT. ADOBE STOCK

„wąsopadowych" akcji. Wtedy można w centrach handlowych zobaczyć kolejkę mężczyzn czekających na badanie. Warto podkreślić, że to są akcje organizowane przez organizacje pozarządowe, a nie przez państwo.

Gdy zaczynały jeździć mammobusy, również pojawiały się argumenty o wstydzie. To na szczęście udało się przełamać. Nie mówię, że mężczyźni mieliby tłumnie ustawiać się w plenerze do badania prostaty. Ale wysyłanie takich busów w Polskę miałoby potężną wartość edukacyjną i kulturową, nawet gdyby oferowano w nich tylko badanie krwi i konsultację z dietetykiem. Chodzi o silny sygnał na poziomie państwowym. Potrzebujemy narodowej strategii zdrowia mężczyzn. Chcę, żeby rząd stanął przed obywatelami i powiedział wprost: wiemy, że mężczyźni ciężko pracują i przedwcześnie umierają. Mamy plan, jak wam pomóc. Jeśli państwo nie potrafi zrobić tego z troski o nich samych, to niech zrobi to z troski o społeczeństwo – żeby wnuki miały dziadków, a kobiety nie popadały na starość w ubóstwo przez wczesne wdowieństwo.

Kolejna strefa zapalna: prawo rodzinne, rozwody i walka o kontakt z dzieckiem. Pewien były polityk po niespełna trzech latach małżeństwa zapłacił setki tysięcy złotych alimentów na byłą żonę. Nie mieli dzieci. Czytam o ojcach, którzy latami walczą w sądach o prawo do opieki nad własnym synem czy córką.

Polskie rządy od dekad ignorują skalę tego dramatu. Rozwody rocznie dotykają blisko 50 tys. dzieci. Ojcowie, podobnie jak w nakręconym w 1995 r. filmie „Tato", wciąż czują, że muszą instytucjom udowadniać, że „nie są wielbłądami". Zauważmy absurd: w sytuacji ostrego konfliktu między rodzicami ojciec, który latami wychowywał dziecko, w sądzie musi przejść dziesiątki opinii i testów w OZSS, żeby udowodnić, że może spędzać z nim czas. Tymczasem nowy partner matki zostaje z tymi dziećmi pod jednym dachem i nikt go nie sprawdza, nie wymaga testów pedagogicznych. Ale pamiętajmy, że zdarzają się czasem sytuacje odwrotne – gdy to matka walczy o kontakt z dziećmi. Dlatego nie powinniśmy tego problemu sprowadzać do „stania po stronie kobiet" albo „po stronie mężczyzn".

Brakuje nam szybkich decyzji sądowych, bo dla małego dziecka rok procesu to wieczność i zerwane więzi. Jako Stowarzyszenie na rzecz Chłopców i Mężczyzn domagamy się zmian w ustawodawstwie: opieka naprzemienna (czy piecza współdzielona) powinna stać się modelem domyślnym. Dziś instytucje zmuszają rodziców do wyniszczającej gry o sumie zerowej: kto weźmie dziecko i zyska pełnię kontroli, a kto będzie czekał na łaskę w „co drugi weekend".

Z kolei dożywotnie alimenty na małżonka to prawo pisane pod dawne realia, gdy związek z zasady był na całe życie, a kobiety często rezygnowały z kariery zawodowej dla domu. Jeśli dziś małżeństwa często trwają krótko, a kobiety i mężczyźni są w podobnym stopniu aktywni na rynku pracy, to te przepisy wymagają aktualizacji.

Podzielę się z panem pewną refleksją. Dostrzegam te nierówności, ale kiedy myślę o żonie i córce – nie przeszkadza mi, że wojsko wzywa mnie, a nie je. Jeśli trzeba dłużej pracować do emerytury – to pracuję. Może po prostu wyrastamy w takiej kulturze dbania o kobiety?

To klasyczny argument z pozycji konserwatywnych. Sęk w tym, że ignorując te nierówności, jako społeczeństwo strzelamy sobie w stopę. Wykluczenie z systemu edukacji to większa przestępczość. Brak aktualizacji przepisów BHP to więcej wypadków. Brak sieci wsparcia to większa bezdomność.

Co do wojska – w dawnym modelu mężczyźni mieli obowiązki obronne, ale mieli również pełnię praw i władzy, w tym chociażby prawa wyborcze, których odmawiano kobietom. Dziś żyjemy w rzeczywistości, która szczyci się równością i obala szklane sufity. Ustalamy parytety dla „prezesek" i „polityczek", a jednocześnie obowiązek poświęcenia życia za ten system zostawiamy wyłącznie na barkach mężczyzn. Budzi to uzasadnione poczucie niesprawiedliwości.

Pan ma rodzinę, więc pana instynkt ochrony własnej żony i córki jest naturalny. Ale proszę spojrzeć na masę młodych, samotnych mężczyzn z mniejszych ośrodków, którzy partnerek nie mają. Mają ginąć za państwo, które ich dyskryminuje? Jak widać, zwalczanie nierówności płci, zajęcie się tymi problemami, o których mówię, to niezbędny krok nie tylko w stronę spójności społecznej, lecz także bezpieczeństwa państwa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



dr Michał Gulczyński *– socjolog, zajmuje się badaniem nierówności płci. Absolwent Uniwersytetu Warszawskiego. Doktorat uzyskał na Uniwersytecie Bocconiego w Mediolanie. Obecnie stypendysta Europejskiego Instytutu Uniwersyteckiego we Florencji. Brydżysta, drużynowy mistrz świata do lat 20 z 2012 r.*

eprasa.pl 612cf85725



Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Polskie aktywistki proaborcyjne próbują przesuwać kolejne granice. Ostatnio opinią publiczną wstrząsnęła sprawa „aborcji selektywnej”



Gizela Jagielska otrzymała tytuł „Człowieka Roku 2026 Czytelników i Czytelniczek »Gazety Wyborczej«” FOT. YOUTUBE.COM/@WYBORCZA

Śmierć na życzenie

Gizela Jagielska jest jedyną ginekolożką w Polsce, która oficjalnie pomaga kobietom potrzebującym legalnej aborcji i nie boi się o tym mówić. Przez tę postawę stała się obiektem nienawiści, była lżona, a nawet atakowana fizycznie. Musiała zmienić miejsce pracy – powiedziała wicenaczelna „Gazety Wyborczej”, Agata Żelazowska-Cieśla, w laudacji wygłoszonej na cześć najbardziej znanej aborterki w kraju. Jagielska otrzymała tytuł „Człowieka Roku 2026 Czytelników i Czytelniczek »Gazety Wyborczej«”. Podkreślono, że ginekolog „za swoją odwagę i śmiałość zapłaciła jednak wysoką cenę”. Największą niesławę (choć dla „GW” zapewne chlubę) przyniosła Jagielskiej sprawa zabicia jesienią 2024 r. małego Felka. Aborcji dokonano poprzez wstrzyknięcie do serca chłopca chlorku potasu. W wywiadzie z maja ubiegłego roku lekarka opowiedziała historię innej śmierci, próbując przekonywać, że zastrzyk to właściwie środek… humanitarny. „Był krótki moment, kiedy nie stosowaliśmy chlorku potasu. Byłam przy jednej takiej aborcji w 26. tygodniu […]. I powiem tak: ani ja, ani nikt z mojego personelu nigdy więcej nie chcielibyśmy w czymś takim uczestniczyć. Dziecko się rodzi i czekamy, aż umrze. Zapewniamy mu oczywiście postępowanie paliatywne. Ale tamta sytuacja tylko utwierdziła nas w przekonaniu, że nie możemy tak robić. Nie po to kobiety do nas przychodzą” – opowiadała „Wysokim Obcasom”.

Gizela Jagielska straciła pracę w Oleśnicy, ale obecnie pracuje w powiatowym Łużyckim Centrum Medycznym w Lubaniu.

Nie jest to pierwsze wyróżnienie dla aborterki od środowiska z Wiertniczej. W marcu Gizela Jagielska została „Superbohaterką Czytelniczek i Czytelników »Wysokich Obcasów«”. „Odważna i bezkompromisowa. Wskazywali też na jej mądrość, na wierność przysiędze Hipokratesa, powołaniu i własnym przekonaniom. Wyrażali wdzięczność za służenie kobietom i za dawanie nadziei w trudnych dla kobiet czasach” – przypomina „GW” przy okazji kolejnego wyróżnienia.

OKLASKI DLA ZABÓJCÓW

Wszystko to dzieje się w blasku fleszy i przy internatowym aplauzie, choć mówimy przecież najczęściej o (co najmniej) naginaniu prawa. Obecnie aborcji można dokonywać w dwóch przypadkach: gdy ciąża jest wynikiem czynu zabronionego (gwałtu, kazirodztwa, współżycia z osobą poniżej 15. roku życia) – w takiej sytuacji jest dopuszczalna do 12. tygodnia ciąży; gdy zagrożone jest życie lub zdrowie kobiety (bez ograniczeń wiekiem dziecka nienarodzonego). W tym jednak przypadku szeroko używa się wytycznych Ministerstwa Zdrowia dla szpitali, które to wytyczne jednoznacznie wskazują, że dotyczy to także zdrowia psychicznego. Wyrok Trybunału Konstytucyjnego z 2020 r. wykluczył tzw. aborcję eugeniczną. Z danych NFZ wynika, że w 2024 r. przeprowadzono 890 aborcji, a w 2025 r. – 846. To jednak liczby ofi-

eprasa.pl 612cf85725

cjalnie. Nie wiadomo, ilu kobietom środki do wykonania aborcji w domu dostarczyły organizacje proaborcyjne, które choć jawnie łamią przepisy, to w ogóle się z tym nie kryją.

Polską wstrząsnęła niedawno historia ujawniona przez Aborcyjny Dream Team. Justyna Wydrzyńska pochwaliła się, że udzielono ciężarnej pomocy w dokonaniu tzw. aborcji selektywnej. Najprościej: tak określa się zabicie w drodze aborcji wybranego albo wybranych dzieci w ciąży mnogiej. – Zadzwoniła do nas dzisiaj osoba w 10. tygodniu ciąży bliźniaczej i zaczęła nas pytać na temat dostępności klinik aborcyjnych w Czechach, na Słowacji – powiedziała w nagraniu na Instagramie Wydrzyńska z proaborcyjnych organizacji Aborcyjny Dream Team i Aborcji Bez Granic.

Jak wynika z opisu, nie była to sytuacja skrajna, budząca jakiekolwiek wątpliwości – po prostu para chciała jedno dziecko, a nie dwoje. – Ta osoba jest w chcianej, planowanej ciąży, ale ponieważ jest to ciąża bliźniacza, to ich to trochę zaskoczyło jako parę. Oni nie planowali, nigdy nie myśleli o tym, żeby mieć dwoje dzieci zamiast jednego. Więc tak naprawdę ich pierwszym pomysłem była aborcja selektywna – dodała Wydrzyńska.

Aktywistka twierdzi, że „aborcja selektywna jest możliwa w Europie, są ośrodki, które to robią na różnych etapach ciąży". Taki właśnie pomysł podsunięto ciężarnej. – Uzyskała komplet informacji, które pozwoliły, żeby jej życie było spełnione – zaznaczyła aktywistka. „Jakim horrorem musi być taka procedura, zarówno dla zabijanego malucha, który ginie w straszliwych męczarniach, jak i jego braciszka lub siostrzyczki, będących tuż obok – nie sposób sobie nawet wyobrazić" – napisała fundacja Życie i Rodzina. Kaja Godek, szefowa organizacji, powiedziała „Rzeczpospolitej", że „Aborcyjny Dream Team intensywnie pracuje nad tym, by przesuwać granicę debaty publicznej i po prostu znormalizować zabijanie dzieci bez powodu, jako zachciankę".

– Nie oglądając się kompletnie na konsekwencje. Bo pamiętajmy, że mówimy o zabiegu, który powoduje nie tylko uśmiercenie jednego dziecka, ale może też realnie zaszkodzić drugiemu – ocenia Godek. – Działania Aborcyjnego Dream Teamu od dawna nie mają nic wspólnego ze zdrowym rozsądkiem, nawet w rozumieniu środowisk proaborcyjnych. W środowiskach tych aktywistki ADT uchodzą za radykałów, szkodzących sprawie – dodaje działaczka pro-life.

PRZESUWANIE GRANIC

Pytanie, czy faktycznie inne kraje swobodnie podchodzą do „aborcji selektywnej" – tak jak przedstawiła to Justyna Wydrzyńska. „Rzeczpospolita" dokonała prowokacji dziennikarskiej, podszywając się pod kobietę będącą w ciąży mnogiej. Na internetowym czacie czeskiej kliniki, blisko granicy, gdzie często jeżdżą Polki chcące dokonać aborcji, gazeta zapytała o możliwość zabicia jednego z bliźniąt. Na pytania odpowiedziała lekarz ginekolog. „W Czechach nie wykonuje się redukcji ciąży mnogiej, jeśli nie ma wad" – napisała. Dopytywana, gdzie można uzyskać aborcję najbliżej Polski, dodała: „Holandia jedynie. Aczkolwiek to już zależy od lekarza, bo teoretycznie też tego się nie wykonuje na życzenie. Jest zbyt duże ryzyko uszkodzenia całej ciąży, stąd tego się na życzenie nie wykonuje".

Ośrodek, który przecież zarabia na aborcjach, w tej sytuacji zdecydowanie odmówił. „To już finalnie Pani decyzja, tłumaczę tylko, dlaczego tego się nie wykonuje na życzenie" – zakończyła klinika. „Ze względów moralnych bardzo niewielu lekarzy jest skłonnych zredukować bliźnięta do jedynaków bez przyczyny medycznej. Pod uwagę brane jest również ryzyko dla życia pozostałego dziecka" – czytamy z kolei na stronie profemina.org.

Jednak Natalia Broniarczyk z Aborcyjnego Dream Teamu kreśli inny obraz. – Aborcja selektywna, dokonywana na wczesnym etapie ciąży, czyli do ok. 14. tygodnia, polega na wstrzymaniu rozwoju jednego z płodów pod wpływem zastrzyku. Nie usuwa się go chirurgicznie, bo zostaje niejako wchłonięty przez wody płodowe i endometrium – przekonuje. – Rzeczywiście takie zabiegi przeprowadza się najczęściej w Holandii. Są one poprzedzone konsultacjami z odpowiednikiem polskiej pomocy społecznej, z lekarzem i położną. Pacjentka jest informowana o zagrożeniach dla drugiego płodu oraz o możliwości przerwania całej ciąży. Specjaliści radzą jej, czym się kierować przy wyborze płodu. W efekcie tych rozmów część pacjentek zmienia swoje pierwotne nastawienie – dodaje aktywistka pro-abo.

Według Cezarego Boryszewskiego z Klubu Jagiellońskiego cel jest jasny – przesunięcie granic tego, co mieści się w ramach debaty i akceptacji. „Chodzi o to, że poprzez komunikowanie przypadków aborcji selektywnej czy też w 37. tygodniu ciąży sprawiają, że przypadki inne – od płodów z zespołem Downa poczynając, a na aborcji na życzenie powodowanej »trudną sytuacją« kończąc – przestaną wzbudzać etyczne wątpliwości opinii publicznej" – zauważa. Gdy do tego dodamy fetowanie postaci takich jak Gizela Jagielska, wyłania się ponury obraz, bez żadnej przesady, implementowania u nas cywilizacji śmierci.

DZIECKO PRZEŻYŁO ABORCJĘ

Nieco mniejszym echem odbiła się w mediach historia dotycząca Wojewódzkiego Szpitala Specjalistycznego im. Stefana Kardynała Wyszyńskiego w Lublinie. Fundacja Życie i Rodzina otrzymała oficjalne potwierdzenie, że dziecko przeżyło dokonaną tam aborcję. Placówka nie chce jednak odpowiedzieć na pytania o to, kiedy doszło do przerwania ciąży, ile czasu dziecko żyło po próbie odebrania mu życia oraz co stało się z nim później. „Każde żywe urodzenie podlega przekazaniu Zespołowi Neonatologicznemu. W tygodniu ciąży 23–24 reanimacja wykonywana jest na prośbę matki. Jeśli rodzice wyrażają wolę ratowania życia dziecka za wszelką cenę, to podejmowane są próby ratowania go przez lekarza specjalistę neonatologa oraz pielęgniarkę/położną neonatologiczną" – stwierdzono w oświadczeniu.

Fundacja wskazuje, że we wspomnianym szpitalu aborcji dokonuje się na podstawie zaświadczenia od psychiatry. Jak donosi portal niedziela.pl, w ostatnim czasie zabito tam dwoje dzieci z zespołem Downa. Fundacja Życie i Rodzina zapowiedziała zawiadomienie prokuratury o możliwości „popełnienia przestępstwa poprzez nieudzielenie pomocy medycznej dziecku urodzonemu żywo z aborcji, będącemu w stanie zagrożenia życia".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 612cf85725

Koalicja na Rzecz Ocalenia Polskiej Szkoły
www.ratujmyszkole.pl
krops@ratujmyszkole.pl

Warszawa, dnia 25 maja 2026 r.

List otwarty do minister Barbary Nowackiej

Szanowna Pani Minister,

wobec braku oczekiwanego odzewu na petycje i protesty kierowane przez środowiska rodziców i nauczycieli do MEN w sprawach budzących zdecydowany sprzeciw kierujemy niniejszy list w poczuciu troski i odpowiedzialności za edukację dzieci i młodzieży w naszym kraju. Skala dewastacji nauczania i propagowania pseudonaukowych koncepcji wychowawczych osiągnęła poziom stanowiący zagrożenie dla fundamentów państwa i społeczeństwa. Oskarżamy odpowiedzialnych za edukację o planowe niszczenie polskiej szkoły.

Obniżenie rangi rozumu zastępowanego instrukcją obsługi emocji i poczuciem „dobrostanu", rezygnacja z wiedzy teoretycznej na rzecz indoktrynacji ideologicznej, odrzucenie wychowania rozumianego jako budowanie dojrzałej osobowości i zastąpienie go formatowaniem uczniowskich postaw i przekonań, zerwanie kodu kulturowego przez redukcję kanonu lektur i ograniczenie edukacji historycznej, a także drastyczne obniżanie wymagań szkolnych stanowią celowe działania obliczone na infantylizację całych pokoleń oraz ich alienację kulturową i narodową.

Nasz zdecydowany sprzeciw budzą w szczególności podstawy programowe przedmiotu edukacja zdrowotna. Oskarżamy ich autorów o odejście od naukowych ustaleń w pojmowaniu człowieka i zastąpienie ich konstruktem redukcjonistycznym, wedle którego człowiek, jako istota poddana biologicznemu determinizmowi, definiowany jest głównie przez napięcia w sferze emocji i instynktów. Swoją wolność miałby odnajdywać w nieograniczonym kulturowo i moralnie manifestowaniu potencjału seksualnego.

Kwestionowanie istnienia obiektywnej płci biologicznej na rzecz płynnej koncepcji płci społecznej prowadzi nieuchronnie do chwiejności tożsamościowej młodych ludzi i zagraża lawiną tranzycji płciowych, niszczących młode organizmy w sposób trwały. Protestujemy przeciwko świadomemu manipulowaniu dziećmi i młodzieżą przez propagowanie tranzycji płciowej jako sposobu rozwiązywania problemów psychicznych. Oskarżamy o próby proceduralnego przeciwstawiania dzieci ich rodzicom, a także o świadome ukrywanie skali katastrofalnych skutków tranzycji, już widocznych w krajach zachodnich.

Nie kwestionując wolności decyzji co do wyboru przez młodych ludzi drogi życia, nie wyrażamy zgody na stawianie w programie szkolnym znaku równości między wyborem życia rodzinnego z wychowaniem potomstwa oraz życia wolnego, bez rodzinnych zobowiązań i w bezdzietności. Przypominamy, że ochrona i wspieranie rodziny jest konstytucyjnym obowiązkiem władz. Jego rola wzrasta wraz z potęgowaniem się zagrożenia demograficznego kraju.

Oskarżamy władze o prowadzenie transformacji edukacji według globalistycznych wskazań Transforming Education Summit (Szczyt Transformacji Edukacji) ONZ, bez informowania Polaków o ponadnarodowych źródłach i kierunku prowadzonych reform. Zmiany przeprowadzane przez MEN (rząd) zmierzają do pozbawienia suwerenności polskiej oświaty i podporządkowania jej Europejskiemu Obszarowi Edukacji. Nie wolno do tego dopuścić! Stanowczo sprzeciwiamy się procesowi przemiany szkoły z instytucji kształcącej i wspierającej rozwój młodych ludzi, w narzędzie przebudowy społecznej w kierunku konstruowania antynarodowego, wyzutego z tożsamości tzw. społeczeństwa inkluzyjnego. Nie zezwalamy na wykorzystywanie naszych dzieci jako narzędzi wyimaginowanych rewolucyjnych przemian!

- *W obliczu sprzeniewierzenia się przez kierujących polską oświatą szlachetnej misji wpisanej w zawód nauczyciela apelujemy do nauczycieli o odważne sygnalizowanie swego sprzeciwu wobec degradacji szkoły, której sens leży w dobrym kształceniu i dbaniu o pełen rozwój dzieci i młodzieży.*
- *Apelujemy do ludzi mediów i ludzi kultury o odkrywanie przed społeczeństwem istoty transformacji edukacji i niechlubnej roli, jaką wyznaczono polskim nauczycielom i polskim uczniom w przebudowie stosunków społecznych kraju.*
- *W szczególny sposób apelujemy do rodziców. Bądźmy razem! Łączmy siły w obronie naszych dzieci, nie pozwalając na ich otumanianie i polityczne wykorzystywanie. Żądajmy poszanowania naszych konstytucyjnych praw rodzicielskich. Domagajmy się od polityków wszystkich opcji zainteresowania edukacją, która zmierza ku katastrofie.*

My, członkowie Koalicji na Rzecz Ocalenia Polskiej Szkoły, oświadczamy, że nie ustaniemy w protestach dopóty, dopóki kształcenie i rozwój naszych dzieci będą zagrożone, a nad krajem wisieć będzie widmo wielorakich politycznych ideologii. Jesteśmy świadomi, że od kształtu polskiej szkoły zależy przyszłość narodu i naszej Ojczyzny.

W tym duchu organizujemy 14 czerwca o godz. 12 w centrum Warszawy pod Pomnikiem Mikołaja Kopernika przy ul. Krakowskie Przedmieście manifestację pod hasłem „Dobra szkoła – silna Polska!".

W IMIENIU 94 ORGANIZACJI SKUPIONYCH W KROPS

Koordynatorzy

Hanna Dobrowolska, Ruch Ochrony Szkoły
Agnieszka Pawlik-Regulska, Stowarzyszenie Nauczycieli i Pracowników Oświaty „Nauczyciele dla Wolności"
mec. Marek Puzio, Fundacja Instytut na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris
Elżbieta Lachman, Polskie Forum Rodziców
dr Zbigniew Barciński, Stowarzyszenie Pedagogów NATAN

eprasa.pl 612cf85725

DOBRA SZKOŁA SILNA POLSKA!

MANIFESTACJA

rodziców i nauczycieli

STOP

EDUKACJI:

- ANTYPOLSKIEJ
- ANTYZDROWOTNEJ
- ANTYRODZINNEJ



SPOTKAJMY SIĘ W WARSZAWIE POD POMNIKIEM KOPERNIKA (UL. KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 4)

14 CZERWCA GODZ. 12.00

ORGANIZATOR:

TAK! dla edukacji

NIE! dla deprawacji

WESPRZYJ ORGANIZACJĘ

www. ratujmyszkole.pl

KOALICJA NA RZECZ OCALENIA POLSKIEJ SZKOŁY

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl 612cf85725

Los człowieka w Cannes



Arkadiusz Siwko
z Cannes

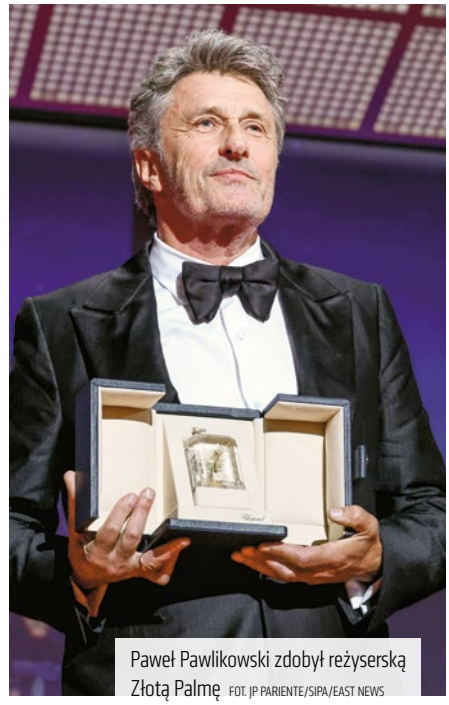
To niesamowite uczucie oglądać na dużym ekranie opowieści o poważnych problemach moralnych. Kino właśnie wtedy jest tak ważnym elementem kultury powszechnej, jeżeli pokazuje los człowieka walczącego o swoją tożsamość. Takie było Cannes 2026

To nie był festiwal próżnych filmów o niczym. To był festiwal ważnych filmów zadających ważne pytania o kondycję człowieka, rodziny i jednostki we współczesnym zagrożonym świecie. To był także festiwal wołający o prawo do wolności, do zachowania własnych przekonań i przypominający o zbrodniach wobec człowieka w historycznej i współczesnej Europie. Wśród nagrodzonych filmowców w tym roku znaleźli się Pawlikowski, Mungiu i Zwiagincew – reżyserzy, którzy stawiają wyraźnie na kino moralnego niepokoju.

To nie przypadek, że właśnie na festiwalu w Cannes Złotą Palmę zdobył w okresie stanu wojennego w Polsce wielki film o wolności „Człowiek z żelaza" Andrzeja Wajdy i dekadę później „Zimna wojna" Pawła Pawlikowskiego. Bo to taki festiwal. Festiwal o wolności człowieka.

KINO Z POLSKI O WOLNOŚCI MIĘDZY DEKADAMI

Niezwykłym zrządzeniem losu tegoroczny festiwal w Cannes ponownie połączył tych dwóch wspaniałych twórców. W sekcji Cannes Classic festiwal pokazał na specjalnym pokazie zremasterowane arcydzieło Wajdy, czyli właśnie „Człowieka z żelaza" z udziałem wyraźnie wzruszonych żyjących twórców na czele z Krystyną Jandą (Krystyną Żandą, jak mówią Francuzi) i Alanem Starskim. To było bardzo emocjonujące przeżycie. Ten film, oglądany po 50 latach na dużym ekranie, wcale się nie zestarzał i jego okrutna aktualność jest po prostu szokująca. Słynne zdanie: „Czy pan myśli, że my naprawdę chcemy dzielić się władzą?" brzmi dzisiaj nie mniej okrutnie.



Paweł Pawlikowski zdobył reżyserską Złotą Palmę FOT. JP PARIENTE/SIPA/EAST NEWS

Ponownie o Złotą Palmę w głównym konkursie festiwalowym stanął Paweł Pawlikowski. Tym razem z filmem po niemiecku o uniwersalnym przesłaniu.

Reżyser „Idy" i „Zimnej wojny" opowiada w swoim najnowszym filmie „Ojczyzna" historię Thomasa Manna podróżującego przez podzielone Niemcy, a Pawlikowski zdjęciami i obrazami w tym filmie snuje opowieść o współczesnej Europie, która nie potrafi się uporać ze swoimi podziałami, także podziałami rodzinnymi. Znowu oglądamy u Pawlikowskiego perfekcyjnie wykadrowane czarno-białe zdjęcia Łukasza Żala. Cannes docenia takie kino. Nagroda za reżyserię jest tu w pełni zasłużona. Ex aequo nagrodę za reżyserię otrzymali Javier Calvo i Javier Ambrossi za „The Black Ball".

Film Pawlikowskiego „Ojczyzna" zgromadził doskonałe recenzje i był po jego projekcji ogłoszony jako jeden z głównych kandydatów do tegorocznej Złotej Palmy. Do czasu emisji norweskiego „Fjordu".

Ostatecznie zatem nie film „Ojczyzna", ale Paweł Pawlikowski zdobył reżyserską Złotą Palmę. Film nie mógł, bo opowiadał o losie człowieka w historii, a „Fjord" pokazuje dramat jak najbardziej współczesnego człowieka.

KONSERWATYWNY MANIFEST

To wciąż niezwykłe, że we współczesnej Europie festiwal w Cannes potrafi wręczyć główną nagrodę, czyli właśnie filmową Złotą Palmę za najlepszy film, filmowi opowiadającemu o zbrodni odbierania dzieci rodzicom uważanym za zbyt tradycjonalistycznych.

Zdobywca tegorocznej Złotej Palmy w Cannes – „Fjord" Cristiana Mungiu – to poruszający i niepozostawiający nikogo obojętnym obraz o zderzeniu wartości, który przenosi widzów z rumuńskiej rzeczywistości w surowy świat norweskiego systemu opieki społecznej. Laureat najbardziej prestiżowej nagrody festiwalu zachwyca powagą, zdjęciami, stawiając niewygodne dla współczesnej Europy pytania o granice ingerencji państwa w życie rodziny.

Film opowiada o historii rodziny przeprowadzającej się z pięciorgiem dzieci z Rumunii do Norwegii. Tata Mihai jest Rumunem, a żona Lisbeth Norweżką. To małżeństwo połączyła głęboka wiara w Boga i w takim religijnym duchu wychowują swoje pięcioro dzieci.

Moralność rodziny oparta jest na wierze, miłości do siebie i do dzieci oraz przywiązaniu do tradycji. Uważają, że jeżeli dzieci nie będą słuchać starszych, to rodzina się rozpadnie. Z kolei państwowa moralność norweskiego Barnevermet jest zupełnie inna. Jej fundamentem jest specyficznie rozumiana ochrona praw

eprasa.pl 612cf85725

dziecka, przede wszystkim przed rodzicami o „przestarzałych" konserwatywnych poglądach.

Oglądamy rodzinę, która przed obiadem i kolacją wspólnie odmawia modlitwy, wspólnie śpiewa, stara się wspólnie spędzać czas. Dzieci nie są pozostawiane same sobie na dworze, korzystanie z elektroniki jest ściśle ograniczone.

Nie trzeba długo czekać, jak pojawia się Barnevernet – ciesząca się złą sławą norweska państwowa służba ochrony praw dzieci. Padają oskarżenia wobec norwesko-rumuńskiego małżeństwa. Barnevernet kieruje do sądu sprawę przeciwko małżeństwu. Jeszcze przed rozprawą sądową opieka państwowa odbiera im ich pięcioro dzieci i rozdziela je do rodzin zastępczych. W miarę jak Lisbeth i Mihai coraz lepiej rozumieją powagę sytuacji, z zagubionych spokojnych outsiderów przeistaczają się w liderów globalnego ruchu przeciw norweskiej opiece społecznej.

W roli Mihaia występuje Amerykanin rumuńskiego pochodzenia Sebastian Stan (dwukrotnie nominowany do Oscara), w roli Lisbeth – Norweżka Renate Reinsve z „The Worst Person in the World" oraz nominowanej do Oscara roli w „Sentimental Value".

„Fjord" to prawdziwy manifest konserwatywny. Tym bardziej że inspirowany jest rzeczywistą historią rumuńsko-norweskiej rodziny Bodnariu, gorliwych zielonoświątkowców, którym Barnevernet odebrało i oddało do adopcji pięcioro dzieci.

Niezwykłe jest także to, że ten film nie pozostawia żadnych wątpliwości. Pokazuje proceder odbierania dzieci jako czyste zło. Bez wątpliwości czyste zło. Zauważenie takiego problemu we współczesnej Europie budzi nadzieję, że dyskusja moralna o wolności jest ważna.

„Fjord", co zrozumiałe, zdobył także nagrodę za najlepszy film przez obecne od lat Jury Ekumeniczne festiwalu w Cannes. Swoją drogą, czy ktoś słyszał o tym, by na jakimś polskim festiwalu filmowym przyznawano nagrody za wartości moralne filmu?

CO JESZCZE W KINIE MORALNEGO NIEPOKOJU?

Po 10 latach wrócił też do Cannes Andriej Zwiagincew. Nagrodzony Grand Prix, czyli drugą największą nagrodą w Cannes, jego „Minotaur" mistrzowsko buduje zdjęciami atmosferę duchowego rozpadu w Rosji.

„Minotaur", który został nakręcony na Łotwie, to remake filmu Claude'a Chabrola „Niewierna żona". Główny bohater, dyrektor rosyjskiej firmy, przekonany o zdradach swojej żony zostaje wezwany do administracji regionu, gdzie urzędnik domaga się od niego, by skierował pracowników przedsiębiorstwa do mobilizacji na wojnę na Ukrainie. Będzie próbował jakoś odnaleźć się w tej sytuacji.

Zwiagincew od lat żyje na emigracji i od początku krytycznie wypowiadał się o rosyjskim reżimie oraz napaści na Ukrainę.

Podczas swojego przemówienia po otrzymaniu Grand Prix zaapelował do prezydenta Władimira Putina o zakończenie inwazji na Ukrainę.

– Miliony ludzi po obu stronach linii frontu marzą teraz tylko o jednym: żeby masakry w końcu się skończyły – powiedział. – A jedyną osobą, która może położyć kres tej maszynce do mięsa, jesteś ty... Zatrzymaj tę rzeź, cały świat na to czeka – mówił pod adresem Putina.

Tegoroczny festiwal w Cannes także powrócił do innego swojego polskiego mistrza Krzysztofa Kieślowskiego.

„Historie równoległe" Asghara Farhadiego powstały na podstawie „Dekalogu" Kieślowskiego, a producentami filmu byli Krzysztof Piesiewicz i Maciej Musiał.

Ta współczesna wersja „Dekalogu" przeniesiona do dzisiejszego Paryża pokazywana była, podobnie jak film Pawlikowskiego, w głównym konkursie festiwalu. Według zgodnej opinii krytyków film irańskiego reżysera nie dotrzymał kroku swojemu pierwowzorowi. Po raz kolejny okazało się, że Krzysztof Kieślowski jest tylko jeden. Niemniej warte pokreślenia jest to, że filmem Farhadiego Festiwal w Cannes postawił na kolejny film podejmujący tematykę moralnego niepokoju współczesnej Europy.

KINO FRANCUSKIE TEŻ MA COŚ DO POWIEDZENIA

Na festiwalu w Cannes także przedstawia się to, co dla kina francuskiego najważniejsze. Pod jednym warunkiem – że filmy poruszają jakieś ważne tematy. Na uwagę zasługują trzy filmy z udziałem francuskiej kinematografii.

Pierwszy to „Gentle Monster" z brawurową rolą Léa Seydoux. Film, którego akcja toczy się w Niemczech, dotyczy rodziny francusko-niemieckiej wyprowadzającej się z dzieckiem od wielkomiejskiego zgiełku na urokliwą wieś. Niby wszystko wygląda jak w sielance. Tylko że pewnego dnia rodzinę odwiedza policja z nakazem przeszukania i zabrania komputerów oraz telefonów ze względu na aktywność męża na forach pedofilskich. Czy mąż tylko ogląda czy coś więcej... Stopniowo odsłaniają się mroczne tajemnice. Film jednoznacznie wskazuje pedofilię jako nieakceptowalne zło i podkreśla powagę problemu dotykającego bezbronne dzieci.

Innym przykładem francuskiego filmu o czymś na tegorocznym Cannes był z kolei film „Karma" ze znakomitą rolą Marion Cotillard. Film opowiada o problemie uzależnienia od sekty, próbie wyrwania się z niej, samotności i w końcu porwaniu dziecka przez sektę oraz podjęcia przez matkę graną przez Marion Cotillard walki o jego odzyskanie.

Na koniec warto pochylić się nad francuskim obrazem historycznym „Moulin", który znakomitymi obrazami opowiada historię aresztowania i męczeństwa przywódcy francuskiego Resistance podczas okupacji hitlerowskiej Jeana Moulina katowanego przez szefa gestapo z Lyonu Klausa Barbiego. Słynny z okrucieństwa Rzeźnik z Lyonu Barbie jest przedstawiony bez niedomówień. Bez wątpliwości, rozterek moralnych, czarno na białym. Po prostu realizujący okrucieństwo nie do zniesienia. W realnym życiu Klaus Barbie uciekł po wojnie do Ameryki Południowej. Państwo francuskie ścigało go jednak i postawiło go przed sądem w wieku 74 lat oraz skazało na dożywocie. Zmarł w więzieniu. Było to zaledwie w 1987 r. Jak widać, kino francuskie nie ma żadnych kompleksów w tym względzie. Film nie mówi o żadnych nazistach, tylko o niemieckich zbrodniarzach.

To niesamowite uczucie oglądać na dużym ekranie opowieści o poważnych problemach moralnych. Kino właśnie wtedy jest tak ważnym elementem kultury powszechnej, jeżeli pokazuje los człowieka walczącego o swoją tożsamość. Takie było Cannes 2026. Oby kino zachowało tę wolność.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 612cf85725



Nicolas Cage, prywatnie wielki fan komiksów, okazał się idealny do roli Bena Reilly'ego vel Spidera

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Super-noir



Piotr Gociek

Nicolas Cage błyszczy w „Spider-Noir". Ten pastisz czarnego kryminału połączony z opowieścią o niezwykłych mocach jest jednym z najlepszych seriali roku

Znacie? To posłuchajcie: był kiedyś sobie pewien zmęczony życiem prywatny detektyw, który zbyt często zaglądał do kieliszka. Do jego biura rzadko zaglądali klienci, a rachunek za telefon ostatni raz zapłacił zeszłej zimy. Miał sekretarkę, której nie miał z czego płacić, przeszłość, której nie chciał wspominać, i żadnych widoków na przyszłość. Było to w Nowym Jorku, było to w czasach wielkiej depresji. Na ulicach ludzie ustawiali się w kolejkach po darmową zupę, burmistrz walczył o reelekcję hasłem zniesienia prohibicji, a dolary z podziemnego handlu wódką szerokim strumieniem płynęły do kieszeni króla półświatka.

A teraz najlepsze: to nie jest scenariusz filmu z Humphreyem Bogartem i Jamesem Cagneyem w rolach głównych, to nie jest wizyta w archiwach serii filmowej Columbia Noir Classics, tylko opowieść o Spider-Manie. W dodatku ten Spider-Man ma twarz nie nastolatka, lecz 62-letniego dziś Nicolasa Cage'a. Jak to się stało? Korzeni trzeba szukać w dwóch miejscach: po pierwsze w 2009 r. wydawnictwo Marvel uruchomiło serię komiksową „Spider-Man Noir", której akcja rozgrywała się w alternatywnej linii czasowej. Po drugie w filmie animowanym „Spider-Man Uniwersum" („Spider-Man: Into the Spider-Verse", 2018) jedną z postaci z alternatywnych wszechświatów (z których każda ma swojego Spider-Mana) był właśnie detektyw w charakterystycznym płaszczu i kapeluszu, którego głosem obdarzył Nicolas Cage.

Dwa do dwóch dodał Oren Uziel, scenarzysta, który w ostatniej dekadzie pracował przy rozmaitych, raczej drugorzędnych projektach komediowych i fantastycznych. Tym razem trafił w dziesiątkę. Stworzył na kanwie koncepcji uniwersum Marvel Noir i Spider-Mana Noir historię następującą: w jego linii czasowej żadni superbohaterowie nie występują (do czasu), Nowy Jork wygląda tak jak w czarnych kryminałach z lat 30. i 40. XX w., a główny bohater działa pod pseudonimem Spider. Bardziej to wszystko przypomina świat kreowany w dawnych magazynach pulpowych niż typową kolorową karuzelę, do jakiej przyzwyczaiły nas filmy z Marvel Cinematic Universe. The Shadow – Cień – detektyw z popularnego radiowego cyklu oraz przedwojennych komiksów – czułby się w Nowym Jorku Uziela jak w domu. (Swoją drogą – czy ktoś pamięta jeszcze film „The Shadow" z 1994 r., w którym tę postać zagrał Alec Baldwin?).

W serialu „Spider-Noir" zawiązanie akcji jest następujące – prywatny detektyw Ben Reilly dryfuje przez życie jak rozbitek na tratwie, pogrążony w żałobie po śmierci ukochanej kobiety. Trauma sprawiła, że porzucił swój drugi, sekretny fach; a był czas, gdy ukrywając się pod maską z goglami, walczył z przestępcami jako Spider. Proste zlecenie (ma śledzić piosenkarkę z nocnego klubu i sfotografować ją w niedwuznacznej sytuacji) prowadzi Bena prosto w środek intrygi polityczno-kryminalnej; jednocześnie ktoś próbuje zabić wpływowego bandziora, szefa irlandzkiej mafii, który zowie się Finbar Byrne, ale wszyscy mówią na niego Silvermane. Gra go Brendan Gleeson, i jest to robota godna uwagi.

Na razie nic nie wskazuje, byśmy oddalali się od klasycznego kryminału noir – spłukany detektyw, piękna femme fatale, sprzedajni gliniarze, wścibski reporter (kumpel Spidera – Robertson), twardzi

eprasa.pl 612cf85725

gangsterzy. Jednak zamach na Silvermane'a dokonany został w dziwny sposób. Otóż tajemniczy osobnik wkroczył do jego domu i w kilka chwil puścił wielką rezydencję z dymem, wychodząc z tego bez szwanku. Szybko okazuje się, że mamy do czynienia z kimś obdarzonym niezwykłą mocą. Spider sądził dotąd, że jest jedyny – okazuje się, że w czasach gdy zwalczał zbrodnię jako zamaskowany mściciel, pomagały mu w tym supermoce, podobne do tych, które posiada „klasyczny" Spider-Man. W jaki sposób je posiadł i skąd nagle w Nowym Jorku wzięło się jeszcze kilku podobnie odmienionych osobników – to jedna z zagadek, na których rozwiązanie poczekać będziecie musieli przez kilka (z ośmiu) odcinków.

Jak przystało na pastisz czarnego kryminału, wszystko to nakręcone zostało w czerni i bieli. Potem serial został pokolorowany i w ten sposób widzowie Amazon Prime mogą wybrać, czy chcą oglądać wersję kolorową czy czarno-białą. Gorąco rekomenduję tę drugą, bo stylizacja jest perfekcyjna, nastrój wciąga, a i ścieżka dźwiękowa (łącznie z nieoczywistymi wersjami kilku znanych piosenek, jak „Dream A Little Dream of Me") zdecydowanie bardziej pasuje do tych mroków i szarości. „Spidera-Noir" oglądać trzeba w wersji noir, wersja kolorowa wygląda zresztą jak pokolorowane po latach przygody kanoniera Franka Dolasa rozpętującego drugą wojnę światową. Niby można zacisnąć zęby i wytrzymać. Ale po co?

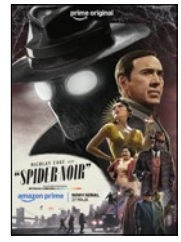
ŚWIETNA OBSADA

Nicolas Cage, prywatnie wielki fan komiksów, okazał się idealny do roli Bena Reilly'ego vel Spidera. Sam o swojej kreacji mówi, że to 70 proc. Humphreya Bogarta i 30 proc. Królika Bugsa – coś jest na rzeczy. Serial Oziela jest bowiem także bardzo zabawny, jak na pastisz przystało. A Cage, znany ze swego zamiłowania do szarżowania, dostaje znakomity materiał. Jednym z nieodłącznych elementów jego profesji detektywa jest udawanie – inaczej zachowuje się, gadając z bandziorami, inaczej gdy chce przechytrzyć portiera w bogatej kamienicy. Czystym złotem jest jego wizyta w szpitalu, gdzie gada z poranionymi w strzelaninie policjantami, gdy podszywa się pod mówiącego z okropnie przesadzonym akcentem przedstawiciela związków zawodowych. Nicolas Cage niczym Orient Men z komiksu Tadeusza Baranowskiego „śmieszy, tumani, przestrasza", a my mamy dobrą zabawę.

Reszta obsady nie odstaje. O świetnym Brendanie Gleesonie już wspominałem, równie dobry jest Lamorne Morris jako zaprzyjaźniony ze Spiderem reporter Joe „Robbie" Robertson. Karen Rodriguez jako sekretarka Bena/Spidera też daje radę. Pamiętany z serialu „Zakazane imperium" Jack Huston znów gra weterana z pierwszej wojny światowej, tym razem zamieniającego się nie w cyngla na usługach Nucky'ego Thompsona, lecz w Sandmana. Jest kłopot z główną rolą kobiecą, bo postać piosenkarki Cat Hardy miała być ponoć inspirowana klasycznymi rolami Lauren Bacall i Kim Basinger, ale obsadzona w tej roli Li Jun Li wypada raczej jak chińska gwiazda przedwojennego Hollywood Anna May Wong. Tymczasem w komiksie Cat Hardy była blondwłosą białą pięknością. Cóż, wirus różnorodności za wszelką cenę wciąż zżera produkcje Marvela.

OPOWIEŚĆ O DORASTANIU

„Spider-Noir" z pozoru wydaje się bardzo odległy od klasycznych opowieści o Spider-Manie. Przypomnijmy: tam, w wersji kanonicznej, śledziliśmy przygody nastolatka, który oprócz kłopotów z superzłoczyńcami ma kłopoty przede wszystkim z koleżankami w liceum. Zresztą tak ta postać od samego początku została przez Stana Lee wymyślona: Marvel potrzebował superbohatera, z którym mogła utożsamiać się młodsza widownia. Stąd humor, stąd lżejszy ton opowieści, stąd opowieść tak naprawdę o dorastaniu. Młody Peter Parker uczył się lekcji „z wielką mocą wiąże się wielka odpowiedzialność", a cała ta przypadkowa kariera superbohatera była karą losu za niedojrzałość i głupotę. Wszak gdyby w odpowiednim momencie nie był obojętny wobec zła, bliska mu osoba nie zostałaby zabita.



SERIAL „SPIDER-NOIR" USA 2026

Ben Reilly szydzi sobie z cytowanej wyżej maksymy, gdy próbuje uzasadnić swoją rezygnację z kariery pogromcy zbrodni. „Zero mocy to zero odpowiedzialności" – przekonuje swego kumpla reportera, gdy tłumaczy mu, dlaczego porzucił skakanie po dachach w stroju Spidera. Ale i on dorośnie, i on spoważnieje, choć odbędzie się to za cenę złamanego serca. Jak to w czarnych kryminałach bywa. Na dojrzewanie nigdy nie jest za późno, nie można całe życie obwiniać się za rzeczy, których już nie możemy odmienić, możemy za to starać się, żeby nadchodzące dni były lepsze i dla nas, i dla innych. Jeśli jakiś życiowy przegryw sprawi, że ktoś inny wygra życie, to nagle obaj są wygrani, prawda? Przypomnijcie sobie „Casablankę".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Jak przystało na pastisz czarnego kryminału, wszystko to nakręcone zostało w czerni i bieli. Potem serial został pokolorowany

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 612cf85725



FOT. MACIEJ RUKASZ

Orestes na dziś i na zawsze



Grzegorz Kondrasiuk

Jesteśmy w schronie albo okopie, w przedłużającym się oczekiwaniu, w strefie bezpośredniego zagrożenia. Sześciu facetów w typie macho prowadzi – typowe w takiej sytuacji – gadki o wszystkim i o niczym. Zaczepki, dywagacje, koszarowe dowcipy, które niebezpiecznie zbliżają się do granicy rozmów o sprawach ostatecznych. Wszystko zmieszane: codzienne pułapki męskości, dzieciństwo, dziewczyny, bójki, pierwsze doświadczenia i sny erotyczne, wstyd, sacrum, profanacja świętych wyobrażeń. Rozmowy to zdecydowanie męskie, wulgarne w wysłowieniu, sięgające po ten idiom szorstkości – którego dziś tak często się unika (a odesłany, wydawałoby się bezpowrotnie, do lamusa przez zachodnią sytą gładkość natychmiastowo odradza się w sytuacjach zagrożenia, np. na froncie).

Długi, nieprowadzący w żadną stronę dialog, napisany przez Artura Pałygę, w pewnym momencie przechodzi w precyzyjnie wypowiedzianą i odegraną tragedię Eurypidesa. Pięciu „macho", uprzejmie sprowokowanych przez Orestesa (Przemysław Wasilkowski), dostaje zaproszenie na dziwne, pożegnalne, urodzinowe przyjęcie. Charakter tego pożegnania nie jest na razie jasny, może być nim zarówno śmierć od nadlatującego niespodziewanie do okienka schronu drona, decyzja o wstąpieniu do armii, ale też samobójstwo gospodarza. Wtedy niespodziewanie uruchamia on przejmujący teatr w teatrze. Rozdaje role i kostiumy z Eurypidesa i oto mamy ukazaną, scena po scenie, fabułę tragedii. Rozwiązanie to pozwala na ominięcie pułapki banału przepisania fabuły na współczesne realia, wtłoczenia postaci w nasze ubrania albo w wojskowe mundury ukraińskiego frontu. Aktorzy zaś precyzyjnie realizują ten dystansujący zabieg, co przypomina rodzaj pokazowej operacji na otwartym sercu, prowadzonej przez najwyższej klasy chirurgów: obok Wasilkowskiego – Jarosław Tomica, Paweł Janyst, Jarosław Tomica, Michał Zgiet, Alaksandr Zelianko, Wojciech Kaproń. Po odegraniu tragedii wszystko zdaje się wracać na swoje miejsce, choć jednocześnie nic już nie będzie takie samo. W tym rozumieniu teatr to narzędzie do rozpatrywania głębokich decyzji i motywacji, pryzmat, przez który patrzymy na swoją osobowość i tożsamość.

Eurypidesa rzadko się dziś gra. Za trudny, zbyt polifoniczny – jak to w tragedii, wszyscy mają rację, a zarazem nikt jej nie ma. W związku z tym każda jego sztuka tematów – pomimo jednej, mitycznej, opowiadanej historii – może mieć mnóstwo. Ten „Orestes" najbardziej jest chyba o całkowitym, bezpowrotnym, zmieniającym wszystko doświadczeniu „pójścia na wojnę". Sprawę komplikuje rezygnacja z osadzenia wydarzeń w czasie, więc to rzecz zarówno o człowieku przed wojną, jak i po niej. O strachu przed koniecznością zaangażowania, wcielenia do armii, przed przejściem w tryb przetrwania – ale i o traumie konieczności zabijania i skazywania na śmierć. Bo wojna tuż obok niepokoi. Na elementarnym poziomie: lęku o to, że przekroczy granicę i rozleje się na Zachód, kończąc epokę wygody, ale też wymusza odniesienie się do tematu męskości i – szerzej – przemocy, heroizmu. Proste pytanie powracające w finale spektaklu sprowadza rzecz całą do esencji: A co, jeśli…? Czy pójdziesz na wojnę? Czy raczej uciekniesz? Rzecz jasna, w spektaklu nie znajdziemy na nie jasnych odpowiedzi.

Wychodziłem ze spektaklu z wrażeniem, że z antycznym tekstem stało się tu coś dziwnego, że chciałbym obejrzeć go jeszcze raz – tyle w nim było sensów domagających się dogłębnego zrozumienia. Paweł Passini ostatnio pracuje wyłącznie nad kameralnymi formami na Scenie Czarnej Centrum Kultury w Lublinie, w duecie z Aleksandrą Konarską, nadającą temu teatrowi wysmakowaną i szaloną wizualność. Jego teatr wykracza poza typowy dla polskiej sceny podział, będący odwzorowaniem życia społecznego. Kanon kultury wystawia się albo w geście jej radykalnego zakwestionowania, używając jej do własnych celów, najczęściej politycznych, albo z pietyzmem, dążącym do przechowania piękna zabytku. Dojrzały, przemyślany styl Passiniego swobodnie przełącza się pomiędzy tymi trybami, wpisuje dawny tekst w dzisiejsze dyskusje i dylematy, a jednocześnie dokonuje interpretacji dramatu na głębokim poziomie, pamiętającym o intencjach autora. ©℗

„ORESTES:404"
TEKSTY: ARTUR PAŁYGA, EURYPIDES
SCENARIUSZ, REŻYSERIA, MUZYKA: PAWEŁ PASSINI
SCENOGRAFIA, KOSTIUMY, PROJEKCJE: ALEKSANDRA KONARSKA
PREMIERA: 1 MARCA 2026 R.
(WSPÓLNIE Z „IFIGENIA:RELOAD", REŻ. ALEKSANDRA KONARSKA)

eprasa.pl 612cf85725

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



HOŁD PRUSKI – NAJWIĘKSZY BŁĄD POLSKI?

Droga do hołdu – Prymas Jan Łaski przekonywał polskiego króla, że państwo krzyżackie musi zniknąć. Dlaczego Zygmunt I Stary postanowił zawrzeć kompromis i oszczędzić Krzyżaków?

„Cud" nad Nogatem – Bitwa pod Grunwaldem słusznie uchodzi za jeden z największych triumfów polskiego oręża. Jednocześnie jest to wręcz sztandarowy przykład zmarnowania znakomitej koniunktury politycznej

Sowieckie „strefy 51" – W czasach ZSRS w tzw. miastach zamkniętych testowano i produkowano najnowsze rodzaje broni, m.in. biologicznej. Po rozpadzie Związku Sowieckiego wiele tych miast pojawiło się na mapach, ale ich mieszkańcy wciąż żyją pod kontrolą specsłużb

W łagrach, Auschwitz i leprozorium – Polscy kandydaci na błogosławionych bronili wiary, świadczyli o niej, żyli, myśląc o Bogu, a także o ludziach – nie tylko chrześcijanach

Dramat skradzionych dzieci Reunionu – To jeden z najbardziej haniebnych epizodów w dziejach Francji. I jeden z najbardziej zapomnianych

Nazistowski „męczennik" – NSDAP uczyniła z tego mordu bardzo przydatny mit; Horst Wessel stał się kimś w rodzaju nazistowskiego „męczennika". Ludzie, którzy brali udział w tym mordzie, szybko zostali okrutnie ukarani

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 612cf85725



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Męska gra



★★★★★★

„SPORTOWE OPOWIEŚCI Z WIELKIEJ BRYTANII: VINNIE JONES" („UNTOLD UK: VINNIE JONES")
WIELKA BRYTANIA 2026

film dokumentalny

Mundial za kilka dni, streaming puchnie od filmów i seriali dokumentalnych o piłce nożnej. Idę pod prąd i rekomenduję dziś coś o piłce, ale nie opowieści o wybitnych trenerach, popularnych klubach, wielkich gwiazdach czy tej lub innej reprezentacji albo tych czy innych mistrzostwach świata. Zamiast męczyć się przed telewizorem podczas meczów Polska – Ukraina, włączyłem sobie w Netflixie film „Sportowe opowieści z Wielkiej Brytanii: Vinnie Jones" i z przyjemnością wróciłem do czasów, kiedy futbol był męską grą normalnych ludzi, a nie wielkim spektaklem graniczącym niekiedy z cyrkiem.

Vincent Jones nie był ładny jak Cristiano Ronaldo, sympatyczny jak Ronaldinho czy utalentowany jak Paul Gascoigne. Ale swego czasu na pozycji defensywnego pomocnika był najlepszy… wróć – najskuteczniejszy na świecie. Szybko stał się niewolnikiem wizerunku bad boya. Faktycznie, ciął równo z trawą, otrzymywał rekordową liczbę czerwonych kartek, bywał zawieszany przez federację itd. Ale strzelał piękne gole, zdobywał trofea i przede wszystkim był gościem, przy którym koledzy z drużyny nie bali się nikogo i niczego. Pomocnik murarza, który w wieku 18 lat trafił do biednego klubu Wimbledon, mówi dziś do kamery o sobie z tamtych lat: „Futbol był dla mnie najważniejszą rzeczą na świecie". I ja mu wierzę.

Dokument Davida Tryhorna i Bena Nicholasa najlepszy jest w pierwszej połowie, gdy zabiera nas na powrót do czasów, gdy przepłacana Premier League jeszcze nie istniała, nie było w futbolu szejków i miliarderów, a piłkarze po treningu szli nie na siłownię, tylko na parę piw do pubu. Świat ten doskonale pokazano w najlepszym, moim zdaniem, filmie fabularnym o futbolu „Przeklęta liga" (2009). Trzydzieści pięć lat temu rozgrywki ówczesnej pierwszej ligi angielskiej często toczyły się na kartofliskach gorszych niż dzisiejsze stadiony polskiej drugiej ligi, a biegało po nich stado nabuzowanych testosteronem gości o gębach zabijaków spod ciemnej gwiazdy. Za to emocje… emocje były niesamowite, bo była to męska gra, w której wola zwycięstwa, upór, team spirit i miłość lokalnych fanów były ważniejsze niż dzisiejsze półprzestrzenie, tercje ofensywne i przechwyty pressingowe. Taką piłkę nożną pokochałem i taką kocham do dziś. ©℗

GRA TYGODNIA: „YOSHI AND THE MYSTERIOUS BOOK"

Yoshi jest jedną z postaci z uniwersum Mario, ma też swoją serię gier, w której występuje w roli głównej. Najnowsza platformówka jest już ósmą częścią tego cyklu. Tym razem w świecie Yoshiego pojawia się mówiąca księga, która nie tylko opisuje krainy zamieszkane przez niezwykłe stworzenia, lecz także zawiera portale do tych krain nas przenoszące. Eksplorujemy zróżnicowane światy, korzystamy z różnych umiejętności napotykanych stworzeń, ciesząc się pięknie narysowaną grafiką. Niewymagająca gra, która pozwala się odprężyć po ciężkim i wymagającym dniu. ©℗



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★★

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *zręcznościowe, platformówki*
- ***Platforma:*** *Nintendo Switch 2*
- ***Producent, wydawca PL:*** *Nintendo, ConQuest*

eprasa.pl 612cf85725

Sfinks współczesny

KINO



★★★☆☆☆

REŻ. TARIK SALEH
„ORŁY REPUBLIKI" („EAGLES OF THE REPUBLIC")
DANIA/FRANCJA/SZWECJA 2025

wyst. Fares Fares, Lyna Khoudri, Amr Waked

Do trzech razy sztuka. Po „Morderstwie w hotelu Hilton" i „Chłopcu z niebios" Tarik Saleh znów portretuje brzydszą, polityczną twarz Egiptu. Premii za odwagę nie będzie, ponieważ robi to w bezpiecznej odległości od kraju swoich przodków. Adresatem owej trylogii jest Europa, która – zdaniem szwedzkiego filmowca – Orientu się boi, gdyż mało o nim wie. Kłopot w tym, że sam przykrawa rzeczywistość kraju piramid do zachodnich wyobrażeń. Przyjemnie jest myśleć, że Kairczycy są tacy sami jak my i tylko presja państwa/religii sprawia, iż na co dzień muszą się maskować. Czytają Zadie Smith, słuchają Pink Floyd, buszują w Internecie.

Główny bohater „Orłów republiki" jeździ Jaguarem, obżera się sashimi i sojowym puddingiem, uprawia hazard i ma kochankę w wieku swojego syna. Nie jest nawet muzułmaninem. Cóż, artystom wszędzie wolno więcej, a George El-Nabawi to najpopularniejszy aktor nad Nilem. Niestety, sukces przewrócił mu w głowie. Odmawia zagrania Przywódcy Narodu pod pretekstem, że nie jest do niego w ogóle podobny. A przecież to logiczne: tylko „faraon ekranu" może arcydzielnie wcielić się w faraona prawdziwego. Przywołany do porządku gwiazdor wszczyna kolejną awanturę: chce, by film nie był w stu procentach propagandowy. Daremne żale, próżny trud. W Egipcie cenzor stoi w hierarchii wyżej niż producent, media są na smyczy władzy, a tajne służby każdego obywatela mogą przerobić na szaszłyki, ponieważ „wróg czai się wszędzie". George musi udowodnić, że jest patriotą, a nie wyrodkiem, któremu marzą się demokracja i tzw. prawa człowieka.

Wszystko jest tu oczywiste. Nad odrobinę przewrotności Saleh przedkłada marsz wydeptanym szlakiem. Świadczy o tym nawet wybór formuły. Polityczny dreszczowiec za sprawą Amerykanów wyewoluował w stronę widowiska z jednej strony dynamicznego, z drugiej tak zawiłego, że realizatorzy potykają się o własne nogi. Staroświeckość, zamiast dodawać uroku, ściąga „Orły republiki" w dół. Ostatnie pół godziny Szwed marnuje na burzenie tego, co wcześniej z mozołem budował. Zamknięcie kairskiej trylogii zostanie mi w pamięci tylko z jednego powodu. Nie znałem dotąd hipotezy, że Szekspir był Arabem. ©℗

Wiesław Chełminiak

ŚWIĄTYNIE FILMU

Niewiele już ich zostało. Są jak kapsuły czasu. Kina pałace, które pamiętają epokę Charliego Chaplina i Leni Riefenstahl. Wznosili je żydowscy inwestorzy, sojusznicy raczkującego przemysłu rozrywkowego. Rex w Paryżu, Tuschinski w Amsterdamie, Lichtburg w Essen, Urania w Budapeszcie. W cenie biletu darmowa lekcja historii architektury i designu pierwszej połowy XX w.: od frymuśnego eklektyzmu do jałowego modernizmu. Właściciele, pracownicy oraz renowatorzy wierzą, że „miejsca pozwalające marzyć" przetrwają ekspansję multipleksów i kina domowego. Gdzieś trzeba przecież urządzać uroczyste premiery i rozwijać czerwone dywany. W najgorszym razie monstrualne przybytki 10. muzy przerobi się na nocne kluby lub muzea, w których turyści będą katowani seansami niemej klasyki, z „Pancernikiem »Potiomkinem«" na czele. ©℗

★★★☆☆☆ arte

REŻ. AXEL FUHRMANN
„NAJPIĘKNIEJSZE KINA EUROPY" („EUROPAS GROSSE FILMPALÄSTE")
NIEMCY 2025





RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Liczy się inventio

W epoce Petera Paula Rubensa granice między oryginałem, repliką i kopią nikomu nie spędzały snu z powiek. O prawdziwej wartości dzieła decydowało bowiem inventio – genialna koncepcja mistrza, a nie jego wyłączna własnoręczność. Osobisty retusz na płótnie przygotowanym przez sprawny, doskonale wykształcony warsztat w zupełności wystarczał, by nadać mu rangę arcydzieła. Naiwny dogmat o „unikalnym geniuszu" i rzekomo bezdusznych kopiach narzucił nam dopiero przerafinowany, romantyczny wiek XIX.

Na wystawie „Rubensiana. Fascynacje kolekcjonerskie w Polsce XVII–XXI w." przyglądamy się kunsztowi warsztatu samego Rubensa oraz wybitnym dziełom twórców z jego kręgu, m.in. Jacoba Jordaensa czy Anthony'ego van Dycka. Całość narracji doskonale wpisuje się przy tym w chlubny kontekst polskiego kolekcjonerstwa, zapoczątkowany w 1805 r. na wskroś patriotyczną, ocalającą europejskie dziedzictwo wizją Stanisława Kostki Potockiego. ©℗



FOT. MUZEUM PAŁACU KRÓLA JANA III W WILANOWIE

GDZIE? ***Muzeum Pałacu Króla Jana III w Wilanowie***
KIEDY? ***do 31 grudnia***

eprasa.pl 612cf85725



KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Nie zapomnijcie!

Czytelnicy pięciu nowych opowiadań Stanisława Srokowskiego znajdą w nich ten sam czas, te same wydarzenia i tych samych bohaterów, co w poprzednich książkach tego autora drążącego jeden, za to wielki i wciąż wołający o prawdę i sprawiedliwość temat – ukraińskiego ludobójstwa dokonanego na Polakach na byłych wschodnich ziemiach Rzeczypospolitej. Nie tylko na Wołyniu. Masowe mordy Polaków dokonywane przez Organizację Ukraińskich Nacjonalistów nie rozpoczęły się w lutym 1943 r. na Wołyniu, lecz w nocy z 17 na 18 września roku 1939, i gdzie indziej, bo na Podolu, we wsi Sławentyn, powiat Podhajce, województwo tarnopolskie. Zamordowanych zostało wtedy przynajmniej 50 osób, zagrody obrabowano, część z nich spalono.

Stanisław Srokowski był wtedy dzieckiem, urodził się 29 czerwca 1936 r. w pobliskich Hlniczach koło Podhajec. Podobne napady ominęły wówczas jego wioskę, ale Polaków mordowano tuż obok: w Sławentynie właśnie, w Bokowie, Szumlanach. „Mordowano", a „ja już odróżniałem zabijanie od mordowania – pisał w »Widmach nocy. Dokumentacji zbrodni« (2021). – Bo tak mówili dziadkowie. »Oni nie zabijają, oni mordują. Jakby zabijali, to by człowiek nie cierpiał. A oni chcą, byśmy cierpieli. Dlatego mordują. Siekierami, nożami, kosami, widłami, piłami«".

Dla współtwórcy pamiętnego filmu „Wołyń", bo to materiałem zaczerpniętym z jego książek posłużył się Wojciech Smarzowski, realizując ten obraz, kluczowa może w zrozumieniu tragicznych zmian, jakie zaszły w jego dziecięcym świecie, była ta chwila, w której jego jedyny przyjaciel z kompletnie niezrozumianego dla niego powodu oświadczył mu nagle: „Ja ne budu z toboju howoryty. Bo ty Lach!".

A to, kim są Lachy, wyłuszczy pop w cerkwi, przyrównując ich do kąkolu zanieczyszczającego ukraińską ziemię. Dlatego to podłe plemię – zagrzmi – trzeba wyrwać z korzeniami. Wyrywano więc…

W rodzinnym domu chłopca po latach prowadzącego tę krwawiącą każdym słowem narrację gromadzili się co wieczór dorośli, nazwani przez niego Radą Starszych: ciotka Elza, dziadkowie Piotr i Ignacy, wujkowie Marian i Tośko. Opowiadali mrożące w żyłach historie, aż w końcu wpadli na pomysł, by je spisywać. I spisywali swoją historię, a ta w Hlniczach miała początek 17 września 1939 r., kiedy to do ogrodu Jana Srokowskiego spadł sowiecki samolot z martwym pilotem. I tego też dnia zaczęło się ukraińskie ludobójstwo, mordy spisywane po to, by się nigdy Ukraińcy nie mogli ich wyprzeć.

Dokumentowali zbrodnie dokonywane na Polakach, ale oprawcy – dopowiada wujek Marian w opowiadaniu „Psia buda" – „nie tylko z Polakami robili takie rzeczy. Oni nie tylko mordowali, ale się śmiercią bawili". Także śmiercią Żydów, Ormian, Cyganów, Ruskich… Plugawili świątynie – „nie swoje", wycinali orły na czołach zabijanych mężczyzn, rozrywali ciała kobiet i niemowląt. A Florianowi Kustrio – mówiła ciotka Elza – odcięli język, nos, uszy, palce u rąk i nóg… I szczura wsadzili do gardła".

„I nagle zdało mi się – czytamy – że zamieniam się w cmentarz… Ja, mały chłopiec, pełen wewnętrznych grobów, trumien, krzyży, dołów śmierci. Chłopiec wlazł do psiej budy, przytulił się do psa: »I nigdzie już nie chciałem iść. I żadnej historii nie chciałem znać«".

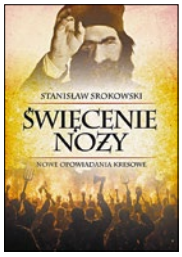
W opowiadaniu „Pukanie do okna" Stanisław Srokowski opowiada o tragicznym losie ukrywających się w lesie miejscowych Żydów, nie wiadomo, czy zmarłych, zamarzłych czy zastrzelonych. Czyje sumienie obciąża ich śmierć?

A może najciekawsze z nowych opowiadań pisarza, „Lwowskie orlę", odnosi się do wydarzeń jeszcze z roku 1918, relacjonując to, co działo się w okolicach miasta, gdzie udali się przegonieni z Podzamcza i Zamarstynowa Ukraińcy. We wsiach, do których przeniosła się wojna. Do Sokolników, Dawidowa czy Biłki Szlacheckiej.

„Była taka wieś – mówił wujek Marian – która się nazywała po ukraińsku Hołownia. I tam niedaleko tej wsi był przysiółek i niewielki kościół, a właściwie drewniana kaplica. I też była niedziela. Ludzie się zgromadzili na uroczystości. I jak się już zaczęły śpiewy, a ksiądz był przy ołtarzu, ukraińska banda otoczyła kaplicę, zaryglowała drzwi, oblała kościółek od zewnątrz benzyną i podpaliła […].

– Żywcem wszyscy się spalili, żywcem – powtórzył. – I ministranci, i ksiądz, i wszyscy wierni, wszyscy, co do jednego. Wielka kupa popiołów z ludzkich ciał i kości. Tyle tylko zostało. I zgliszcza z kaplicy […]. Tego nie da się normalnie opowiedzieć".

Zgromadzeni w domu narratora zastanawiają się, czego umarli chcą od nich? „Prawdy – cicho odpowiedział dziadek Piotr. – Modlitwy – odezwała się ciotka Elza. – Sprawiedliwości – dorzucił wujek Marian. – Szacunku – oznajmił wujek Tosko. – I wołają, wręcz krzyczą: – Nie zapomnijcie! Bo jak zapomnicie, świat zapadnie w ciemność. I życie straci sens!". ©℗



★★★★★★

STANISŁAW SROKOWSKI „ŚWIĘCENIE NOŻY. NOWE OPOWIADANIA KRESOWE" FRONDA, WARSZAWA 2026

eprasa.pl 612cf85725



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Cena wolności

Kolory sztandarów" – najlepsza polska powieść fantastyczna roku 1996 wraca do sprzedaży po 30 latach. Dostał za nią Tomek Kołodziejczak nagrodę im. Janusza A. Zajdla w czasach, gdy to wyróżnienie naprawdę coś znaczyło, w czasach, gdy niemal co roku ubiegali się o nią Ziemkiewicz, Sapkowski, Dukaj. Potem napisał tom drugi, „Schwytany w światła" – teraz obydwie części wznawiane są w jednym tomie zatytułowanym „Dominium Solarne".

Dokonał w tych książkach Kołodziejczak sztuki, która udaje się tylko nielicznym – połączył rozmach space opery z gorzkim smakiem polskiej fantastyki socjologicznej, pisanej przez autorów szczególnie wyczulonych na zakusy rozmaitych inżynierów społecznych, samozwańczych budowniczych lepszej przyszłości i światów doskonałych. My, wychowani na skrwawionych ziemiach między Niemcami a Rosją, wiemy doskonale, czym to pachnie. I jest książka Tomka książką arcypolską, choć jej akcja rozgrywa się na odległej planecie Gladius, bo dylematy, przed jakimi stoją bohaterowie, są arcypolskie. Bić się czy nie bić? Czy grać z jednym wrogiem przeciw drugiemu śmiertelnemu wrogowi? Jaka jest cena wolności? Kto woli uległość ponad wolność? I tak dalej.

Mówił mi kiedyś Tomasz Kołodziejczak w wywiadzie: „Jest to książka o wojnie, o polityce, w jakimś sensie pewnie o naszych wojnach, i o naszej polityce, bo to mnie także interesuje. Są w niej różne plany. Z moich obserwacji wynika, że czytelnik w zależności od tego, czego bardziej pragnie, na to bardziej zwraca uwagę. Jeden na pomysł, inny na space operę, ktoś inny na technologię albo elementy socjologiczno-polityczne". (Jest ten wywiad w mojej nowej książce „Wróbel Galaktyki", premiera za dwa tygodnie). Jestem pewien, że i dzisiaj wszystkie te plany powieściowe będą czytelne, a niemożliwy wybór mieszkańców Gladiusa, postawionych między obcą inwazją a „opieką" bezdusznego imperium, będzie w pełni rozumiany i dyskutowany. Dwie zebrane w „Dominium Solarnym" powieści uważam za jedne z najważniejszych polskich książek fantastycznych lat 90. i naszej science fiction po 1989 r. w ogóle. Jaka szkoda, że tak duża część tej literatury po prostu od tamtych czasów mocno zgłupiała. ©℗



★★★★★★

TOMASZ KOŁODZIEJCZAK „DOMINIUM SOLARNE" FABRYKA SŁÓW 2026

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Za niepotrzebnie przefajnowanym tytułem kryje się pożyteczna książka o ikonografii sztuki średniowiecznej. Małpa, bóbr, białe lilie, pelikan, ognisty minerał: co oznaczały wpisane w obrazy? Lamus fascynujących ciekawostek.



ZOFIA ZAŁĘSKA „ME(M) DIEWISTYKA" ZNAK

Zapomniana klasyka: powieść Buczkowskiego, powstała przed napisaniem słynnego „Czarnego potoku". I jak w tym ostatnim, o bezlitosnym świecie, w którym bohaterowie rozpaczliwie walczą o zachowanie człowieczeństwa.



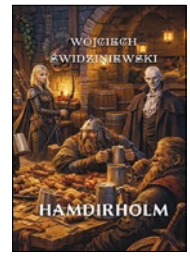
LEOPOLD BUCZKOWSKI „WERTEPY" PIW

Nim Cherezińska podbiła rynek „Koroną śniegu i krwi", wydała „Północną drogę" (akcja rozgrywa się na przełomie wieków X i XI). Powieści „Saga Sigrun" i „Ja jestem Halderd" ukazują się w pierwszym tomie prestiżowej reedycji.



ELŻBIETA CHEREZIŃSKA „PÓŁNOCNA DROGA", T. 1 ZYSK I S-KA

Opowiadania zebrane przedwcześnie zmarłego pisarza i fana fantastyki. Pisał satyryczną fantasy pełną rubasznych krasnoludów oraz opowieści wikińskie; nawet gdy nie był literacko doskonały, to zawsze zabawny i szczery. ***Piotr Gociek***



WOJCIECH ŚWIDZINIEWSKI „HAMDIRHOLM" STALKER BOOKS

KOMIKS TYGODNIA:
RZECZY ZAGUBIONE

Chwilami mocno absurdalna, ale przede wszystkim ciepła i wzruszająca opowieść o nowym początku. Samotny pracownik biura rzeczy zaginionych z niewielkiego miasteczka pochłonięty rozmaitymi fantastycznymi teoriami dostaje na praktykę młodego, niezbyt rozgarniętego chłopaka. Ich przyjaźń okaże się wyjściem z izolacji, zamknięciem żałoby po żonie, a potem drogą po poznania nowej damy serca. ***Piotr Gociek***



MATTHEW DOOLEY „MĄTWA ARYSTOTELESA" TIMOF I CISI WSPÓLNICY 2026

eprasa.pl 612cf85725

debata DO RZECZY
RESET Z ROSJĄ?



Maciej Pieczyński



FOT. JAN

Niebezpieczne mrzonki

Dla Moskwy Polska jest w pewnym sensie wrogiem gorszym nawet niż Ukraina. Szukając porozumienia z Rosją, nie tylko nie wzmocnilibyśmy naszej suwerenności, lecz także moglibyśmy ją stracić. Kreml zresztą nie potrzebuje dialogu z nami. Woli rozmawiać z silniejszymi. O losie takich, jak my

Marcin Skalski stwierdził na łamach „Do Rzeczy" (nr 19/2026), że w interesie Polski leży reset z Rosją. Wywołał tym samym redakcyjną debatę. Po stronie ugody z Moskwą opowiedział się Adam Wielomski, przeciwko – Rafał A. Ziemkiewicz oraz Piotr Semka. Mój głos w dyskusji również będzie polemiczny. Odwołam się jednak nie tylko do samej polityki, lecz także do historii i kultury rosyjskiej, których znajomość jest kluczowa, jeśli chcemy zrozumieć, o co chodzi Władimirowi Putinowi.

Inicjator debaty daje do zrozumienia, że warunkiem suwerenności Warszawy jest emancypacja spod wpływu zachodnich sojuszników i poszukanie porozumienia z Moskwą, która tak naprawdę nie jest wrogo do Polski nastawiona. Powinniśmy zatem, przekonuje autor, prowadzić politykę wielowektorową, korzystając z szans, jakie stawia przed nami nowy, wielobiegunowy porządek świata.

SKĄD MYŚLENIE O ŚWIECIE WIELOBIEGUNOWYM

Hegemonia USA słabnie, świat wielobiegunowy powoli staje się więc faktem. To dobrze dla Rosji. Czy dla Polski? Niekoniecznie. Już w 2007 r. Władimir Putin skrytykował jednobiegunowy porządek, postulując zastąpienie światowej dominacji Waszyngtonu bardziej sprawiedliwym układem, w którym najważniejsze decyzje dla świata podejmowane są w szerszym gronie. Brzmi pluralistycznie. Warto jednak przyjrzeć się głębokim korzeniom rosyjskiego myślenia o świecie wielobiegunowym.

Dziewiętnastowieczny filozof rosyjski Nikołaj Danilewski w swojej rozprawie „Rosja i Europa" wyłożył koncepcję pluralizmu cywilizacyjnego. Wyliczył kilkanaście typów kulturowo-historycznych. Typ germańsko-romański był tylko jednym z nich. Tym samym Danilewski zakwestionował tezę, jakoby Zachód był jedynym słusznym źródłem cywilizacji. Zgodnie z wizją panslawisty misją Rosji było zjednoczenie narodów należących do typu słowiańskiego. To właśnie tę cywilizację uznał ostatecznie za najdoskonalszą, zarazem predestynowaną do jednoczenia pozostałych pod sztandarem walki z dominacją Zachodu. Danilewski od idei pluralizmu cywilizacji przeszedł do koncepcji wyjątkowości jednej z nich. Hegemonię germańsko-romańską (czytaj: zachodnią) zastąpiła hegemonia słowiańska (rosyjska). Sam zresztą pluralizm był jedynie pozorny. Cywilizacji nie tworzyły wolne narody, prowadzące suwerenną politykę wielowektorową, tylko silne państwo, dominujące nad regionem. Analogiczny jest model wielobiegunowy, postulowany przez Putina. Biegunem, obdarzonym łaską suwerenności, ma być nie małe państwo narodowe, tylko regionalne mocarstwo. Suwerenność jest tutaj rozumiana jako prawo takiego mocarstwa do układania po swojemu własnej strefy wpływów. Moskwa nie jest zainteresowana dialogiem z maluczkimi, tylko robieniem interesów z innymi „biegunami". Oczywiście Putin nie powołuje się wprost na Danilewskiego. Nie musi zresztą. Dziś Rosja już nie inwestuje w słowiańską, tylko w eurazjatycką tożsamość. Ideologie się zmieniają, ale schemat pozostaje ten sam – Moskwa kreuje się na stolicę odrębnej cywilizacji (jakiej – mniejsza o to, byle nie zachodniej), która jednoczy wokół siebie innych do walki z ekspansją złego Zachodu.

Marcin Skalski przekonuje, że Rosja bije się o swój status regionalnego mocarstwa, a więc faktycznie o życie. W pewnym sensie jest to prawda. Rosja nie od dziś uważa, że albo będzie mocarstwem, albo nie będzie jej wcale. Wybitny pisarz epoki sentymentalizmu Nikołaj Karamzin ostrzegał cara Aleksandra I przed nadawaniem Polakom zbyt daleko idącej autonomii, bo zaraz wszystkim ciemiężonym narodom zachce się wolności, a w efekcie z Rosji prawie nic nie zostanie. Romantyczny wieszcz Aleksander Puszkin (mylnie uważany za prozachodniego liberała), pochwalając tłumienie powstania listopadowego, stawiał alternatywę: albo „się słowiańskie rzeki w rosyjskie wleją morze", albo „ono wyschnie". Dzisiejszy strach Putina przed prozachodnim kursem Ukrainy (niepodległego,

eprasa.pl 612cf85725

sąsiedniego państwa) jest kontynuacją tego myślenia. To jednak nie znaczy, że mamy Rosji współczuć i kibicować w jej walce o utrzymanie statusu. Raczej powinniśmy dzięki temu zrozumieć, że nie mamy o czym z Moskwą rozmawiać. Nie jesteśmy bowiem dla niej „biegunem", „osobną cywilizacją".

Skalski ma rację, gdy daje do zrozumienia, że Rosjanie inaczej traktują Polskę niż Ukrainę, że zdają sobie sprawę z naszej odrębności cywilizacyjnej od „ruskiego miru". Wyciąga stąd jednak błędny wniosek, jakoby nasza odmienność była polisą ubezpieczeniową przed agresją Moskwy. Jest dokładnie odwrotnie. Całe stulecia konfrontacji polsko-rosyjskiej były podyktowane różnicami, a nie podobieństwami cywilizacyjnymi. Dla Rosji byliśmy, jesteśmy i zapewne będziemy forpocztą rusofobicznego Zachodu. Zachodu, który od wieków próbuje Rosję podbić, zakładając różne maski ideologii: od katolicyzmu, przez nazizm, po liberalizm. Tak, dobrze państwo przeczytali: z punktu widzenia Moskwy polski ksiądz, niemiecki esesman, żołnierz NATO i organizator parady gejowskiej to podobnego rodzaju zagrożenie.

Wróćmy do XIX w. W kręgach słowianofilskich czy panslawistycznych byliśmy postrzegani jako „Judasze Słowiańszczyzny". Świadomość naszej katolickiej odrębności była powszechna, jednak mimo to równie powszechne było przekonanie, że Polski nie można wypuścić z rąk. Nikołaj Strachow w artykule „Fatalna sprawa" przyznał, że Polacy, jako Europejczycy, czują uzasadnioną wyższość cywilizacyjną nad barbarzyńskim zaborcą, w związku z czym to zrozumiałe, że chcą się wyzwolić. Nie proponował jednak, by im na to pozwolić. Natomiast postulował, by Rosjanie rywalizowali z Polakami na polu słowiańskości, a nie europejskości. Wbrew intencjom autora artykuł uznany został za nadmiernie propolski, w związku z czym władze carskie zamknęły czasopismo „Wriemia" braci Michaiła i Fiodora Dostojewskich, na łamach którego tekst się ukazał. Autor „Zbrodni i kary", jako w pewnym sensie „ojciec założyciel" rosyjskiego konserwatyzmu, jest jaskrawym przykładem wrogości Rosji nie tyle wobec „rusofobicznej Polski", ile wobec polskiej tożsamości jako takiej. Fiodor Dostojewski, przebywając na katordze, znienawidził Polaków za buntowniczy charakter i brak pokory wobec losu, która to pokora jest immanentną częścią rosyjskiego tradycjonalizmu i generalnie mentalności. Zamiast walczyć o niepodległość, powinniśmy zgiąć kark przed carem i upajać się swoim cierpieniem. Tak jak to zrobił sam Dostojewski, który na Syberię trafił za działalność w organizacji socjalistycznej, wrócił zaś jako apologeta systemu carskiego. Owszem, z konserwatywnego punktu widzenia położył ogromne zasługi jako demaskator i krytyk rewolucji. Błędem byłoby jednak sądzić, że odrzucał socjalizm, chwalił zaś Polaków katolików. Dostojewski jednakowo krytykował katolicyzm, protestantyzm, socjalizm i liberalizm (kapitalizm). Wszystkie te zachodnie ideologie uważał za antychrześcijańskie, ponieważ skupiały się na racjonalizmie i materializmie, zamiast na wartościach duchowych. Katolicyzm jego zdaniem uległ pokusie władzy, ustanawiając państwowość kościelną z papieżem na czele. To zaś był pierwszy krok do… ateizmu. Koncentracja na doczesnej władzy wynikała z tego, że katolicy wyżej cenią rozum niż wiarę. A może nawet tak naprawdę, skażeni zachodnim racjonalizmem i materializmem, w ogóle nie wierzą w Królestwo Boże. Dostojewski stworzył wiele postaci ideologów występujących przeciwko Bogu. Ale to książę Myszkin z „Idioty", nazywany przez samego autora „księciem Chrystusem", określił katolicyzm mianem „nauki Antychrysta". Dostojewski był prawosławnym fundamentalistą, wrogiem rewolucji, ale też wrogiem wyznania, bez którego trudno sobie wyobrazić polską tożsamość narodową.

CIĄGŁOŚĆ ZAGROŻENIA

Od tamtych czasów wiele się zmieniło, ale sens stosunku do Polski jako części wrogiego Zachodu nie uległ poważniejszym przemianom. Pokojowe współistnienie, jak zawsze, możliwe jest jedynie w wypadku, gdy stajemy się częścią rosyjskiej strefy wpływów albo wręcz częścią państwa rosyjskiego. Gdy tylko wybieramy drogę odrębną, traktowani jesteśmy jako wróg. I to niezależnie od tego, czy mamy do czynienia z Rosją białą, czerwoną, różową czy jakąkolwiek inną. Polityka Moskwy (wcześniej Petersburga) wobec Polski jest konsekwentna. Ciągłość zagrożenia ze strony Rosji współczesnej oraz Związku Sowieckiego jest oczywistością. Bolszewicy, choć inspirowani zachodnimi ideami, byli zjawiskiem bardzo rosyjskim. Szybko weszli w buty Imperium Rosyjskiego, najpierw (za Włodzimierza Lenina) kontynuując jego podboje, następnie (za Józefa Stalina) rekonstruując tradycje caratu. Putin, nazywając rozpad ZSRS „największą katastrofą geopolityczną XX w.", dokładnie określił charakter tej kontynuacji. Rosja pod jego rządami chce odtworzyć zdobycze terytorialne czerwonego imperium. To prawda, że Ukraina swoje granice zawdzięcza w dużej mierze Sowietom. To jednak nie daje Moskwie prawa do podboju tego państwa. Zgoda na zmienianie granic przy użyciu siły militarnej nie leży w interesie Polski, która ma najlepsze możliwe granice.

O tym, jak bardzo nam nie po drodze z Rosją, dobitnie świadczą różnice w postrzeganiu historii. Ktoś powie: „A co nas obchodzi przeszłość?! Prowadźmy politykę realną!". Problem w tym, że sam Putin mocno w swej polityce odwołuje się do historii (vide: słynny wywiad udzielony Tuckerowi Carlsonowi, w którym odpowiedź na pytanie o aktualną wojnę zaczął od wykładu na temat średniowiecza), po drugie zaś zwolennicy resetu z Moskwą tego samego argumentu raczej nie stosują wobec Ukrainy. Skoro mamy – w pełni uzasadnione – pretensje do Kijowa o kult OUN-UPA, to nie powinniśmy zapominać o antypolskiej polityce historycznej Rosjan. „Moskwa rozliczyła się z Katynia, a Kijów z Wołynia nie!" – nasuwa się kontrargument. To częściowo prawda. Rosjanie uznali swoją winę i zbudowali cmentarz. Jednak w zasadzie od razu zaczęli robić to, co dziś robią Ukraińcy. Czyli budować fałszywą symetrię win ze wskazaniem na większą winę Polaków. Dla zrównoważenia, a najlepiej przelicytowania Katynia, Moskwa wykreowała opowieść o eksterminacji tysięcy sowieckich jeńców w polskich obozach po wojnie 1920 r. Ten anty-Katyń powstał już za liberalnych, prozachodnich rządów Michaiła Gorbaczowa i Borysa Jelcyna, Putin zaś jedynie twórczo tę koncepcję rozwinął. Dominująca narracja rosyjskich historyków, publicystów czy polityków brzmi obecnie mniej więcej tak: „Najpierw Polacy wymordowali Rosjan, a potem Stalin w sprawiedliwej zemście rozstrzelał polskich oficerów". W najnowszym podręczniku szkolnym do historii (2023) pod redakcją Anatolija Torkunowa i Wła-

eprasa.pl 612cf85725

dimira Miedinskiego na temat Katynia pojawia się jedynie lakoniczna wzmianka, w myśl której „dokumenty, opublikowane na początku lat 90. wskazują na to, że część z (polskich oficerów, wziętych do niewoli) została rozstrzelana przed organy NKWD". Nie „zostali rozstrzelani", tylko „dokumenty wskazują na to, że…". Celowo zasiana zostaje niepewność, czy aby na pewno tak było. W końcu Rosjanie, wychowani na niechęci do „lichych lat 90.", niekoniecznie wierzą we wszystko, co było wtedy publikowane w dokumentach…

Zgodnie z rosyjską wizją historii Związek Sowiecki nie napadł na Polskę w 1939 r., tylko wyzwolił Białorusinów i Ukraińców, a druga wojna światowa wybuchła z winy Zachodu. W tym Polski. Pakt o nieagresji, podpisany z Niemcami w 1934 r., w podręcznikach określany jest jako „pakt Piłsudski-Hitler". Putin publicznie przekonuje, że Polska powinna oddać Hitlerowi „niemieckie miasto Danzig". Wysiłek zbrojny Polaków jest kwestionowany, bo z punktu widzenia Moskwy byliśmy ofiarami agresji (na własne życzenie), ale też agresorami, hitlerowskimi kolaborantami. A dziś, burząc pomniki wyzwolicielskiej Armii Czerwonej, tylko swoją nazistowską naturę potwierdzamy, dodatkowo okazując niewdzięczność. Twierdzenie, że wszystkiemu winna jest nasza rusofobia, to mylenie przyczyny ze skutkiem. Anty-Katyń nie był reakcją na krytykę Rosji, tylko na niewygodną prawdę o Katyniu. Oczywiście mogliśmy powstrzymać się np. od dekomunizacji w imię dobrych relacji z Moskwą. Ale przecież skoro nie lubimy, jak Zachód nam dyktuje politykę wewnętrzną, to wobec Rosji również powinniśmy być asertywni.

ULTIMATUM PUTINA, CZYLI POLSKA POZA NATO

Narracja antypolska nie ogranicza się jedynie do polityki historycznej. Ponownie odniosę się do skądinąd słusznej konstatacji o tym, że Rosja traktuje Polskę inaczej niż Ukrainę. Problem w tym, że – paradoksalnie – Moskwa uważa nas za wroga nawet gorszego niż Kijów. Przynajmniej taki jest przekaz kremlowskiej propagandy. Podczas gdy w Polsce Rosja stara się podsycać nastroje antyukraińskie, na Ukrainie robi to samo z nastrojami antypolskimi. Nas straszy banderowskim nacjonalizmem (o którym wiemy i bez podpowiedzi Kremla), Ukraińców zaś polskim imperializmem. Każdego rodzaju aktywność Warszawy w relacjach z Kijowem komentowana jest jako próba odzyskania Lwowa. Rosjanie postrzegają Polskę jako głośne, ale słabe państewko, które cierpi na fantomowe bóle po utracie dawnego statusu imperialnego. Ukraińców traktują jako Rosjan, którzy zapomnieli, kim są, więc trzeba im przypomnieć. Dlatego próbowali Kijów zagarnąć pokojowo (przez prorosyjskie piąte kolumny w biznesie, mediach, polityce), a gdy nie wyszło – rozpoczęli inwazję. A czego chcą od nas?

W XIX w., pomimo świadomości naszej odrębności, chcieli nas trzymać pod butem, bo mieli takie możliwości. Dziś ich nie mają. Polska jest na szczęście w NATO, czyli w bloku, którego rozszerzenia Rosja się boi, ale którego też jak do tej pory nie odważyła się frontalnie zaatakować. Ale w ultimatum z grudnia 2021 r. Putin jasno określił swój cel, jakim jest faktyczne wycofanie sił NATO m.in. z Polski. Gdyby ten cel zrealizował, nasz region stałby się neutralny. Czyli: podatny na imperialne zapędy Moskwy. Rosja nie ma wobec nas roszczeń terytorialnych. Ma jednak roszczenia polityczne. Jeśli wyjdziemy z bieguna zachodniego, to przecież nie stworzymy własnego. Ergo: Rosja zrobi, co w jej mocy, by nas przyciągnąć do własnej „cywilizacji" (dziś bardziej neoeurazjatyckiej niż słowiańskiej) albo nas tak osłabić, byśmy byli gotowi na każde jej zawołanie. Nie będzie się wahać, bo pozbawieni parasola sojuszniczego nie damy rady się oprzeć. Moskwa to nie Bruksela, więc za prowadzenie suwerennej polityki nie ukaże nas sankcjami, tylko „specjalną operacją wojskową". Zawsze przecież może w przyszłości stanąć w obronie uciskanej przez Polaków diaspory ukraińskiej i tłumaczyć agresję wyzwoleniem.

Powtórzmy: Rosja nie jest zainteresowana bezpośrednią aneksją Polski, bo jesteśmy dla Moskwy ciałem obcym. Ale, jako część Zachodu (mentalna, nie tylko organizacyjna), jesteśmy też ciałem obcym i wrogim. To nieprawda, że Kreml „nie stanowi dla Rzeczypospolitej egzystencjalnego zagrożenia". Rosja nie chce Polski podbić, ale chętnie ją zniszczy, jeśli Polska nie będzie wykonywać poleceń Kremla i nie będzie mogła liczyć na pomoc „kolektywnego Zachodu".

Reset z Rosją nie jest nam potrzebny, bo mógłby się odbyć jedynie na zasadzie całkowitej uległości wobec Moskwy, gdyż innego rodzaju relacji z małymi państwami Kreml nie uznaje. A to chyba niezbyt dobra droga „wybicia się na suwerenność". Raczej droga do jej całkowitej utraty. Poza tym sama Rosja nie potrzebuje resetu z nami, tylko ewentualnie z całym blokiem zachodnim bądź z USA. Chyba że zrobilibyśmy to, do czego Rosja nas niejednokrotnie namawiała, a czym teraz straszy Ukrainę. Czyli gdybyśmy „odzyskali Lwów" i wzięli udział w rozbiorze południowo-wschodniego sąsiada. To byłby idealny scenariusz dla Moskwy, bo skutkowałby albo upadkiem Ukrainy, albo przeciągnięciem jej na stronę Rosji w wojnie z Zachodem, ale też międzynarodową kompromitacją i izolacją Polski na arenie międzynarodowej, wreszcie: destabilizacją NATO. Nie zapominajmy, że „specjalna operacja wojskowa" była wymierzona tak naprawdę nie tyle przeciwko Kijowowi, ile przeciwko Zachodowi. Czyli przeciwko Polsce również.

Nie można też się łudzić, że jesteśmy w stanie prowadzić z Moskwą transakcyjną politykę, opartą na interesach, a nie resentymentach czy ideologii. Po pierwsze, nie mamy Rosji nic do zaoferowania, co by ją skłoniło do robienia z nami interesów. Po drugie, Putin odrzucił nawet intratną ofertę Donalda Trumpa, który proponował ogromne korzyści finansowe w zamian za zakończenie wojny. Celem gospodarza Kremla nie jest zarabianie pieniędzy dla siebie (bo ma ich wystarczająco dużo i tak) ani dla swoich obywateli (biednymi łatwiej mu się rządzi), tylko przejście do historii w roli odtwórcy imperialnej potęgi Rosji. Polska nie jest mu do tego potrzebna. Chyba że jako czynnik destabilizujący jedność Zachodu. Albo jako kolejna ofiara.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

Głos w dyskusji zabierali:

Marcin Skalski, „Reset z Rosją. Czy Polska stoi przed szansą?", „DRz" nr 19/2026
Rafał A. Ziemkiewicz, „Reset z Rosją? Po co?", „DRz" nr 21/2026
Piotr Semka, „Polskie bezpieczeństwo, czyli stare klisze wcale nie są stare", „DRz" nr 22/2026
Adam Wielomski, „Wybić się na samodzielność", „DRz" nr 23/2026

eprasa.pl 612cf85725

Bioetyka przymusu



Ziemowit Miłosz Malecha

Wyobraź sobie świat, w którym naukowcy lub ekoradykałowie wypuszczają chmury genetycznie zmodyfikowanych pajęczaków. Ich jedynym zadaniem jest ukąszenie jak największej liczby ludzi i wywołanie u nich permanentnej, potencjalnie groźnej dla życia alergii na czerwone mięso. Scenariusz z dystopijnego filmu science fiction? Niestety nie. To dosłowna treść oficjalnego artykułu naukowego opublikowanego w renomowanym czasopiśmie „Bioethics" pod wymownym tytułem „Beneficial Bloodsucking" („Pożyteczne krwiopijstwo"). Dwaj amerykańscy badacze, Parker Crutchfield i Blake Hereth z Western Michigan University, w pełni poważnie argumentują, że ludzkość ma moralny obowiązek... celowego rozprzestrzeniania syndromu chorobowego. Przyjrzyjmy się bliżej temu radykalnemu postulatowi etycznemu i przeanalizujmy jego logiczne fundamenty.

U podstaw wywodu Crutchfielda i Heretha leży arbitralne, dogmatyczne założenie: jedzenie mięsa (a w szczególności mięsa czerwonego) jest moralnie niedopuszczalne i stanowi zło. Autorzy nie zamierzają z tym dogmatem dyskutować – po prostu przyjmują go jako aksjomat swojego dalszego rozumowania. Skoro jednak ludzie, mimo apeli wegańskich aktywistów, nadal uparcie jedzą steki i burgery, to naukowcy postanowili sięgnąć po przymusową broń biologiczną.

Wskazują oni na kleszcza Amblyomma americanum (tzw. lone star tick), którego ukąszenie wywołuje u ludzi zespół alfa-gal (AGS). Jest to schorzenie polegające na gwałtownej reakcji układu odpornościowego na mięso ssaków. Efekt? Od dwóch do sześciu godzin po zjedzeniu czerwonego mięsa człowiek zaczyna cierpieć na silną pokrzywkę, wymioty, biegunkę, a w skrajnych przypadkach dochodzi u niego do wstrząsu anafilaktycznego.

Aby uzasadnić przymusowe infekowanie ludzkości tym syndromem, badacze formułują tzw. Argument Zbieżności (Convergence Argument), próbując połączyć trzy główne nurty etyczne: utylitaryzm, deontologię oraz etykę cnoty. Ich dowodzenie dzieli się na trzy filary:

1. Utylitaryzm (konsekwencjalizm): Skoro jedzenie mięsa rzekomo pogarsza świat, to powstrzymanie tego procederu go ulepsza. AGS działa tu jak biologiczny strażnik – świadomość, że po zjedzeniu kotleta będziesz cierpieć, zmusi cię do zaprzestania jego spożywania. Badacze posuwają się do kontrowersyjnego porównania: twierdzą, że gdyby ktoś miał „alergię na znęcanie się nad dziećmi" i po złamaniu dziecku ręki dostawał pokrzywki, nie uznalibyśmy tej pokrzywki za stratę moralną. Dokładnie tak samo, ich zdaniem, należy traktować alergiczną reakcję na jedzenie mięsa.

2. Deontologia (prawa człowieka): Czy celowe zarażanie ludzi bez ich zgody łamie ich podstawowe prawa? Autorzy twierdzą, że nie. Uważają, że to jedynie dopuszczalne „naruszenie", a nie „pogwałcenie" praw do integralności cielesnej. Co więcej, porównują swój pomysł do obowiązkowych szczepień ochronnych. Żeby dobić czytelnika, serwują analogię: gdybyśmy mogli wstrzyknąć kanibalom substancję wywołującą alergię na ludzkie mięso, bylibyśmy do tego zobowiązani. Zwykłych konsumentów mięsa traktują analogicznie.

3. Etyka cnoty: Człowiek w pełni cnotliwy nie pragnie czynić zła (czyli jeść mięsa). Ponieważ eliminacja żądzy jedzenia mięsa jest dla ludzi zbyt trudna, potrzebują oni zewnętrznego „moralnego bioulepszenia". Kleszcz staje się więc wegańskim modyfikatorem charakteru, który strachem przed nieprzyjemnymi doznaniami tresuje ludzkość do „cnoty".

Badacze wskazują, że istnieje już technologia, która pozwala modyfikować genetycznie kleszcze, usuwając z nich inne groźne choroby (np. boreliozę), ale wzmacniając zdolność do roznoszenia AGS i ułatwiając im przetrwanie w środowisku. Skoro to technologicznie wykonalne, to promowanie i masowe namnażanie takich insektów jest naszym absolutnym, moralnym obowiązkiem.

Biopaternalizm i etyczne granice biologicznego przymusu

Wizja autorów, choć sformułowana w języku akademickim, de facto promuje model etyki oparty na przymusie medycznym, co kwestionuje fundamentalne prawo jednostki do samostanowienia.

Porównanie celowego zarażania ludzi chorobą przewlekłą do szczepień ochronnych jest co najmniej kontrowersyjne. Szczepienia, co do zasady, mają na celu ochronę jednostki i populacji przed śmiertelnymi patogenami. Projekt Crutchfielda i Heretha zakłada coś odwrotnego: celowe wywołanie dysfunkcji zdrowotnej (alergii), aby za pomocą fizycznego cierpienia i strachu wymusić zmianę zachowań ideologicznych.

Wolna wola? Autonomia jednostki? Świadoma zgoda pacjenta? Te fundamentalne pojęcia, na których ufundowano zachodnią cywilizację i etykę medyczną, zostają lekką ręką odrzucone. Dlaczego? Ponieważ – jak protekcjonalnie twierdzą autorzy – „większość ludzi ma trudności z byciem w pełni cnotliwymi". Ominięcie ludzkiej woli i narzucenie cierpienia jako metody wychowawczej bez zgody samych zainteresowanych to ostateczny dowód na totalitarne zapędy tego nurtu myślenia.

Artykuł „Beneficial Bloodsucking" to potężny dzwonek alarmowy. Pokazuje on, jak daleko potrafi posunąć się akademicki radykalizm, gdy odetnie się go od realiów ludzkiej biologii i elementarnego szacunku dla ludzkich praw. Weganizm, który w swoim pierwotnym założeniu miał być oparty na empatii wobec stworzenia, w interpretacji autorów zostaje zinstrumentalizowany i staje się narzędziem biologicznego przymusu, naruszającym nietykalność cielesną w imię ideologicznej transformacji społeczeństwa. ©℗

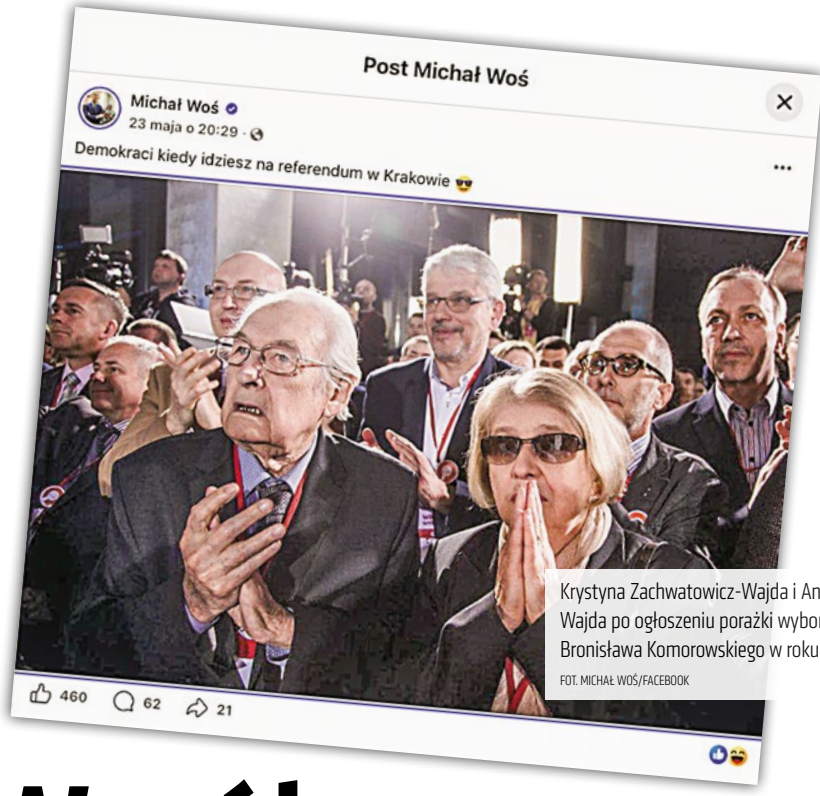
Autor jest profesorem Politechniki Wrocławskiej na Wydziale Mechaniczno-Energetycznym.

eprasa.pl 612cf85725



Filip Memches

Kulturowa mieszczańskość Krakowa stanowi podatny grunt do postaw filisterskich. Niegdyś korespondowały one ze światopoglądowym konserwatyzmem, dziś się łączą z ideą postępu



Krystyna Zachwatowicz-Wajda i Andrzej Wajda po ogłoszeniu porażki wyborczej Bronisława Komorowskiego w roku 2015

FOT. MICHAŁ WOŚ/FACEBOOK

Współczesna dulszczyzna

Referendum w sprawie odwołania z urzędu prezydenta Krakowa Aleksandra Miszalskiego wywołało emocje ogólnopolskie. Nic dziwnego. Chodziło bądź co bądź o to, żeby usunąć ze stanowiska polityka Koalicji Obywatelskiej – głównej partii koalicji rządowej.

Zwolennicy Miszalskiego nawoływali do bojkotu referendum. Robili to nie tylko politycy, lecz także związani z Krakowem ludzie kultury. Głos zabrała m.in. prof. Krystyna Zachwatowicz-Wajda, historyk sztuki, scenograf, aktorka, wdowa po Andrzeju Wajdzie. Żeby dotrzeć z przekazem do młodych Krakowian, nie zawahała się ona użyć kolokwializmu: „[…] nie idźcie na to referendum. Mówiąc językiem młodzieżowym: olejcie to". Tym samym 96-letnia kustoszka pamięci o wielkim reżyserze uruchomiła skojarzenia z jednym wydarzeniem. Chodzi o porażkę Bronisława Komorowskiego w drugiej turze wyborów prezydenckich w roku 2015.

Media społecznościowe obiegło pamiętne zdjęcie państwa Wajdów z wieczoru wyborczego organizowanego przez sztab ubiegającego się wtedy o reelekcję ówczesnego prezydenta. Przedstawia ono ich w sytuacji, w której wiadomość o tym, że Komorowski przegrał, przyjmują z konsternacją. Udostępnianie tego zdjęcia na X przez zwolenników odwołania Miszalskiego – i to jeszcze przed referendalną niedzielą (tak jakby trafnie przewidywali, co się stanie) – wywołało oburzenie Dominiki Wielowieyskiej. Publicystka „Gazety Wyborczej" zarzuciła im, że naśmiewając się ze słynnego małżeństwa, dają upust swojej ukrytej frustracji i leczą w ten sposób swoje kompleksy.

KLĘSKA DETERMINIZMU DZIEJOWEGO

Rzecz w tym, że zdjęcie, o którym mowa, jest ważne pod względem historycznym, gdyż ilustruje coś bardzo istotnego: porażka Komorowskiego i reakcje na nią stanowią symbol klęski kolejnego – po komunistycznym – determinizmu dziejowego. O co dokładnie chodzi? W III Rzeczypospolitej idea postępu uległa mutacji. Niegdyś zakładała ona, że ludzkość – w tym Polacy – zmierza do świetlanej komunistycznej przyszłości. Bankructwo realnego socjalizmu rozwiało tę nadzieję. Ale lansowane przez rozmaitej maści mędrców przeświadczenie o tym, że dzięki przyrostowi wiedzy gromadzonej przez ludzi rozumnych świat może iść wyłącznie ku lepszemu, nie wyparowało. Tyle że przybrało ono skromniejsze rozmiary. Tym razem chodziło o ustanowienie porządku opierającego się na dwóch filarach: globalnym kapitalizmie i kulturowej emancypacji jednostki, w polskich warunkach względem choćby Kościoła katolickiego. Idea postępu w nowej wersji zakładała, że ludzkość zmierza do świetlanej przyszłości, tyle że liberalno-demokratycznej, w której elity polityki, kultury, nauki, mediów, popierane przez wielki biznes będą sprawować rząd dusz nad warstwami ludowymi. Należało tylko zadać ostateczny cios rzucającym kłody pod nogi wrogom, czyli prawicowym „oszołomom". Ci bowiem próbowali przekonać lud, że ten jest przez górę społeczeństwa wyzyskiwany i deprawowany. Tym samym podburzali go przeciw elitom.

Jeśli chodzi o Kraków, to warto zwrócić uwagę na cechującą go kulturową

eprasa.pl 612cf85725

mieszczańskość. Stanowi ona podatny grunt do postaw filisterskich, które zresztą mają pod Wawelem swoją długą historię i z których kpili już pisarze epoki Młodej Polski. Tyle że o ile na przełomie wieków XIX i XX korespondowały one ze światopoglądowym konserwatyzmem, o tyle 100 lat później łączyły się już z ideą postępu. Ta bowiem wkomponowuje się w dyskurs, który stał się w drugiej połowie XX stulecia obowiązujący na salonach „Krakówka". A filister to ktoś, kto zawsze idzie z prądem.

Idea postępu jest rodzajem inteligenckiego przesądu. Schlebiające mu elity III RP czerpią z niego poczucie intelektualnej i moralnej wyższości nad głosującym na prawicę „ciemnogrodem". Swoje racje wygłaszają często nieznośnie mentorskim tonem, choć gdy uznają, że trzeba inaczej, to uciekają się do „luzackich" odzywek (vide: „olejcie to" Krystyny Zachwatowicz-Wajdy). W tym towarzystwie nie do pomyślenia jest, że można mieć w jakiejś kwestii inne zdanie niż to, które mają osoby uchodzące w nim za autorytety (a do nich należy Krystyna Zachwatowicz-Wajda). Ktoś, kto w tym gronie przyzna się do głosowania na prawicę, wywołuje w swoim otoczeniu szok lub oburzenie. W gruncie rzeczy tak się przejawia współczesna dulszczyzna.

Jednocześnie należy zauważyć, że w Krakowie podziały dotyczące polityki samorządowej nie zawsze pokrywają się z dychotomią „prawica – lewica" czy „konserwatyzm – postępowość". W drugiej turze wyborów na prezydenta miasta w roku 2024 naprzeciw Aleksandra Miszalskiego – kandydata ugrupowań koalicji rządowej postrzeganego jako polityk sprzyjający wielkiemu biznesowi (w tym branży deweloperskiej) – stanął Łukasz Gibała – wywodzący się z Platformy Obywatelskiej (a więc formacji jego konkurenta funkcjonującej przez wiele lat pod tym właśnie szyldem) liberalny aktywista popierany przez forsujące zieloną agendę tzw. ruchy miejskie. Wtedy ujawniło się klasowe czy też środowiskowe podłoże tej rywalizacji.

Tak w toczących się wtedy dyskusjach interpretowano stanowisko posłanki Prawa i Sprawiedliwości, adwokat Małgorzaty Wassermann. Ta kojarzona z krakowskim mieszczaństwem prawniczka, a zarazem osoba ciesząca się poważaniem wśród podwawelskich wyborców PiS zachowała się wbrew rekomendacjom tej partii. Nawoływała do głosowania przeciw Gibale (argumentowała, że należał on w przeszłości do partii Janusza Palikota, polityka szargającego pamięć o ofiarach katastrofy smoleńskiej). Było to odbierane jako wyraz cichego poparcia dla Miszalskiego, choć w kategorii wyboru mniejszego zła. Natomiast nie brakowało i takich opinii, że za tym stanowiskiem kryła się właśnie motywacja klasowa, czyli środowiskowe umocowanie w krakowskim mieszczaństwie (wskazywano dobre relacje Wassermann z kończącym wówczas swoje urzędowanie prezydentem Krakowa i zarazem istną kulturową emanacją „Krakówka", prawnikiem i historykiem, prof. Jackiem Majchrowskim, którego Miszalski, kiedy był radnym, wspierał).

KIEDY „DEMOKRACJA PRZEGRYWA"

Poruszając jeszcze kwestię determinizmu dziejowego, wypada się cofnąć do roku 2015, czyli czasu, w którym zrobiono ikoniczne zdjęcie państwu Wajdom. Liberalno-demokratyczne zaklęcia już wtedy nie działały. Skutki globalnego kryzysu finansowego i fala masowej migracji z krajów Globalnego Południa do Europy przeorały zbiorową świadomość społeczeństw Zachodu. A Polski to nie ominęło. Neoliberalny model gospodarczy, w którym korporacja jest ważniejsza od rodziny i narodu, przestał być traktowany jako rozwiązanie bezalternatywne. Wyszydzany wcześniej przez osoby opiniotwórcze patriotyzm i generalnie wartości wspólnotowe wróciły do łask. Wreszcie zmienił się system komunikacji społecznej. Tradycyjne media, które były narzędziem panowania elit, stanęły wobec rosnącej w siłę konkurencji – mediów społecznościowych. To one stały się środkiem skutecznej kontestacji dotychczasowego układu.

Minęło osiem lat i liberalno-demokratyczny determinizm dziejowy dał o sobie znać w Polsce znowu. W roku 2023 prawica w rezultacie wyborów parlamentarnych – poniekąd na własne życzenie – straciła większość w Sejmie. Gabinet utworzyły siły polityczne, które były u władzy do 2015 r. I zaczęto serwować narrację, że „populiści", czyli prawica, już nigdy w Polsce nie będą rządzić. Za słowami zaś poszły czyny, czyli działania nadzwyczajne, o których premier Donald Tusk powiedział: „To będzie zgodnie z prawem, tak jak my je rozumiemy". Ale i tym razem plan rozprawy z prawicą spalił na panewce. W roku 2025 wybory prezydenckie wygrał Karol Nawrocki, czyli jej kandydat, i co najmniej od tamtej pory sondaże preferencji wyborczych są dla obecnej koalicji rządowej niekorzystne. Wynik referendum w Krakowie dopełnił ten obraz.

W tej sytuacji do myślenia daje wpis, który na Facebooku zamieściła prof. Magdalena Środa. Dwa dni po referendum filozof konstatując, że odwołanie Miszalskiego źle wróży przyszłym wyborom, wypaliła: „Demokracja przegrywa", bo brak „odpowiednich narzędzi" lub stale się „przestrzega pewnych standardów moralnych, poza tym jej hamulcowym jest prawo". Tym samym Środa być może wyartykułowała coś, o czym liberalno-demokratyczny establishment III RP myśli, ale się boi to publicznie przyznać. Jej komunikat brzmi: gdy lud głosuje inaczej, niż oczekują tego od niego elity, wówczas demokracja się nie sprawdza, a wszystko to z powodu zbyt skrupulatnego przestrzegania prawa, które wiąże władzy Tuska ręce i z tej przyczyny uniemożliwia trwałe wyeliminowanie prawicy z gry politycznej.

Elitom III RP zdarza się mentorski ton zastępować „luzackimi" odzywkami (vide: „olejcie to" Krystyny Zachwatowicz-Wajdy)

I tak po raz kolejny wychodzi na wierzch obłuda nadwiślańskich klasistów (znów kłania się termin „dulszczyzna"). Dla nich demokracja jest dobra tylko wtedy, gdy pozwala im rządzić Polską. Wystarczy jednak, że spycha ich do opozycji, a staje się zła. Wtedy trzeba sięgnąć po środki nadzwyczajne i odpowiednio retorycznie je opakować. Tak jest właśnie w przypadku „demokracji walczącej". Postęp kosztuje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 612cf85725

Absurdalne przeprosiny Leona XIV



FOT. GUGLIELMO MANGIAPANE/REUTERS/FORUM



Sergiusz Muszyński

W jakim celu obecny papież zdecydował się na zamieszczenie w swojej encyklice tak ewidentnego fałszu historycznego oraz teologicznego? Obarczył on bowiem Kościół przynajmniej częściową winą za niewolnictwo, podczas gdy to właśnie staraniami jego poprzedników sprzed wieków dbano o podstawowe prawa niewolników i stopniowo dążono do całkowitego usunięcia tej instytucji

25 maja 2026 r. w watykańskiej Auli Synodu zaprezentowana została pierwsza encyklika Leona XIV, „Magnifica humanitas”. Jej tematem przewodnim, jak wynika już z podtytułu, jest „troska o osobę ludzką w dobie sztucznej inteligencji”. Wydaje się jednak, że największej uwagi mediów nie przykuły zagadnienia związane z AI, tylko kolejne „historyczne przeprosiny” w imieniu Kościoła. Otóż tym razem Wikariusz Chrystusa prosił cały świat o przebaczenie Stolicy Apostolskiej istnienia w przeszłości instytucji niewolnictwa.

Nie są to pierwsze przeprosiny, które po Soborze Watykańskim II wystosowano w imieniu Rzymu za rzekome „winy Kościoła”. Już Jan Paweł II przepraszał za domniemane kościelne przewinienia w postaci m.in. antysemityzmu, „zbrodni inkwizycji” czy tzw. dyskryminacji kobiet. Co więcej, w 2000 r. papież z Polski zorganizował w Watykanie Dzień Przebaczenia, gdy ową bezpodstawną skruchę wyraził wraz z innymi hierarchami podczas specjalnej ceremonii. W Kościele soborowym niestety panuje tendencja do kajania się za wszystko, choćby wbrew prawdzie historycznej, byle tylko wpisać się w oczekiwania liberalnego świata.

RÓŻNE OBLICZA NIEWOLNICTWA

Wraz z „Magnifica humanitas” do tego trendu dołączył Leon XIV. W encyklice czytamy o poczuciu winy, że „wiele osób i instytucji kościelnych posiadało niewolników”. Papież wyraża swoją solidarność i głęboki ból, rozważając „ogromne cierpienie i upokorzenia” związane z niewolnictwem. Pisze o tym, jak to Stolica Apostolska „regulowała i uprawomocniała” podporządkowanie i niewolnictwo niewiernych. Wreszcie okazuje ubolewanie z powodu rzekomych opóźnień, z którymi Kościół potępił zjawisko niewolnictwa. Wskazuje, że „trzeba było czekać aż do XIX w.”, aby „formalne, absolutne i powszechne potępienie niewolnictwa” zostało dokonane „zwłaszcza przez Leona XIII”.

Ilość absurdu i nieprawdy, zarówno na gruncie historycznym, jak i teologicznym, która bije z tego akapitu owej encykliki, jest porażająca. Dotyczy to zarówno podchodzenia Kościoła do niewolnictwa na przestrzeni wieków, jak i samego kształtu tej instytucji w różnych epokach historycznych. Nieprawdą jest także sugerowane przez papieża odcięcie się Leona XIII od postawy wcześniejszych Wikariuszy Chrystusa, którzy aż do XIX w. rzekomo mieli aprobować „cierpienia i upokorzenia” związane z niewolnictwem.

Zacznijmy od tego, że wbrew powszechnej wizji wiecznie bitego i głodzonego niewolnika wskazana instytucja miała w toku historii wiele twarzy. O ile ramy niniejszego artykułu nie pozwalają na szczegółowe omówienie tego zagadnienia, o tyle należy jednak podkreślić, że szczegółowy status niewolników nie był

eprasa.pl 612cf85725

zawsze i wszędzie jednakowy. Z jednej strony mieliśmy w historii niewolników traktowanych bardzo dobrze, którym wcale nie odmawiano człowieczeństwa. Z drugiej zaś, w innych miejscach i okolicznościach, niewolników traktowano rzeczywiście źle. Nie można zatem powiedzieć, że jest to instytucja, która zawsze i wszędzie była z gruntu zła i niedopuszczalna. O ile we współczesnych realiach taka rzeczywiście by była, o tyle trudno sobie jednak wyobrazić – dla przykładu – nagłe zniesienie niewolnictwa w starożytnym Rzymie. Taki krok doprowadziłby do natychmiastowego załamania się ówczesnego systemu gospodarczego, co nie służyłoby nikomu, włącznie z samymi niewolnikami. Stąd trudno się dziwić Kościołowi, że w dawnych warunkach nie postulował natychmiastowego uwolnienia wszystkich niewolników.

W wydanej w 1922 r. pracy pt. „Niewolnictwo w nauce moralnej chrześcijaństwa” znany teolog ks. dr Władysław Wicher wyczerpująco omówił podejście doktryny katolickiej do przedmiotowego zagadnienia. Odwoływał się zarówno do stanowiska Kościoła, jak i autorytetów, na czele ze św. Tomaszem z Akwinu. W podsumowaniu swojej pracy stwierdził, że w określonych realiach społeczno-gospodarczych niewolnictwo jest „dozwolone, choć nie polecone i nie odpowiadające dobrym stosunkom społecznym”. Zastrzegł, że mowa oczywiście o niewolnictwie pozbawionym jakichkolwiek nadużyć, które sprowadza się do bycia tylko „dożywotnią służbą, bez praw do zapłaty, ale z prawami do życia, utrzymania i innemi prawami złączonemi z naturą człowieka”. Tego rodzaju stosunek niewolniczy jest przynajmniej tolerowany przez prawo naturalne, o ile występują usprawiedliwiające go okoliczności.

LEKCJA LEONA XIII

Odnosząc się bowiem do niewolnictwa, nie wolno abstrahować od dawnych realiów historycznych. Trudno na jednej szali moralnej stawiać czasy współczesne, kiedy to jesteśmy już dawno po rewolucji przemysłowej i mechanizacji, z okresami, gdy nawet najprostsze prace musiały być wykonywane siłą ludzkich mięśni. W świetle nauki katolickiej w przeszłości istniały takie realia, gdy pozbawione nadużyć niewolnictwo było w większym lub mniejszym stopniu dozwolone. Niekiedy wręcz, jak we wskazanym przypadku starożytnego Rzymu, zwyczajnie nie było możliwości jego nagłego usunięcia.

To stanowisko wynika także z nauki Leona XIII, którą w swojej encyklice w lapidarny i fałszywy sposób przywołuje obecny papież. Wbrew temu, co twierdzi Ojciec Święty, Leon XIII nie potępił niewolnictwa w sposób „absolutny”. Wskazane odrzucenie praktyki niewolnictwa nie obejmowało stwierdzenia, że było ono zawsze niedopuszczalne na gruncie prawa naturalnego. Ówczesny papież w słynnej encyklice „In plurimis” stwierdził jedynie, że było ono sprzeczne z pierwotnym zamysłem natury, jego istnienie zaś wynikało z grzechu pierworodnego. Leon XIII przypomina zresztą, że nie jest pierwszym Wikariuszem Chrystusa, który to zadeklarował. Aby to zobrazować, ówczesny papież cytuje swojego poprzednika Grzegorza Wielkiego, który już na przełomie wieków VI i VII głosił tę właśnie naukę.

Leon XIII podkreślił również, że w przeszłości Kościół słusznie potępiał bunty niewolników oraz stwierdzał, że (w tamtych realiach) winni są oni swoim panom szacunek i posłuszeństwo. Papież podkreślał także fakt, że władze kościelne – zwalczając nadużycia związane z niewolnictwem – jednocześnie przypominały, iż „poniżanie i krzywdy w tym znikomym życiu” mogą owocować na życie wieczne. Oprócz tego Leon XIII w sposób jednoznaczny zaznaczył, że Kościół postępował słusznie, nie domagając się pospiesznego wyzwolenia niewolników. Jak stwierdza papież, nie mogłoby to bowiem „nastąpić bez niepokojów, bez ich własnej szkody i bez klęski dla państwa”.

Jednocześnie jednak, jak uczy Leon XIII, Stolica Apostolska od początku i przez wszystkie wieki dążyła do ograniczania instytucji niewolnictwa. O ile, jak już stwierdzono wyżej, pozbawione nadużyć nie było ono w sensie absolutnym zawsze sprzeczne z prawem naturalnym, o tyle Kościół dążył w miarę możliwości do jego ograniczania, a docelowo zniesienia. Papież stwierdza, że władze rzymskie w ciągu wieków czyniły to stopniowo, z „łagodnością i roztropnością”, dzięki czemu finalnie udało się „zarazę niewolnictwa” ostatecznie wyrugować.

Na podparcie swojej tezy, a zarazem żeby wykazać ciągłość swojego potępienia z odwieczną nauką Kościoła, Leon XIII przywołuje autorytet swoich licznych poprzedników. Tak oto w encyklice czytamy o działaniach podejmowanych przez takich papieży, jak: św. Grzegorz Wielki, Hadrian I, Aleksander III, Innocenty III, Honoriusz III, Grzegorz IX, Pius II, Leon X, Paweł III, Benedykt XIV, Pius VII oraz Grzegorz XVI. Poprzez aktywność papieży Kościół dążył do ograniczania niewolnictwa, tak jak to tylko w danych realiach było możliwe, oraz pilnowania praw, które przysługiwały niewolnikom z racji ich człowieczeństwa. Stwierdza również, że u schyłku XV w. „zgubna plama niewolnictwa została wśród chrześcijańskich narodów już prawie całkowicie wymazana”. Z kolei Stolica Apostolska wówczas „z największą pilnością zważała na to, by nie odżyły gdzieś złe kiełki tego błędu”. Encyklika „In plurimis” jest zatem wspaniałą lekcją historii, której udziela nam sam Leon XIII, dowodząc nieprawdziwości tez Leona XIV z „Magnifica humanitas”.

UKRYTY CEL?

Na zakończenie pozostaje rozważyć, w jakim celu obecny papież zdecydował się na zamieszczenie w swojej encyklice tak ewidentnego fałszu historycznego oraz teologicznego. Obarczył on bowiem Kościół przynajmniej częściową winą za niewolnictwo, podczas gdy to właśnie staraniami jego poprzedników sprzed wieków dbano o podstawowe prawa niewolników i stopniowo dążono do całkowitego usunięcia tej instytucji. Jednocześnie fałszywie zasugerował, że dopiero w XIX w. Rzym zwrócił się przeciw niewolnictwu, błędnie przeciwstawiając Leona XIII jego poprzednikom. Być może, obok woli przypodobania się liberalnemu światu, tkwi w tym pewien uboczny cel doktrynalny. Papież sugeruje bowiem, że Leon XIII wystąpił przeciw wcześniejszemu stanowisku Kościoła, który dotąd rzekomo miał być podporą okrutnie utrzymywanego niewolnictwa. Niewykluczone, że pokątnie miałoby to dowodzić, iż w Kościele miałyby być możliwe całkowite rewolucje doktrynalne, zrywające z Magisterium wcześniejszych papieży. Fałsz tej tezy jest oczywisty, a ciągłości nauczania „In plurimis” o niewolnictwie z tym, czego uczyli wcześniejsi papieże, dowodzi sam Leon XIII w swojej encyklice.

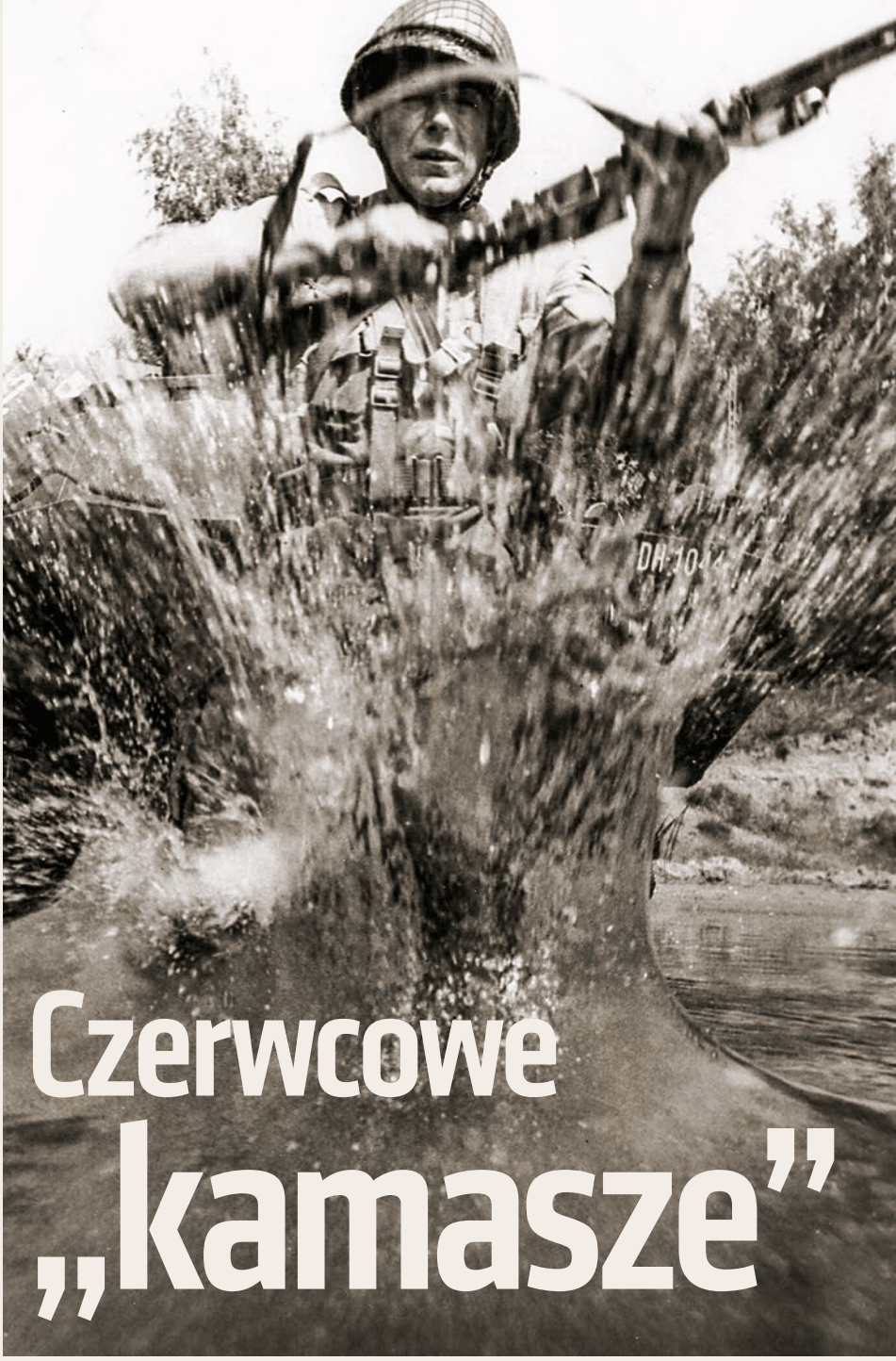
© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 612cf85725



Grzegorz Majchrzak

Czerwcowe „kamasze”



FOT. IRENEUSZ SOBIESZCZUK/PAP

W roku 1976 władze PRL znów zdecydowały się wysłać wybrane grupy na przeszkolenie wojskowe. Nie chodziło jednak bynajmniej o służbę wojskową, lecz o pozbawienie wolności osób, które – jak podejrzewano – mogą przyczynić się do „niepokojów” po podniesieniu cen

Represyjne wysyłanie do wojska ma w Polsce Ludowej długą historię. Pierwsi byli w latach 1950–1958 żołnierze górnicy, skierowani do batalionów pracy oraz batalionów górniczych. Z kolei od 1959 r. – co miało być zresztą pomysłem późniejszego głównego „architekta” stanu wojennego, czyli Wojciecha Jaruzelskiego – do specjalnych jednostek wojskowych kierowano kleryków. Po raz kolejny po tę formę represji sięgnięto po Marcu ’68 oraz – na mniejszą skalę – po Grudniu ’70. A po raz ostatni – przynajmniej w szerszej, zorganizowanej skali – w 1982 r. Nadal jednak ta forma represji pozostaje mało znana. Tak też jest w przypadku kolejnej „branki” z czerwca 1976 r., która miała nieco inny charakter od wcześniejszych. Przed planowanymi podwyżkami postanowiono tym razem wysłać kilka odmiennych od siebie grup. Jak potem wspominał Jacek Kuroń: „Specjalnie na tę okazję stworzono obóz polowy, w którym oprócz dysydenckiej inteligencji znaleźli się robotnicy, wskazani przez tajne służby, i złodzieje, recydywiści, których można było szybko rozpoznać, bo do oficerów zwracali się nawykowo »panie oddziałowy«. Przedziwne to było towarzystwo”. I dodawał: „Opowiadano mi o bezrękim, któremu komisja wojskowa napisała w orzeczeniu: Nadaje się do odbycia służby wojskowej, przy pracach niewymagających prawej ręki. Kazano mu podnosić szlaban przy obozowej bramie”…

Bo nie o służbę wojskową – w tym przypadku przeszkolenie wojskowe – chodziło, lecz o pozbawienie wolności osób, które – jak podejrzewano – mogą przyczynić się do „niepokojów” po podniesieniu cen. Była to inicjatywa MSW. Jego przedstawiciele podczas spotkania z towarzyszami z MON w połowie maja 1976 r. zgłosili postulat wysłania na okres od 19 czerwca do 26 lipca na „ćwiczenia” 1,8 tys. wytypowanych przez komendy wojewódzkie Milicji Obywatelskiej osób „o warcholskich i antyspołecznych postawach”. Pretekstem dla powołania tych osób do wojska była „realizacja zadań związanych z rozbudową bazy poligonowej i innych obiektów szkoleniowych oraz dodatkowego przeszkolenia w ramach ćwiczeń wojskowych”. Podstawą do niej zaś zarządzenie szefa Sztabu Generalnego WP z 8 czerwca 1976 r. W zarządzeniu tym dowódcom Pomorskiego, Śląskiego i Warszawskiego Okręgu Wojskowego zlecono sformowanie dziewięciu kompanii polowych, które miały funkcjonować przez okres pięciu tygodni – od

eprasa.pl 612cf85725

22 czerwca do 26 lipca 1976 r. Miały one powstać przy: 68. Pułku Czołgów Średnich w Budowie, 28. Pułku Czołgów Średnich w Czarnem, 35. Pułku Czołgów Średnich w Ostródzie (na terenie POW), 29. Pułku Czołgów Średnich w Gubinie, 18. Pułku Czołgów Średnich w Wędrzynie, 17. Pułku Zmechanizowanym w Międzyrzeczu (na ternie ŚOW), 32. Brygadzie Artylerii w Orzyszu, 8. Pułku Zmechanizowanym w Hrubieszowie, 11. Pułku Czołgów Średnich w Giżycku (na terenie WOW). Wszystkie je łączył fakt, że były one oddalone od większych ośrodków miejskich.

UPRZYKRZYĆ POBYT W WOJSKU

Rzekomo wspomniane „przeszkolenie” miało dotyczyć „określonych żołnierzy rezerwy posiadających przydziały mobilizacyjne”. Faktycznie jednak trafiły na nie również „osoby niepodlegające obowiązkowi służby wojskowej”, „osoby o nieznanym miejscu pobytu” oraz poborowi (z pięciu roczników), których proponowano powołać w czerwcu 1976 r. do zasadniczej służby wojskowej. W gronie tym znaleźli się m.in. karani za „przestępstwa przeciwko podstawowym interesom politycznym i gospodarczym PRL”, „przestępstwa przeciwko mieniu i przestępstwa gospodarcze”, „przestępstwa przeciwko życiu i zdrowiu”, „działania destrukcyjne powodujące zniszczenia, rozprężenie itp.” oraz „inne przestępstwa”.

Przy czym funkcjonariuszom KW MO nakazano wytypować osoby „z najbardziej aktywnego elementu przestępczego będącego w zainteresowaniu Służby MO i SB, szczególnie wykazującego agresywne postawy antyspołeczne, skłonne do wystąpień zakłócających porządek publiczny, działań destrukcyjnych itp.” w wieku do 50 lat. Na przygotowanych przez nich listach znalazło się 2160 osób. Dane na temat tego, ile osób na nie ostatecznie trafiło, są rozbieżne. Jak wynika z danych Wojskowej Służby Wewnętrznej, w rzeczywistości wcielić do wojska miano 1526 rezerwistów, w tym 688 recydywistów, 363 osoby z marginesu społecznego, 342 „politycznie niepewne”, 32 intelektualistów oraz – jako kadrę – 101 aktywistów, z kolei według bardzo szczegółowego rozliczenia ilościowego osób powołanych na „ćwiczenia wojskowe” wydano 1570 kart powołania, a do jednostek wojskowych – do pierwszych dni lipca – stawiło się 1451 osób. Tak na marginesie nie było wśród nich początkowo wspomnianego wcześniej Kuronia, którego – podobnie jak np. Karola Modzelewskiego – wysłano do „woja” dopiero po rozpoczęciu akcji pomocy dla poszkodowanych po Czerwcu ’76. Jego przypadek był zresztą nietypowy. Jak bowiem wspominał Jacek Kuroń: „Dostałem skierowanie do Białegostoku do Jednostki Wojsk Obrony Wewnętrznej […]. Wcielono mnie [11 lipca 1976 r. – przyp. G.M.] do drużyny, która liczyła cztery osoby. Ja, dwóch pracowników Służby Bezpieczeństwa i jeden z kontrwywiadu wojskowego. Bardzo szybko zaczęły się między nimi spory kompetencyjne, więc ja miałem święty spokój”…

W gronie osób powołanych na te czerwcowe „ćwiczenia” znaleźli się m.in. uczestnicy protestów z Marca ’68, strajków z końca 1970 r. i początku 1971 r. oraz kolejnych lat czy uczestnicy pierwszomajowych pochodów w Gdańsku i Szczecinie domagający się w ich trakcie ukarania winnych Grudnia ’70 oraz przypominający podczas tego „robotniczego święta” w 1971 r. o ofiarach sprzed niespełna pół roku, a także inne osoby uznane po prostu za przeciwników ludowej władzy. Wszystkie te zróżnicowane grupy postanowiono zmieszać ze sobą. Możemy się jedynie domyślać, że chodziło w tym przypadku o to, aby „politycznym” maksymalnie uprzykrzyć pobyt w wojsku, np. poprzez typową w tym czasie w WP „falę” ze strony osób z przeszłością kryminalną. Jeśli władze PRL na to liczyły, to srodze się zawiodły i dlatego – decyzją Jaruzelskiego – w stanie wojennym „branki” dla działaczy opozycji i „kryminalnych” rozdzielono. Jak wspominał Andrzej Solecki, który trafił do Budowa: „Członkowie tej grupy – poza paru wyjątkami – zachowywali się w pełni koleżeńsko i lojalnie względem pozostałych. Okazywana im pierwotnie rezerwa podszyta strachem i pogardą stopniowo zanikała, gdy okazywało się, że innym nie grożą z ich strony agresja fizyczna, kradzieże czy donosy. Nie słyszałem też najmniejszych skarg ani ze strony komendy, ani pozostałych internowanych na ich postawę przy pracy na poligonie”. I dodawał: „Nie chcieli, by ich przeciwstawiano innym grupom, i nie chcieli być przyczyną wprowadzenia ostrego reżymu (chociaż znieśliby go łatwiej od pozostałych internowanych). W granicach swoich możliwości osiągnęli swój cel”.

REGULARNE PRZESŁUCHANIA

Wbrew przyjętym założeniem, w myśl, których obłożnie chorzy powinni zostać uznani przez lekarzy w jednostkach wojskowych za „jednoznacznie niezdolnych” do odbycia „ćwiczeń”, dochodziło do sytuacji kuriozalnych. Przywołany przez Kuronia przypadek nie był jedyny. Jak wspominał po latach Benon Szmyt, który trafił do Budowa: „Pewnego razu przywieźli nowego kolegę. Wyglądał bardzo źle, więc spytałem o przyczynę. Okazało się, że zabrano go wprost ze szpitala w Szczecinie, gdzie trafił w stanie przedzawałowym. Nazywał się Nowakowski. Jako 14-latek brał udział w Powstaniu Warszawskim, był łącznikiem. Kiedy ukończył 18 lat, został skazany za udział w AK, a teraz znowu stał się niebezpieczny”. Zróżnicowana była postawa kadry wobec powierzonych im żołnierzy. Jak relacjonował Solecki: „Postawa oficerów nie była jednolita, słyszeliśmy zarówno »my was, k…., nauczymy porządku«, jak i »panowie, żebyście wiedzieli, ile tu mamy przez was kłopotów« […]. Różnie też nas traktowano – od bezustannego zastraszania do pobłażliwej łagodności, zaakcentowanej pod koniec przyznaniem nagród rzeczowych i awansów”. Bo – co trzeba przypomnieć – ich przełożeni zostali odpowiednio przygotowani. Jak relacjonował Szmyt: „Szefem obozu był st. sierż. ps. Scyzor. Do pomocy miał młodego sierżanta. Ten młody po kilku dniach, kiedy go otoczyliśmy, przyznał, że jesteśmy internowani, jako niebezpieczny element zagrażający PRL, który trzeba odizolować na jakiś czas od społeczeństwa”.

Powołani do wojska zostali poddani regularnym przesłuchaniom. „Jeszcze przed 8.00 (na którą nas wezwano) zaczął w osobnym pokoju działać »punkt rozmów indywidualnych«. Oficerowie prowadzący te rozmowy (jak je ściślej określić? Przesłuchania?) wiedzieli sporo o swoich rozmówcach i często – nie wiem, czy celowo – dawali to do zrozumienia […]. Posłuchania te trwały przez szereg następnych dni. Czasami redukowały się do pytania »czy macie coś do powiedzenia?«, czasami były dłuższym wywiadem na temat pozycji rodzinnej, zawodowej i światopoglądowej” –

eprasa.pl 612cf85725

wspominał Solecki. A jak wyglądała ich służba? „Po śniadaniu wywieźli nas na poligon do kopania rowów, ale ku naszemu zdumieniu okazało się, że większość prac jest wykonana, więc trochę dłubaliśmy łopatami w ziemi i tak upłynął czas. Taka sytuacja powtarzała się wielokrotnie” – relacjonował po latach Benon Szmyt. Wysłanych w „kamasze” kierowano także do gaszenia lasów, do czego oczywiście nie byli oni w żaden sposób przygotowani. Według Andrzeja Soleckiego owe pożary miały zostać wywołane przez pociski zapalające, które czasem zresztą wybuchały niebezpiecznie blisko próbujących gasić palący się las żołnierzy. W końcu część z nich odmówiła udziału w tym niezbyt bezpiecznym zadaniu. Inaczej to zapamiętał Szmyt: „Rzecz była dziwna, bo gdy w jednym miejscu las ugaszono, ogień wybuchał w innym. Potem złapali podpalaczy na gorącym uczynku – dwóch oficerów sowieckich. Po tym zdarzeniu pożary przestały wybuchać”. Obowiązkowa była również musztra, a także oglądanie „Dziennika Telewizyjnego”, podobnie jak wysłuchiwanie „pogadanek” oficera do spraw politycznych. Można powiedzieć: praca i reedukacja…

ODMÓWIENIE PRZYSIĘGI

Problem w tym, że trafiło na opornych. Najbardziej widoczny okazał się on w przypadku przysięgi wojskowej, której co najmniej kilku żołnierzy po prostu odmówiło. Dwóch z nich znamy z imienia i nazwiska. Pierwszym z nich był zaangażowany od lat w działalność opozycji Karol Głogowski, który w jej przededniu złożył w tej sprawie specjalny raport. Uznał on, że nie spełnia „zaszczytnego obowiązku, jakim jest służba wojskowa”, lecz de facto został osadzony w obozie dla internowanych”, i – jak dodawał – w tej sytuacji „wymaganie ode mnie złożenia […] tak uroczystego i zasadniczego ślubowania, jakim jest przysięga wojskowa, jest żądaniem kolidującym z honorem Wojska Polskiego, który to honor i godność, zgodnie z rotą przysięgi, zobowiązany jestem, jako żołnierz strzec”. Inaczej postąpił Mieczysław Łabiak, który po prostu „w momencie przystępowania żołnierzy do przysięgi […] wystąpił z szyku i udał się do namiotów”. Nie wykonał on rozkazu swojego dowódcy powrotu do szeregu. Nic nie dały wcześniejsze wielokrotne próby przekonania go do jej złożenia. Miał on do niej kilka zastrzeżeń. Przede wszystkim nie chciał ślubować wierności władzy ludowej, którą uznawał nie tylko za totalitarną, lecz także za „swego rodzaju wojujący ateizm”. A wiara musiała być dla niego ważna, skoro później został księdzem – w 1979 r. wstąpił do seminarium duchownego, a święcenia kapłańskie otrzymał w 1985 r. Jak twierdził, nie uchyla się przed obowiązkiem obrony ojczyzny w razie realnej potrzeby, ale już nie mógłby brać udziału w tłumieniu protestów robotniczych czy w interwencji zbrojnej, jak w sierpniu 1868 r. w Czechosłowacji. Tak na marginesie – według Benona Szmyta – to nie wszystko, gdyż Łabiak miał również – po wystąpieniu z szyku – publicznie powiedzieć, że „nie będzie składał przysięgi na wierność Armii Sowieckiej”.

Władzy ludowej nie udało się zapobiec protestom przeciwko drastycznym podwyżkom cen – doszło do nich w 112 zakładach pracy na terenie 24 województw, a udział w nich wzięło ponad 80 tys. osób

Wysłani „w kamasze” w czerwcu 1976 r. sprawiali również inne problemy. Jak wspominał Szmyt: „Po odwołaniu podwyżek zebraliśmy się w świetlicy i zaczęliśmy śpiewać patriotyczne piosenki, ale wpadło WSW i kazali nam rozejść się do namiotów”. To zresztą nie koniec, bo relacjonował dalej: „Domagaliśmy się niedzielnych mszy świętych. W odpowiedzi sprowadzili ze Szczecina wojskowego prawnika, który nieudolnie wyjaśniał, że w warunkach polowych jest to niemożliwe. Wówczas Głogowski w sposób merytoryczny objaśnił, iż te podstawy, które przytoczył prawnik, dotyczą całkowicie innych sytuacji. Ogólny śmiech spowodował zmieszanie gościa i jego ucieczkę – byliśmy górą”. Zdarzały się też przypadki łamania regulaminu, np. Solecki otrzymał karę pięciu dni aresztu w zawieszeniu za opuszczenie apelu. Co ciekawe, podobnie miała zostać ukarana groźba poderżnięcia gardła wystosowana wobec komendanta i dowódcy plutonu… Z kolei w Czarnem – 3 lipca 1976 r. – wysłani na „ćwiczenia” ogłosili głodówkę.

Niezwykłe były też kulisy powrotu do cywila osób skierowanych na te „ćwiczenia”. Owszem, pożegnano ich uroczyście (z udziałem sztandarów i hymnów), ale do domu wracali pod ścisłym nadzorem. Zgodnie z wytycznymi wspomniany powrót rozłożono na cztery dni (25–28 lipca) w małych grupach, aby zapobiec „tworzeniu się grup skłonnych do niezdyscyplinowania”. Tak to zapamiętał Benon Szmyt: „Jedną grupę odwieźli do Kalisza Pomorskiego, a drugą do Drawska […]. W Drawsku kazali nam wysiąść na bocznicy. Dworzec i okolice obstawili oddziałami ZOMO w pełnym rynsztunku i z psami. Były również liczne patrole WSW. Ludzie patrzyli na nas jak na groźnych bandytów. Na peron wpuszczali nas przez szpaler ZOMO, wyposażony w tarcze, pałki i kaski”. To nie koniec. „W miasteczkach, do których nas dowożono, roiło się od milicji i WSW. Pod starannym nadzorem wsiadaliśmy do pociągów, żegnani »życzeniami wszelkiej pomyślności w życiu cywilnym«” – to z kolei relacja Andrzeja Soleckiego.

Jaki był efekt tej czerwcowej branki? Władzy ludowej nie udało się zapobiec protestom przeciwko drastycznym podwyżkom cen – doszło do nich w 112 zakładach pracy na terenie 24 województw, a udział w nich wzięło ponad 80 tys. osób. Można zatem zaryzykować stwierdzenie, że akcja ta okazała się nieskuteczna. Jedynie – o czym była wcześniej mowa – wyciągnięto z niej wnioski na przyszłość. Jak stwierdzali sami wysłani w „kamasze” w czerwcu 1976 r., władzy udało się ich odchudzić… „I tu można powiedzieć, że jedno się władzy udało – kuracja odchudzająca, bo ważyłem 80 kg, czyli straciłem 10” – konkludował po latach Szmyt. „Warzyw nadal nie jadam […]. Pierwszy raz od kilku lat mam jakieś kłopoty ze zdrowiem (serce, żołądek). No trudno, przeżyję, po jakimś czasie dojdę do siebie. Myślę, że to dość umiarkowana cena za poznanie tylu interesujących ludzi. No, i wziąłem udział w eksperymencie na skalę obozu (socjalistycznego)” – stwierdzał niedługo po wyjściu do cywila Solecki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN.

eprasa.pl 612cf85725



KOMUCHOŻERCA

Oflag Murnau

LESZEK ŻEBROWSKI

Niemcy mieli dwa rodzaje obozów jenieckich – stalagi dla szeregowców i podoficerów oraz oflagi dla kadry oficerskiej. Po kampanii wojennej 1939 r. do obozów trafiły dziesiątki tysięcy żołnierzy. W stalagach Niemcy kusili żołnierzy do przejścia na status „robotników przymusowych", mamiąc ich warunkami względnej wolności, ale czynili to niezbyt skutecznie, dlatego stosowali też bezpośredni przymus, chcąc mieć więcej siły roboczej.

Napływ dalszych polskich jeńców do obozów aż do powstania warszawskiego był bardzo niewielki. Ten stan rzeczy zmieniła dopiero kapitulacja powstania. W jej wyniku do niemieckiej niewoli trafiły kolejne tysiące żołnierzy i oficerów. Najbardziej znanym obozem jenieckim dla Polaków jest Murnau z uwagi na fakt, że Niemcy umieścili w nim znaczną część wyższych wojskowych. Przebywał w nim też rtm. Witold Pilecki, który trafił tam z 591 oficerami WP z powstania.

Na początku 1945 r. w obozie jenieckim w Murnau przebywało 23 generałów, 64 pułkowników, 152 podpułkowników, 320 majorów, 673 kapitanów i rotmistrzów, 2883 młodszych oficerów, 398 podoficerów i szeregowców. Razem 5434 polskich żołnierzy. III Rzesza Niemiecka nie była już wówczas tak zorganizowana jak przedtem. Wehrmacht myślał tylko, jak dostać się do niewoli amerykańskiej, a nie sowieckiej, licząc na łagodne traktowanie. Jak się okazało, słusznie. Przestały działać służby, zaopatrzenie szwankowało. Komendant obozu, gen. A. Petry, wraz z częścią załogi porzucili cichcem stanowiska i udali się na Zachód. Na miejscu pozostali tylko wartownicy na bramie i na wieżach strażniczych, których nikt nie zwolnił z rozkazów trwania na posterunkach.

Z zachodu, przez Bawarię, parła amerykańska armia, zbliżając się do Monachium, ale o obozie nic nie wiedziała. Nad więźniami czuwała jednak Opatrzność. Jeden z niemieckich podoficerów ostrzegł więźniów, że doborowa jednostka SS ma dotrzeć do Murnau i w ostatniej chwili zmasakrować jeńców. Powiadomiony o tym został też przedstawiciel Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, dr Mayer, który zawiadomił Amerykanów z prośbą o udzielenie natychmiastowej pomocy Polakom. 29 kwietnia 1945 r. amerykańskie czołgi napotkały małą niemiecką grupę egzekucyjną, która otworzyła do nich ogień. Walka była krótka, przeżyła tylko część esesmanów w ciężarówkach.

Ewenementem było to, że przy zabitym generale SS Ernście Ficku znaleziono teczkę z rozkazem Heinricha Himmlera wymordowania polskich jeńców. Do jego dyspozycji przydzielono oddziały morderców z SS, które wyruszyły z Monachium. Na szczęście nie dotarły na miejsce. ©℗



HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Syrena Sport i jej twórca

SŁAWOMIR KOPER

Jednym z najbardziej uzdolnionych konstruktorów samochodowych epoki PRL był Cezary Nawrot. Był zwolennikiem stosowania tworzyw sztucznych w karoseriach pojazdów, ale preferował laminaty szklano-epoksydowe, które były stosunkowo lekkie, a przy tym dość wytrzymałe. Z tego powodu nie był zainteresowany wynalazkami rodem z NRD, czyli duroplastem wykorzystywanym przy produkcji Trabanta.

To właśnie z laminatu powstał prototyp Syreny Sport, którą zachodni dziennikarze uznali za najpiękniejszy samochód zza żelaznej kurtyny. Był to faktycznie wspaniały pojazd i gdy w 1960 r. zaprezentowano go publicznie, wzbudził powszechną sensację. Auto wyposażono w czterosuwowy silnik w układzie boxer, co nie tylko zapewniało znakomite osiągi, lecz także zdejmowało z pojazdu odium przeraźliwie kopcącej Skarpety.

To było coś zupełnie nowego w socjalistycznej motoryzacji, gdzie dominowały prymitywne auta o dyskusyjnej urodzie. Liczył się bowiem wynik ekonomiczny, a klienci i tak wykupowali wszystko, co wyjeżdżało z fabryk. Tym razem jednak po raz pierwszy w bloku wschodnim postawiono na wizualne wrażenia i samochód miał nie tylko dobrze jeździć, lecz także się podobać. To naprawdę był projekt z innej planety, i to z takiej, gdzie nie znano komunizmu.

Pojazd widywano czasami na ulicach Warszawy, a Nawrot odbył nim nawet podróż do Krakowa. Model nie miał jednak przed sobą przyszłości. Był zbyt futurystyczny i atrakcyjny wizualnie jak na realia epoki gomułkowskiej. Nad Wisłą miały dominować samochody użytkowe, a nie sportowe aberracje z krajowych fabryk. Auto trafiło więc do magazynu Ośrodka Badawczo-Rozwojowego w Falenicy i tam też w połowie lat 70. zostało zniszczone wraz z innymi prototypami. Oficjalnie zamierzano w ten sposób uzyskać większą przestrzeń magazynową.

Nawrot pracował jeszcze przy wielu innych projektach motoryzacyjnych, a z czasem zajął się również szeroko pojętym wzornictwem przemysłowym. Paradoksalnie chyba najbardziej znanym jego osiągnięciem był pojemnik na pieczywo z przesuwaną, chowającą się klapką (tzw. chlebownik lub chlebak). Wykonywany z różnych materiałów do dzisiaj znajduje się praktycznie w każdym polskim domu. I chociaż Nawrot osiągał sukcesy jeszcze jako projektant nowoczesnych tramwajów czy wnętrz wagonów pociągów Intercity, to sam mawiał, że sławę przyniósł mu samochód wykonany w jednym egzemplarzu. Zmarł 14 czerwca 2004 r. w Warszawie i trudno oprzeć się refleksji, że gdyby urodził się na Zachodzie, to obecnie zaliczano by go do grona najlepszych stylistów w dziejach motoryzacji. ©℗

eprasa.pl 612cf85725



Sekretarz generalny PSOE i premier Hiszpanii Pedro Sánchez (trzeci od prawej) oraz były szef hiszpańskiego rządu José Luis Rodríguez Zapatero (drugi od lewej) podczas wiecu wyborczego w Cártamie (Andaluzja), 1 maja 2026 r.

FOT. EUROPA PRESS NEWS/GETTY IMAGES

Orbán karany, Sánchez chroniony



Olivier Bault

Jeszcze 1 maja były premier Hiszpanii José Luis Rodríguez Zapatero uczestniczył w wiecu wyborczym socjalistów w Andaluzji. Teraz gdy jego biuro jest przeszukiwane przez policję, bliskość tego polityka stała się dla hiszpańskiej centrolewicy politycznym ciężarem. Uderza ona bowiem w jej najbardziej rozpoznawalną twarz ostatnich 20 lat

Mechanizm praworządności Unii Europejskiej i aktywizm Komisji Europejskiej w tym zakresie są przedstawiane jako narzędzia ochrony pieniędzy podatników. Węgry Viktora Orbána straciły dostęp do 18 mld euro (a nawet 35 mld, jeśli liczyć styczniową decyzję KE o odrzuceniu wniosku Wegier o wypłatę transzy z kredytu SAFE) – uzasadnieniem była rzekoma korupcja i nepotyzm, a tylko mniej oficjalnie m.in. „obawy o prawa osób LGBTIQ". Tymczasem Hiszpania socjalisty Pedra Sáncheza, rządzącego już trzeci rok z rzędu bez uchwalonego budżetu, którego gabinet jest podtrzymywany przy władzy przez katalońskich i baskijskich separatystów za cenę różnorakich ustępstw, zdaje się mieć nieporównywalnie większe problemy z korupcją po ośmiu latach u władzy, niż miał węgierski Fidesz po 16 latach. Jednak Sánchez popiera masową imigrację, centralizację Europy oraz agendę gender i dlatego fundusze unijne przyznane Madrytowi nie były i nie są zagrożone.

Tymczasem w samej Hiszpanii rok 2025 okrzyknięto annus horribilis Pedra Sáncheza. Rok 2026 zapowiada się jeszcze gorzej, i to nie tylko ze względu na cztery przegrane regionalne rywalizacje wyborcze, licząc od grudnia ub.r., z których za każdym razem wyłaniała się większość centroprawicowej Partii Ludowej (PP) z suwerennościową, antyimigracyjną i prawdziwie konserwatywną partią Vox. Głównym powodem katastrofy jest lawina afer sądowych zasypujących premiera Hiszpanii. Zanim jednak przejdziemy do stanu obecnego, kiedy od połowy maja sprawy przyspieszyły, warto przypomnieć stan z początku roku, kiedy to dziennikarze doliczyli się 10 spraw korupcyjnych zagrażających premierowi.

LISTA AFER

Jedną z ważniejszych afer była wówczas tzw. afera maseczkowa, czyli sprawa Ábalosa. Były minister transportu José Luis Ábalos, niegdyś druga osoba w Hiszpańskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej (PSOE) i bliski współpracownik premiera, przebywa dziś w areszcie tymczasowym, a prokuratura antykorupcyjna żąda dla niego 24 lat więzienia. Zarzuty obejmują przynależność do organizacji przestępczej, łapownictwo, defraudację, wykorzystanie informacji poufnych i płatną protekcję. Afera dotyczy przestępczych zakupów maseczek podczas pandemii. Sprawa trafiła już do Sądu Najwyższego.

Bezpośrednią konsekwencją tej samej afery jest sprawa Santosa Cerdána, następcy Ábalosa na stanowisku sekretarza do spraw organizacji PSOE. Cerdán jest

eprasa.pl 612cf85725

podejrzany o ustawianie przetargów na roboty publiczne na korzyść wielkich firm budowlanych w zamian za sowite prowizje. Śledztwo wciąż trwa i regularnie dostarcza nowych, coraz mroczniejszych szczegółów.

Równolegle Audiencia Nacional – ogólnokrajowy wyspecjalizowany sąd hiszpański rozpoznający najpoważniejsze sprawy karne – prowadzi śledztwo wobec urzędników rządu socjalistycznego, którzy nie posiadają immunitetu i tym samym nie podlegają jurysdykcji Sądu Najwyższego. Wśród podejrzanych znalazły się m.in. była prezes ADIF (Administrador de Infraestructuras Ferroviarias, państwowy zarządca infrastruktury kolejowej) oraz były dyrektor do spraw dróg. Co szczególnie kłopotliwe dla partii, śledztwo rozszerzyło się na dawne rządy socjalistyczne Balearów i Wysp Kanaryjskich, wciągając w orbitę podejrzeń Francinę Armengol, dziś przewodniczącą Kongresu Deputowanych, oraz Ángela Víctora Torresa, ministra w obecnym gabinecie i byłego premiera Wysp Kanaryjskich.

Odrębną nitką tego samego kłębka jest sprawa finansów PSOE. Sąd bada podejrzane przepływy gotówki w partii. Wyjaśnienia złożone przez socjalistów nie przekonały śledczych, którzy podejrzewają nielegalne finansowanie ugrupowania. Dochodzenie jest objęte tajemnicą, lecz według wszelkich wskazań będzie przez cały rok 2026 stanowić dla Sáncheza nieustanny powód do niepokoju.

Wreszcie dochodzimy do afery paliwowej. Dotyczy ona sieci firm wyłudzających VAT w obrocie paliwami: spółki pobierały podatek od klientów, lecz nie odprowadzały go do fiskusa. Powiązanie z PSOE wynika z podejrzeń, że wspomniane firmy usiłowały przekupić byłego ministra transportu Ábalosa, by ułatwił im rozszerzenie procederu. Nie wiadomo, czy im się to udało, ale są podejrzenia i śledztwo w tej sprawie trwa.

Bezpośrednio z tą aferą wiąże się sprawa Leire Díez, określanej mianem „hydraulika" partii, osoby wynajmowanej do cichego załatwiania kłopotliwych spraw. Działaczka PSOE miała skontaktować się z jednym z podejrzanych w aferze paliwowej i zaoferować mu korzyści prawne w zamian za kompromitujące materiały na oficera kierującego wydziałem analitycznym UCO (Unidad Central Operativa – wydział analityczny Gwardii Cywilnej) prowadzącym śledztwa antykorupcyjne. Celem miało być zastraszenie oficera i skłonienie go do porzucenia dochodzeń. Díez jest ponadto podejrzana o pobieranie nielegalnych prowizji za pośrednictwo między administracją publiczną a prywatnymi firmami ubiegającymi się o środki z SEPI (Sociedad Estatal de Participaciones Industriales – państwowy fundusz inwestycyjny zarządzający udziałami państwa w przedsiębiorstwach). W tej samej sprawie podejrzany jest były prezes SEPI, mianowany przez rząd socjalistyczny.

Audiencia Nacional prowadziła również w 2025 r. śledztwo w sprawie ewentualnego prania brudnych pieniędzy w ramach państwowego dofinansowania organizacji przestępczej powiązanej z rządem Wenezueli, za pośrednictwem niewielkiej linii lotniczej Plus Ultra.

Kolejny kłopot dla premiera Pedra Sáncheza to sprawa jego brata, Davida Sáncheza. Sąd prowincjonalny w Badajoz sądzi go za nadużycie władzy i płatną protekcję: zarzuca mu się, że specjalnie stworzono dla niego posadę w administracji regionalnej Estremadury, z wynagrodzeniem nieadekwatnym do wykonywanych obowiązków.

Listę zamykają trzy równoległe śledztwa wobec Begoñy Gómez, małżonki premiera. Pierwsze dotyczy handlu wpływami: Gómez miała wystawiać listy rekomendacyjne na rzecz biznesmena, który następnie finansował jej katedrę na Uniwersytecie Complutense w Madrycie. Drugi wątek to możliwe przywłaszczenie oprogramowania – zaprojektowanego nieodpłatnie przez Telefónicę, Google i firmę Indra na potrzeby katedry – które zostało zarejestrowane na jej nazwisko. Trzecia linia śledztwa obejmuje podejrzenie defraudacji środków publicznych: pracownica Pałacu Moncloa (kancelarii premiera) miała w godzinach pracy obsługiwać prywatną działalność żony premiera.

ZARZUTY WOBEC BYŁEGO SZEFA RZĄDU

Spośród wszystkich tych spraw ta dotycząca linii lotniczej Plus Ultra nabrała nagle zupełnie innego ciężaru gatunkowego. 19 maja Audiencia Nacional przedstawiła zarzuty byłemu premierowi José Luisowi Rodríguezowi Zapatero. To pierwszy były szef rządu demokratycznej Hiszpanii, który znalazł się w tej sytuacji. Sędzia José Luis Calama postawił mu zarzuty płatnej protekcji, prania brudnych pieniędzy i fałszowania dokumentów, nakazując jednocześnie przeszukanie jego biura przy madryckiej ulicy Ferraz oraz firmy prowadzonej przez jego córki.

Sędzia przedstawia Zapatero jako domniemanego lidera „trwałej i zhierarchizowanej struktury płatnej protekcji", której celem było „uzyskiwanie korzyści ekonomicznych poprzez wywieranie wpływów na instytucje publiczne na rzecz osób trzecich, przede wszystkim Plus Ultra. Afera obraca się wokół ratunkowego dofinansowania linii lotniczej przez rząd Sáncheza w kwocie 53 mln euro. Decyzja budziła wątpliwości od początku: linia była mała, jej przyszłość niepewna, a powiązania właścicieli z wenezuelskim dyktatorskim reżimem (którego uporczywie od lat broni Zapatero) znane.

Z przechwyconych przez policję rozmów wynika, że zarządcy linii już w marcu 2020 r. wprost omawiali możliwość „poproszenia Zapatero o pomoc". Prezes spółki komentował tę perspektywę z wulgarną swadą, której sens sprowadzał się do gotowości zapłacenia „skromnej prowizji" w zamian za osiągnięcie celu. Dyrektor generalny tej samej spółki informował wspólników, że pozostaje w kontakcie ze „słupem" byłego premiera Zapatero, biznesmenem Juliem Martínezem. Martínez powszechnie zwany „Julito" miał już wyjaśnić im „strukturę spółek, przez którą pobierane będą łapówki". Umowę o prowizji jednego procenta od wartości ratunkowego dofinansowania – łącznie 641 300 euro – podpisano w styczniu 2021 r. Po spotkaniu Zapatero z pośrednikiem powstała spółka offshore w Dubaju, „której biznesplan zakładał przychody w wysokości 3 mln dol. w ciągu pięciu lat i która miała być w całości własnością hiszpańskiej spółki Idella Consulenza Strategica, zarządzanej przez Julia Martíneza". W ten sposób sędzia José Luis Calama z Audiencia Nacional wyjaśnia domniemane przestępstwo prania brudnych pieniędzy,

eprasa.pl 612cf85725

o które oskarżony jest Luis Rodríguez Zapatero. Sumy, które ostatecznie trafiły do Zapatero i jego córek, zostały precyzyjnie wyliczone przez śledczych: łącznie blisko 2 mln euro.

Polityczne konsekwencje tego skandalu dla urzędującego premiera Sáncheza są trudne do oszacowania. Zapatero jeszcze 1 maja stał u jego boku na wiecu wyborczym w Andaluzji. Teraz gdy jego biuro jest przeszukiwane przez policję, ta bliskość staje się politycznym ciężarem – bo uderza w najbardziej rozpoznawalną twarz hiszpańskiej centrolewicy ostatnich 20 lat – w „postępowego" premiera Hiszpanii, który zalegalizował aborcję na żądanie w swoim kraju i wprowadził w nim tzw. homomałżeństwa. Co jednak najważniejsze, w sprawie Plus Ultra to właśnie Rada Ministrów kierowana przez Sáncheza podjęła ostatecznie decyzję o przyznaniu owej niezrozumiałej dotacji wenezuelskiej firmie lotniczej.

Sprawa Plus Ultra otwiera jeszcze jeden, szczególnie drażliwy wątek dotyczący powiązania hiszpańskich lewicowych elit z Chinami. Akta śledztwa zawierają rejestr transferów na konto Zapatero od podmiotów z chińskiego ekosystemu biznesowo-partyjnego. To pokłosiem chińskich powiązań byłego socjalistycznego premiera zapewne okazało się zlecenie przez rząd Sáncheza chińskiemu gigantowi telekomunikacyjnemu Huawei kontraktu wartego 12,3 mln euro na zarządzanie danymi z sądowych podsłuchów, co było nie mniej niezrozumiałe niż sowita dotacja dla niewielkiej wenezuelskiej linii lotniczej. Komisja Europejska formalnie zakwalifikowała Huawei jako „dostawcę wysokiego ryzyka", lecz wobec Madrytu nie wyciągnięto żadnych wiążących konsekwencji. Kilkanaście innych państw UE podjęło już kroki ograniczające obecność Huawei w infrastrukturze krytycznej; Hiszpania – nie. Według części doniesień prasowych i ustaleń śledczych Zapatero miał także odgrywać rolę pośrednika lub lobbysty w sprawach związanych z tą firmą.

Sprawa Zapatero ma charakter rozwojowy. 19 maja UDEF (Unidad de Delincuencia Económica y Fiscal – wydział Policji Narodowej Hiszpanii zajmujący się przestępczością gospodarczą) znalazł w sejfie ukrytym w gabinecie Zapatero przy madryckiej ulicy Ferraz – w lokalu będącym własnością PSOE – ok. 100 sztuk drogiej biżuterii: naszyjniki, bransoletki, pierścionki, zegarki i kolczyki. Sekretarka byłego premiera wyjaśniła, że biżuteria pochodzi ze spadku i prezentów z podróży. Wyjaśnienie natychmiast wzbudziło wątpliwości śledczych: analiza zdjęć z siedmiu lat, w których żona Zapatero pełniła funkcję pierwszej damy, nie pozwoliła zidentyfikować żadnych z zabezpieczonych przejętych klejnotów. Ekspert madryckiego środowiska jubilerskiego wycenił kolekcję na co najmniej 3 mln euro. Równocześnie w domu głównego pośrednika finansowego Zapatero policja znalazła 286 070 euro gotówki.

Przejęcie władzy w Hiszpanii przez prawicową koalicję ze znacznym udziałem Vox byłoby dla zakłamanych elit brukselskich najbardziej zasłużoną karą

Jakby było mało, 27 maja funkcjonariusze UCO wkroczyli do siedziby PSOE w ramach śledztwa wymierzonego, jak oficjalnie poinformował sąd, w „sieć ukierunkowaną na destabilizowanie postępowań sądowych dotyczących PSOE i rządu". Wśród zebranych dowodów pojawia się szczegół trudny do zbagatelizowania: Pedro Sánchez figuruje w przechwyconych rozmowach i dokumentach sądowych jako „numer jeden" czy „jedynka" – „number one" albo „el uno". Uczestnicy tej siatki powołują się na polecenia „jedynki" przy organizowaniu działań wymierzonych w prokuratorów, sędziów i oficerów UCO.

Z ustaleń wynika, że Santos Cerdán, były sekretarz do spraw organizacji PSOE, miał „udostępniać struktury PSOE na potrzeby organizacji przestępczej": zapewnić lokale na spotkania, personel administracyjny do ich obsługi i finansowanie z partyjnej kasy. Skarbniczka partii wystawiała fikcyjne faktury, by ukryć przepływy pieniędzy do tzw. hydraulika, czyli wspomnianej wcześniej Leire Díez. Wśród podejrzanych znalazł się również były szef gabinetu samego Sáncheza. Prawnicy zwracają uwagę, że UCO na prośbę sądu zażądała od PSOE szczegółowych dokumentów, które jasno wskazują na przygotowania gruntu pod postawienie zarzutów osobie prawnej. Przed sądem może zatem stanąć nie tylko wielu prominentnych polityków, lecz także sama PSOE jako instytucja.

MAFIJNY POZIOM KORUPCJI WŁADZY

Pod koniec maja komentatorzy przestali już mówić o aferach jako o politycznej „kloace", używają wprost słowa „mafia". Hierarchia z ukrytym przywódcą u szczytu, sieć słupów i pośredników, fałszywe faktury jako narzędzie prania pieniędzy, próby zastraszenia organów ścigania. Sánchez tymczasem oświadczył publicznie, że wkroczenie UCO do siedziby jego partii to dowód „pełnej współpracy z wymiarem sprawiedliwości". Trudno o bardziej surrealistyczny komentarz w dniu, w którym śledczy przeszukiwali Ferraz właśnie po to, by udokumentować, jak partia finansowała operacje mające na celu zniszczenie tych, którzy ją ścigali i stanowili zagrożenie dla „el uno".

Pomimo wszystkich skandali korupcyjnych, w które zamieszani są najbliżsi współpracownicy i polityczni przyjaciele premiera Sáncheza, wiemy już, że nie należy się spodziewać żadnej reakcji ze strony Brukseli. Wystarczy powiedzieć, że z powodu wstrzymania wypłat z funduszu pocovidowej „odbudowy" dla Polski (do końca 2023 r.) oraz dla Węgier (do końca maja 2026 r.) do 2025 kraje z południa (Portugalia, Włochy, Grecja i Hiszpania) otrzymały 78 proc. tych środków, a sama Hiszpania była drugim beneficjentem w całej UE (po Włoszech). Tymczasem jednak, jak pokazują ostatnie wybory regionalne (w Estremadurze, Aragonii, Kastylii i León, Andaluzji) oraz najnowsze sondaże, reakcja samych wyborców hiszpańskich na mafijny wręcz poziom korupcji władzy może być dla lewicy bolesna.

Wybory parlamentarne mają odbyć się w Hiszpanii najpóźniej w 2027 r., jednak w obecnej sytuacji nie można wykluczyć ich przyspieszenia. Utrata wiernego sojusznika w Madrycie, a być może także przejęcie władzy przez prawicową koalicję ze znacznym udziałem Vox, byłyby dla zakłamanych elit brukselskich najbardziej zasłużoną karą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor pracuje w Instytucie Ordo Iuris.

eprasa.pl 612cf85725

Ormuz do kwadratu



Widok z lotu ptaka na instalacje w cieśninie Malakka FOT. ADOBE STOCK



Piotr Włoczyk

Chiny z niepokojem patrzą nie tylko na cieśninę Ormuz. Dużo bliżej ich brzegów leży wąski szlak morski, który jest dla nich jeszcze ważniejszy – cieśnina Malakka. Pekin stara się wydostać z tej pułapki, ale możliwości ma tu mocno ograniczone

Pomysł ministra sprawił, że w wielu stolicach regionu rządzący złapali się za głowy. Płacić za przejście przez cieśninę, która przez wszystkich dookoła uważana jest za wspólne dobro?! I nie chodzi tu o cieśninę Ormuz, którą Iran chciałby zamienić w jeden wielki punkt poboru opłat, lecz o szlak o wiele ważniejszy dla światowego transportu morskiego – cieśninę Malakka.

„Jeżeli podzielimy te opłaty między Indonezję, Malezję i Singapur, to byłoby to naprawdę coś, prawda?" – powiedział pod koniec kwietnia podczas sympozjum w Dżakarcie minister finansów Indonezji Purbaya Yudhi Sadewa. Minister był w świetnym humorze i można się zastanawiać, na ile te słowa wynikały z nastroju chwili, a na ile były skalkulowane. Nie jest to przecież pierwszy raz, gdy ktoś z najwyższych władz Indonezji rzuca w eter pomysł pobierania opłat za korzystanie z najważniejszej cieśniny świata.

Jednak kontekst kryzysu w Zatoce Perskiej i żądania Iranu, który chce monetyzować swoje położenie nad cieśniną Ormuz, sprawił, że główni gracze dali znać Dżakarcie, iż nie jest to pomysł, który warto poddawać pod dyskusję. Szczególnie jasno swoje zdanie wyraził sąsiedni Singapur. „Prawo przejścia jest gwarantowane dla każdego – powiedział Vivian Balakrishnan, szef tamtejszego MSZ. – Nie będziemy uczestniczyli w jakichkolwiek próbach zamknięcia czy utrudnienia [ruchu] ani w nakładaniu opłat w naszym sąsiedztwie".

Widząc reakcje partnerów, szef MSZ Indonezji szybko odciął się od słów swojego kolegi z rządu, przekonując, że Indonezja jest poważnym partnerem i absolutnie nie zamierza iść w ślady Iranu. Jednak samo pojawienie się tego tematu równolegle z kryzysem wokół cieśniny Ormuz musiało przysporzyć Xi Jinpingowi bólu głowy.

„Dostęp do cieśniny Malakka to główne zmartwienie dla Chin. Choć uwaga

eprasa.pl 612cf85725

świata cały czas skierowana jest na cieśninę Ormuz, to Malakka jest jeszcze ważniejsza z perspektywy Chin i innych państw azjatyckich – mówi „Do Rzeczy" prof. Alice Ba z University of Delaware, znawczyni stosunków politycznych w Azji Południowo-Wschodniej.

INDONEZYJSKA BARIERA

Malakka liczy 900 km długości, a w najwęższym punkcie, w pobliżu Singapuru, ma zaledwie 3 km szerokości. Jeden jej brzeg tworzy indonezyjska Sumatra, a drugi Półwysep Malajski. Jest to najbardziej zatłoczona cieśnina świata – każdego roku przepływa tamtędy ok. 90–100 tys. statków, odpowiadających za przewóz ok. jednej czwartej światowego handlu. Przez Malakkę Chiny wysyłają swoje towary do południowej Azji, Afryki i Europy, a w drugą stronę ściągają ok. 80 proc. importowanej przez siebie ropy naftowej. Dlatego ta cieśnina tak często nazywana jest główną arterią globalnej gospodarki i najważniejszym z globalnych „wąskich gardeł", obok cieśnin Ormuz, Bab al-Mandab (południowe wejście do Morza Czerwonego, zagrożone przez jemeńskich Hutich) czy Kanału Sueskiego.

Jak zwraca uwagę prof. Alice Ba z University of Delaware, chociaż Malakka nie jest jedyną drogą morską pozwalającą przedostać się z Pacyfiku na Ocean Indyjski, to inne cieśniny są dużo bardziej problematyczne. A wszystko przez to, że Archipelag Indonezyjski (składający się z ponad 17 tys. wysp) stanowi naturalną barierę między oboma oceanami.

„Prądy morskie i geografia sprawiają, że Cieśnina Sundajska [dzieląca Sumatrę i Jawę – przyp. red.] jest bardziej niebezpieczna, szczególnie dla dużych jednostek – mówi prof. Ba. – Lombok [cieśnina między wyspami Bali i Lombok – przyp. red.] ma większy potencjał i może być używana przez większe statki i supertankowce, jednak trasa przez Lombok jest znacznie dłuższa pod kątem dystansu i czasu (dodatkowe 1200 km i trzy–pięć dni na morzu), co oznacza dodatkowe, pośrednie koszty. Większość przewoźników uważa te dodatkowe koszty za zbyt wysokie. Przy czym w cieśninie Lombok brakuje infrastruktury tej klasy co w przypadku cieśniny Malakka, która zapewnia płynny ruch i bezpieczeństwo. Choć z drugiej strony Indonezja zasygnalizowała gotowość do rozwijania infrastruktury, by Lombok stała się dodatkowym szlakiem obok Malakki".

Długość trasy i braki infrastrukturalne to jednak niejedyne problemy wiążące się z użytkowaniem cieśniny Lombok. W grę wchodzi też bowiem czysta polityka.

„Warto zaznaczyć, że w przeciwieństwie do Malakki, która jest klasyfikowana jako międzynarodowa cieśnina, Lombok leży na wodach Archipelagu Indonezyjskiego. Dlatego użytkowanie Lombok wiąże się z innymi potencjalnymi komplikacjami wynikającymi z indonezyjskiej wrażliwości na suwerenność – podkreśla prof. Ba.

Pekin od wielu lat dostrzega swoją podatność na ewentualne zakłócenia ruchu w cieśninie Malakka. Problem ten narasta wraz z uzależnianiem się Chin od eksportu. Już w 2003 r. Hu Jintao, poprzednik Xi Jinpinga na stanowisku przewodniczącego ChRL, ukuł termin „dylemat Malakki", mający pokazywać wagę problemu. Jedną z metod przeciwdziałania zagrożeniu blokady cieśniny Malakka jest dynamiczny rozwój chińskiej marynarki wojennej, mającej osłaniać kontenerowce przewożące towary made in China. Jednak mimo starań chińska flota wciąż nie może się równać z US Navy, szczególnie w kwestii okrętów podwodnych, które odgrywają kluczową rolę w blokowaniu szlaków morskich.

Pekin od lat dostrzega swoją podatność na ewentualne zakłócenia ruchu w cieśninie Malakka. Problem ten narasta wraz z uzależnianiem się Chin od eksportu

„Amerykanie, ale również inni gracze, mogą łatwo zablokować tę cieśninę. A to oznacza, że Chińska Armia Ludowo-Wyzwoleńcza jest ograniczona pod kątem wysyłania swoich sił na Ocean Indyjski i poza ten obszar – mówi „Do Rzeczy" płk Grant Newsham z Center for Security Policy, emerytowany oficer Korpusu Piechoty Morskiej USA, autor książki »When China Attacks: A Warning to America«. – Chiny od dawna starają się »obejść« problem cieśniny Malakka, ale bez większych sukcesów. Pekin uruchomił rurociąg oraz inne logistyczne projekty przez Birmę [dawna nazwa Mjanmy – przyp. red.], ale to nie wystarcza. Chińczycy od lat mówią o kanale przez tajlandzki przesmyk Kra, jednak ten projekt nie zostanie zrealizowany w najbliższej przyszłości. Geografia jest taka, a nie inna i Chiny mają tu permanentny problem z powodu pierwszego łańcucha wysp [m.in. Tajwan i Filipiny – przyp. red.], a także cieśniny Malakka".

PRZESMYK RATUNKIEM?

Jeżeli spojrzymy na mapę, to zobaczymy, że Chiny nie mają pełnej swobody (w przeciwieństwie choćby do USA) w „wychodzeniu" na ocean. Od wschodu ich szlaki morskie mogą zostać sparaliżowane przez siły stacjonujące na pierwszym łańcuchu wysp, a od południa rywal ChRL może łatwo zamknąć każdą cieśninę u brzegów Indonezji, z Malakką na czele. I właśnie dlatego Pekin duże nadzieje wiąże z rozwijaniem tzw. Polarnego Jedwabnego Szlaku, czyli Północnej Drogi Morskiej – trasy wiodącej wzdłuż północnych wybrzeży Rosji. Z roku na rok jest ona coraz łatwiejsza w użytkowaniu, ale jednak wciąż jest o wiele bardziej problematyczna (choćby z powodu braków infrastrukturalnych, co jest szczególnie niebezpieczne w przypadku katastrof) niż klasyczne, południowe przejścia morskie.

Wspomniany przez płk. Newshama kanał przez przesmyk Kra (ok. 90 km szerokości) byłby dla Chin „polisą ubezpieczeniową" w przypadku problemów politycznych na linii Indonezja – Malezja – Singapur, ale również ta droga byłaby łatwa do sparaliżowania dla US Navy w razie konfliktu.

Kanał byłby projektem bardzo trudnym i kosztownym w budowie (obrońcy przyrody alarmują, że kanał byłby katastrofą środowiskową), ale Tajlandia stara się wykorzystać obecną napiętą sytuację wokół cieśniny Ormuz, by zyskać finansowanie dla nieco innego pomysłu na zapewnienie alternatywy wobec Malakki. Chodzi o tzw. Most Lądowy przez przesmyk Kra. Projekt ten zakłada budowę linii kolejowej, autostrady i rurociągów przez przesmyk Kra, które

eprasa.pl 612cf85725



Malakka liczy 900 km długości, a w najwęższym punkcie, w pobliżu Singapuru, ma zaledwie 3 km szerokości FOT. ADOBE STOCK

połączyłyby dwa duże porty po obu jego stronach. W ten sposób kontenery i surowce energetyczne byłyby transportowane krótkim odcinkiem lądowym i trafiałyby na kolejny statek. Władze w Bangkoku szacują, że projekt pochłonie ponad 30 mld dol. Indonezja, Malezja i Singapur na pewno trzymają kciuki, żeby nic z tego nie wyszło. Szczególnie to ostatnie państwo straciłoby mnóstwo pieniędzy, gdyby część ruchu morskiego przekierowana została w kierunku „Mostu Lądowego". Chiny z pewnością zrobią jednak wszystko, by ten projekt powstał i stał się częścią ich strategii zapewniania sobie niezależności.

„W kwestii bezpieczeństwa energetycznego Chiny przedsięwzięły bardzo konkretne kroki, by zminimalizować swoje słabe punkty w tej kwestii, co zresztą pokazał kryzys wokół cieśniny Ormuz. Przykładowo Chiny zwiększyły swoje rezerwy paliwowe i rozwinęły odnawialne źródła energii, dzięki czemu to państwo jest w stanie dłużej znosić kryzysowe ograniczenia niż większość innych krajów" – mówi „Do Rzeczy" prof. Ba.

Zagrożenie blokady cieśniny Malakka ze strony sił zbrojnych rywala to tylko jedno zmartwienie władz w Pekinie. Szlak, szczególnie na południowym odcinku, bywa zdradziecko płytki, więc łatwo tam o wypadek, ale obecnie największym zagrożeniem dla ruchu statków towarowych jest… piractwo. Nie tylko bowiem u wybrzeży Somalii armatorzy muszą uważać na morskich bandytów. Okazuje się, że jest to coraz bardziej palący problem. W pierwszej połowie 2025 r. w cieśninie Malakka doszło do 80 przypadków piractwa, co stanowi czterokrotny wzrost w stosunku do poprzedniego roku. Jeżeli spojrzymy na mapę, to szybko zrozumiemy, że wody Malakki stanowią prawdziwy raj dla piratów – pełno jest tam wysp i wysepek porośniętych gęstą roślinnością.

MORSKI STRZAŁ W STOPĘ

Znawcy tematu zwracają uwagę, że próba nakładania opłat za użytkowanie cieśniny Malakka mogłaby być dla Indonezji jak strzał w stopę. Złamanie konwencji morskiej w jednym punkcie może bowiem skutkować dalszą erozją systemu prawnego, co mogłoby przynieść negatywne konsekwencje dla samej Indonezji.

Szymon Zaręba, koordynator programu „Prawo międzynarodowe i gospodarka światowa" Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, ocenia, że słowa ministra finansów Indonezji należy odczytywać jako pokłosie rozmów na temat cieśniny Ormuz, w których prezydent USA sygnalizował gotowość pobierania opłat wspólnie z Iranem.

„Obie cieśniny mają status międzynarodowych i zgodnie z Konwencją o prawie morza z 1982 r. (UNCLOS) statki i samoloty wszystkich państw mają przez nie tzw. prawo tranzytu, które nie podlega zawieszeniu, a nakładanie opłat za ich przekraczanie jest nielegalne – pisze Szymon Zaręba. – Podważanie UNCLOS nie do końca leży w interesie Indonezji, gdyż dzięki konwencji wody między należącymi do niej 17 tys. wysp zostały uznane za wody archipelagowe, co dało jej suwerenność nad nimi i leżącymi w nich surowcami naturalnymi".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 612cf85725



FOT. ROBERT F. KENNEDY, JR./FACEBOOK

POSKROMICIEL WĘŻY

Robert F. Kennedy Jr. znany jest z ekscentrycznych zachowań. Sekretarz zdrowia USA zamieścił na X wideo, na którym można zobaczyć, jak łapie on dwa północnoamerykańskie węże wyścigowe *(Coluber constrictor)*. Przez chwilę walczył z nimi, aż w końcu udało mu się je schwytać za ogony. Gady nie są jadowite, ale go kąsały. Żona polityka skomentowała jego zachowanie: „Jesteś szalony!". Kennedy ma na swoim koncie długą historię ujarzmiania dzikich zwierząt.

AWANTURA O KOTA

W Bakersfield (Kalifornia) kierowca dostawczy Amazona ukradł kota z posesji klientki. Na nagraniach z monitoringu widać, jak mężczyzna głaszcze zwierzę, podnosi je i zabiera do samochodu. Właścicielka kota opublikowała wideo w Internecie i zgłosiła sprawę na policję. Jak się okazało, mężczyzna i jego żona byli kilka miesięcy wcześniej sąsiadami kobiety i się z nią kłócili, twierdząc, że kot należy do nich.

CHCIAŁA KRANÓWKI

Włoski sąd najwyższy orzekł, że pięciogwiazdkowy hotel w Dolomitach odmawiając przebywającej w nim turystce wody z wodociągu, działał zgodnie z prawem. Kelner proponował mieszkance Rzymu wodę mineralną butelkowaną za 7 euro. Kobieta jednak jej nie chciała. Nie mogąc się doprosić o kranówkę, zażądała od hotelu 2,7 tys. euro tytułem odszkodowania za cierpienie psychiczne i straty materialne. Argumentowała, że „woda jest zasobem naturalnym i powszechnym prawem człowieka". Bezskutecznie.

SZAFA W SAMOCHODZIE?

Na niemieckim przejściu granicznym w Singen przy granicy ze Szwajcarią celnicy zatrzymali furgonetkę. Jechała nią Szwajcarka, która – jak twierdziła – wracała z urlopu. Kobieta zaczęła wyładowywać jeden bagaż po drugim. W sumie uzbierało się... 55 walizek. Każdą z nich prześwietlono, lecz nie znaleziono niczego podlegającego opłatom ani zakazanego. We wszystkich walizkach były wyłącznie rzeczy osobiste. Niemniej ich ilość robi wrażenie.

PANIKA KONI

Odpalone bez zezwolenia fajerwerki wywołały masową panikę w Rzymie. Rannych zostało kilku żołnierzy i policjantka oraz co najmniej 15 koni. W Wiecznym Mieście trwały nocne próby do świętowania Dnia Republiki (obchodzone jest 2 czerwca). Hałas spowodował, że ok. 35 koni się zerwało i pogalopowało ulicami. Szukano ich do świtu następnego dnia. Według ustaleń sprawcą incydentu był 50-latek, który pracuje w policji od niedawna. ©℗

Filip Memches



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Nowy spór o euro

Prezydent Petr Pavel oznajmił 1 czerwca, że Czechy powinny aktywnie dążyć do wejścia do strefy euro.

Petr Pavel podkreślił, że czeska gospodarka zmaga się ze słabością krajowego kapitału, i przekonywał, że jeśli korona czeska hamuje rozwój gospodarczy, to należy porzucić sentyment do niej. – Sam fakt, że nasza gospodarka jest silnie powiązana ze strefą euro, powinien nas skłonić do stwierdzenia, że lepiej być przy stole, gdzie zapadają decyzje – przekonywał czeski prezydent, dodając, że Europa potrzebuje większych ambicji i zdolności do działania jako cały blok. Z tą argumentacją nie zgadza się premier Andrej Babiš. – Dla mnie euro to kolejna utrata suwerenności – oznajmił, przekonując, że kluczowe decyzje w strefie euro podejmują największe państwa. Babiš obiecał wyborcom, że nie porzuci krajowej waluty. Na początku maja premier ogłosił zaś, że czeski rząd zaprzestanie przygotowywania rocznego raportu na temat gotowości do przyjęcia unijnej waluty.

Mimo protestów 1 stycznia euro wprowadzono w Bułgarii, gdzie inflacja w maju osiągnęła najwyższy poziom w strefie euro. Według Eurostatu wyniosła ona 6,3 proc., a według bułgarskich statystyków aż 7 proc. – tak źle nie było w Bułgarii od sierpnia 2023 r.

Z kolei polscy politycy w kwestii euro są wyjątkowo zgodni. Minister finansów i gospodarki Andrzej Domański publicznie oznajmił pod koniec maja, że niezależność monetarna jest korzystna dla Polski, i dodał, że działania Rady Polityki Pieniężnej są lepiej dostosowane do cyklu gospodarczego, niż gdyby stopy procentowe określał Europejski Bank Centralny. Minister Domański przyznał to, choć jego relacje z bankiem centralnym bywają napięte...

eprasa.pl 612cf85725



PROSTO ZYGZAKIEM

Dron w każdym polskim domu

PIOTR GABRYEL

Nie wiem, czy najbardziej nowoczesnym dziś podejściem do wielkiego zadania, jakim jest obrona ojczyzny, nie byłby apel o to, żeby każda polska rodzina sprawiła sobie drona i nauczyła się nim posługiwać.

Owszem, dobrze jest przyswoić sobie zasady niesienia pierwszej pomocy i reguły survivalu oraz nauczyć się walki wręcz i posługiwania się bronią palną. Wszelako dziś, jak uczy wojna toczona na Ukrainie, jednym z podstawowych sposobów jej prowadzenia jest posługiwanie się dronami – to one pomagają prowadzić rozpoznanie, to one umożliwiają unicestwianie napadających nas wrogich sił – ich sprzętu i żołnierzy.

Dlatego tak nisko oceniam przygotowania do obrony Polski prowadzone dziś przez władze Polski, które wciąż – i to za gigantyczne, wyciągane od nas, podatników, pieniądze – z uporem maniaka przygotowują nas do poprzedniej, XX-wiecznej wojny, zamiast szykować na wypadek współczesnej – XXI-wiecznej.

Z tego też powodu wysoko oceniam pomysł zgłoszony niedawno przez Sławomira Mentzena, by wykorzystać naturalną skłonność młodych Polaków do opanowywania wszelkich technicznych nowinek i w szkołach uczyć ich sterowania dronami. „Gdyby to ode mnie zależało – powiedział – już teraz na poziomie liceów i wyżej robilibyśmy turnieje sterowania dronami, wiadomo – nieuzbrojonymi. Niech się dzieciaki uczą. Ludzie, którzy mają teraz 17, 18, 19, 20 lat, w takie gry grają od dziecka. Oni idealnie się do tego nadają. Niech oni sobie latają tymi dronami, niech będą w tym absolutnie fantastyczni. Niech dziesiątki tysięcy dzieciaków kupią sobie drona albo szkoła niech im kupi i niech ćwiczą sterowanie tym dronem".

A ja proponuję, żeby tej zaproponowanej przez Sławomira Mentzena, który jak najszybciej powinien zostać ministrem obrony narodowej, powszechnej nauki sterowania dronami nie ograniczać do ludzi młodych, lecz próbować zainteresować nią także pozostałych Polaków.

Wyobraźmy sobie bowiem: gdyby w niemal każdym polskim domu w krótkim czasie pojawił się dron i ludzie, którzy potrafią nim sterować? Czyli miliony dronów i miliony gotowych do działania operatorów tych dronów? Bo w końcu różnica między sterowaniem dronem nieuzbrojonym a uzbrojonym nie jest chyba aż tak duża? Jak bardzo by to, i to natychmiast, i w dodatku niemal bezkosztowo, wzmocniło poziom odstraszania naszego państwa?

Ale znając rządzących Polską polityków, prędzej od ułatwienia przez nich Polakom dostępu do dronów spodziewam się raczej uniemożliwienia im kupowania ich i posiadania bez zezwolenia – jak to zrobili w przypadku broni palnej. ©℗



NOTATNIK MALKONTENTA

Kłopot z Zełenskim

ŁUKASZ WARZECHA

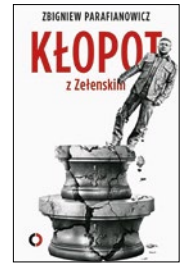
Z książką „Kłopot z Zełenskim" (kontynuacją „Polski na wojnie") Zbigniew Parafianowicz – znakomity dziennikarz i znawca spraw wschodnich – wpisał się idealnie w sytuację. Całkiem jakby zamówił u prezydenta Ukrainy specjalną promocję.

Książkę polecam, ale z ciężkim sercem, gdyż już od pierwszego rozdziału jest to lektura na przemian wywołująca zdumienie i złość. Zebrane obok siebie wypowiedzi zanonimizowanych dyplomatów polskich i ukraińskich, członków administracji prezydentów poprzedniego i obecnego, ministrów rządów PiS i KO rysują pełen obraz zakulisowego podejścia do relacji już nie tylko z samą Ukrainą, lecz także z jej wojennym prezydentem.

I tutaj właśnie objawia się gigantyczny paradoks. Z niemal wszystkich wypowiedzi rozmówców Parafianowicza wynika, że rozumieli oni doskonale, z kim mają do czynienia. Powtarzają się w stosunku do Zełenskiego określenia takie jak „aktor", „pyszałek", „fantasta". Ba, ludzie z aparatu władzy pojmują, że mają do czynienia z człowiekiem o sowieckiej mentalności i nawykach, dla którego instrumentem uprawiania polityki jest grubiaństwo, upokarzanie partnerów czy zwykłe pospolite chamstwo.

Skoro tak, to trzeba postawić pytanie: Dlaczego ta zakulisowa świadomość wydawała się nie mieć najmniejszego wpływu na postępowanie polskiego państwa? Dlaczego – skoro oburzenie wystąpieniem Zełenskiego w ONZ w 2023 r., gdy uderzał brutalnie w Polskę, połączyło, jak się okazuje, otoczenie ówczesnego prezydenta i ludzi z zaplecza Koalicji Obywatelskiej – dalej nasz kraj prowadził wobec Kijowa politykę taką, jakby nic się nie wydarzyło? To jest niepojęte, a podobne pytanie można już było postawić na podstawie poprzedniej książki Parafianowicza.

Książkę polecam, ale z ciężkim sercem



ZBIGNIEW PARAFIANOWICZ „KŁOPOT Z ZEŁENSKIM" CZERWONE I CZARNE, WARSZAWA 2026

Wygląda to tak, jakby polska elita władzy miała przecięte połączenia w mózgu. Jakby informacje i wnioski z jednej półkuli, odpowiedzialnej za analizę, nie docierały do drugiej półkuli, odpowiedzialnej za podejmowanie decyzji. Wniosek z „Kłopotu z Zełenskim" jest oczywisty: to połączenie trzeba jak najszybciej naprawić. ©℗

eprasa.pl 612cf85725



Prowadzona przez Przemysława Klimę krakowska Bottiglieria 1881 to jedyna restauracja w Polsce z dwoma gwiazdkami Michelin

FOT. TOMASZ JAGODZIŃSKI/ARTSERVICE/FORUM

Uwodzicielski smak gwiazdek



Jacek Przybylski

Aż 196 restauracji znalazło się w Przewodniku Michelin Polska 2026, w którym pierwszy raz w historii znalazły się obiekty z całego naszego kraju. Cztery nowe lokale dostały pierwszą gwiazdkę. Dzięki temu jedną gwiazdką może się pochwalić już 10 szefów kuchni w Polsce. Dwoma gwiazdkami wyróżniona jest jedna polska restauracja. Żadna nie otrzymała jednak jeszcze najwyższej oceny w świecie kulinarnej galaktyki...

Clermont-Ferrand. To właśnie w tym mieście w środkowej Francji w 1889 r. André i Édouard Michelin założyli znaną obecnie na całym świecie fabrykę opon. Wówczas w całej Francji jeździło mniej niż 3 tys. automobili.

W czasach bez smartfonów, nawigacji i opinii na portalach i w mediach społecznościowych bracia Michelin postanowili pomóc kierowcom w komfortowym podróżowaniu na dalsze dystanse (co miało oczywiście jasny cel: zwiększyć sprzedaż samochodów, a co za tym idzie – i sprzedaż opon). Stworzyli zatem mały czerwony przewodnik, który wypełniony był praktycznymi wskazówkami dla podróżnych, takimi jak mapy, informacje o tym, jak zmienić oponę i gdzie można zatankować, i przez dwie dekady wydawali go za darmo. W 1920 r. światło dzienne ujrzała płatna wersja Przewodnika Michelin, który pierwszy raz zawierał również spis paryskich hoteli, a także listę restauracji podzielonych na konkretne kategorie. Sześć lat później tajemniczy zespół inspektorów – anonimowo odwiedzający i recenzujący kolejne restauracje – zaczął nagradzać te najlepsze gwiazdką Michelin. W 1931 r. wprowadzono zaś podział na lokale jedno-, dwu- i trzygwiazdkowe. Czerwona książeczka szybko stała się bestsellerem. A przez kolejne dekady sprzedano łącznie ponad 30 mln egzemplarzy Przewodnika Michelin.

Obecnie nie trzeba niczego kupować, aby sprawdzić, gdzie można dobrze – i najczęściej koszmarnie drogo – zjeść. Wystarczy zajrzeć do przewodnika w Internecie lub ściągnąć bezpłatną aplikację na smartfona. Lista restauracji obejmuje łącznie ponad 40 tys. lokali na trzech kontynentach. Na całym świecie najwyższą oceną, czyli aż trzema gwiazdkami, pochwalić może się jedynie 158 restauracji. Dwoma gwiazdkami wyróżniono 542 lokale. Jedną gwiazdkę ma zaś 3157 obiektów rozsianych po różnych częściach globu.

I chociaż w XXI w. klientów restauracjom napędzać mogą też kulinarni influencerzy czy recenzenci lokalnych mediów, to szefowie kuchni i właściciele restauracji w różnych częściach świata przyznają, że nic tak bardzo nie wzmaga zainteresowania rezerwacją stolika jak przyznanie

eprasa.pl 612cf85725

słynnej gwiazdki francuskiego koncernu oponiarskiego.

JEDYNA W POLSCE

Krakowska Bottiglieria 1881 przy Bocheńskiej 5 – niewielka winiarnia z kuchnią w bocznej uliczce Kazimierza – jako pierwsza w Polsce otrzymała dwie gwiazdki Michelin już w 2023 r. Oblegany przez klientów lokal prowadzony przez Przemysława Klimę wciąż trzyma wysoki poziom. Dzięki temu w najnowszym wydaniu Przewodnika Michelin Polska 2026 utrzymała prestiżową ocenę. Dwoma gwiazdkami w Polsce nadal pochwalić się może tylko ta jedna restauracja. „W mojej kuchni każde danie ma swoją unikalną historię, którą opowiadają smak, zapach i to, czym się inspirowałem" – chwali się szef kuchni na firmowej stronie restauracji. „Naszym jedynym ograniczeniem są naturalne granice narzucone przez pory roku" – wyjaśnia.

Dla klientów krakowskiej restauracji ograniczeniem może być z kolei zasobność portfela. Internetowe menu otwiera pozycja „Pełne doświadczenie" za 990 zł (do rachunku doliczane jest 12,5 proc. opłaty serwisowej). Cena obejmuje kilkanaście dań, takich jak np. kaczka i tymianek, pstrąg i rumianek, perliczka i kalmar, wołowina i kawior, pierogi z szafranem i truflą czy też twaróg i biała czekolada. Do posiłku należy doliczyć napoje. Najtańsza „Selekcja win" to koszt 490 zł. Najdroższy pakiet trunków z wybitnych światowych winnic został wyceniony na 1,2 tys. zł. W najdroższym wariancie rachunek za doświadczenie dla czterech osób zbliżyć się zatem może łącznie do niemal 10 tys. zł.

W menu znajduje się też nieco tańsze menu degustacyjne o nazwie Zapoznanie. Cena: 940 zł. Towarzyszy mu oferta win, które w każdym z wyżej wymienionych wariantów są w tym przypadku tańsze o 50 zł. Z kolei na liście specjalności znajdziemy Ostrygi Gillardeau N° 4 (po 29 zł za sztukę) czy Ostrygę z kawiorem Antonius (70 zł za sztukę).

Dla przeciętnego Polaka to wysokie ceny, ale w porównaniu z lokalami mogącymi się pochwalić dwoma gwiazdkami Michelin w krajach zachodniej Europy ceny są bardzo atrakcyjne. Do Krakowa przylatują więc na kulinarne doświadczenie turyści z Hiszpanii, ze Szwecji, a nawet z USA czy Japonii. Zasady obowiązujące w lokalu są jasne. Stolik rezerwowany jest na trzy i pół godziny. Klienci powinni być schludnie ubrani, a dzieci mieć ukończone co najmniej 12 lat. Goście mogą się spóźnić 15 minut – potem rezerwacja może zostać anulowana.

LAUR DLA BABY

Według prezes Polskiej Organizacji Turystycznej turystyka kulinarna jest dziś jedną z najważniejszych motywacji przyjazdów do Polski. – Blisko 70 proc. badanych obcokrajowców deklaruje, że przyjeżdża do naszego kraju, aby doświadczać smaku, poznawać restauracje i to, co polska kuchnia ma najlepszego do zaoferowania – mówiła Magdalena Krucz podczas uroczystej gali Michelin zorganizowanej w Krakowie pod koniec maja. Ireneusz Raś, sekretarz stanu w Ministerstwie Sportu i Turystyki, chwalił się zaś, że pierwsza połowa obecnego roku była dla polskiej turystyki bardzo dobra. – W okresie Wielkanocy przyjechało do nas o 30 proc. więcej turystów z Włoch i o 20–25 proc. więcej gości z Hiszpanii niż rok wcześniej. To pokazuje, że turyści szukają dziś miejsc świeżych, prawdziwych i unikalnych – przekonywał Raś.

W tym roku turyści szukający nowych wrażeń kulinarnych zyskali nowe powody, aby odwiedzić Wrocław, który na łamach Przewodnika Michelin zagościł po raz pierwszy dopiero w ubiegłym roku. Pierwszym jest prestiżowa gwiazdka dla Beaty Śniechowskiej – z wykształcenia doktor inżynier Politechniki Wrocławskiej, która zapisała się w kulinarnej historii Polski jako pierwsza kobieta prowadząca restaurację nagrodzoną gwiazdką Michelin jako szefowa kuchni i właścicielka.

Zwyciężczyni drugiej edycji programu „MasterChef Polska" ma na swoim koncie już wiele prestiżowych wyróżnień. Dania w jej restauracji wydają się zaś nadal bardzo rozsądnie wycenione. W menu znajdziemy np. wegetariańskie pierożki z tłuściochem, kiszoną cytryną i maślanką za 71 zł, dorsza w sosie winno-maślanym z młodą kapustą i szparagami za 138 zł czy comber jagnięcy z groszkiem, szparagami i purée z barani na za 179 zł.

Drugą wrocławską restauracją, która otrzymała w tym roku gwiazdę Michelin, jest Most. Szef kuchni, Łukasz Budzik, serwuje dania opisane jedynie pojedynczymi słowami. W skład menu degustacyjnego wchodzi więc m.in. seriola, seler, burak, karczoch, por, jagnięcina czy trufla. Cena: 490 zł od osoby.

OD GDAŃSKA PO PSZCZYNĘ

Chociaż tajni inspektorzy Michelin testują restauracje od ponad 100 lat, to dopiero w ubiegłym miesiącu ukazała się edycja obejmująca zasięgiem cały obszar Polski. W 2023 r. selekcją objęte zostały tylko trzy polskie regiony: Mazowsze, Małopolska oraz Wielkopolska. W edycji na rok 2026 w Przewodniku Michelin



Beata Śniechowska to pierwsza Polka prowadząca restaurację nagrodzoną gwiazdką Michelin

FOT. ARTUR BARBAROWSKI/DDTVN/EAST NEWS

eprasa.pl 612cf85725



Polska gala Przewodnika Michelin, Kraków, 27 maja 2026 r.
FOT. MICHAŁ KLAG/REPORTER

Polska po raz pierwszy inspektorzy testowali kuchnie w całej Polsce, uwzględniając zarówno największe miasta, jak i mniejsze miejscowości. Efekt: aż 196 restauracji w przewodniku i 10 restauracji wyróżnionych jedną gwiazdką Michelin. Dotychczasowe wyróżnienia utrzymało sześć restauracji – Arco by Paco Pérez w Gdańsku, Giewont w Kościelisku, Muga w Poznaniu oraz trzy lokale w Warszawie: NUTA, hub.praga i Rozbrat 20.

Na „gwiezdnej" mapie kraju pojawiły się też cztery nowe lokale z tym wyróżnieniem – poza opisanymi wyżej restauracjami BABA oraz Most znalazły się również Steampunk w Pszczynie oraz Alon Omakase w Warszawie. Steampunk w Pszczynie wyróżnia się, jeszcze zanim na stole pojawią się pierwsze dania doświadczonego szefa kuchni Ziemowita Owczarza – lokal znajduje się bowiem na ósmym piętrze dawnej wieży ciśnień. Klienci mają do wyboru menu degustacyjne lub dania z karty. Tańsza wersja menu degustacyjnego (Wprowadzenie) kosztuje 349 zł. Z kolei na „Pełne doświadczenie" trzeba wydać 549 zł od osoby. Do tego zestaw win za 320–370 zł lub zestaw napojów bezalkoholowych za 150 zł. W menu À la carte znajdziemy zaś m.in. risotto ze szparagami i czosnkiem niedźwiedzim za 72 zł czy antrykot sezonowany 30 dni z sosem pieprzowym za 199 zł. Frytki z parmezanem, majonezem i szczypiorkiem wyceniono na 25 zł.

Z kolei warszawska restauracja Alon Omakase to pierwszy w Polsce japoński lokal nagrodzony gwiazdką Michelin. Restauracja serwuje wyłącznie jedno menu degustacyjne, którego skład ustalił szef kuchni Alon Than. Cena: 1250 zł od osoby (bez napojów, alkoholu i serwisu).

NIE MUSI BYĆ BARDZO DROGO

„Polska gastronomia rozwija się w niesamowitym tempie. Młodzi szefowie kuchni w odważny sposób rozwijają lokalną kuchnię, łącząc wysokiej jakości regionalne produkty z kreatywnym podejściem i inspiracjami z całego świata. Polska od lat pozostaje również krajem oferującym świetny stosunek jakości do ceny, co potwierdza 19 nowych wyróżnień Bib Gourmand przyznanych w tegorocznej edycji" – podkreśla dyrektor Przewodnika Michelin Gwendal Poullennec.

„Bib Gourmand" pochodzi od Bibendum, czyli oficjalnej nazwy Ludzika Michelin. Wyróżnienie to przyznawane jest lokalom, które oferują wysoką jakość dań w stosunkowo przystępnej cenie. Na liście lokali znalazła się m.in. Kwestia Czasu / NAGO w Białymstoku (smardze na kluskach śląskich można tu zamówić za 49 zł, a szczupak w pierogach kosztuje 55 zł). Inspektorzy wskazali również na Sztukę Chleba i Wina, czyli białostocki lokal łączący piekarnię, wine bar i sklep z winem. Uwagę recenzentów zdobyła w tym roku także KRZYWA Sztuka Wina w Katowicach, która specjalizuje się m.in. w dojrzewających na miejscu mięsach.

Miłośnicy nowoczesnych interpretacji tradycyjnych dań w przystępnych cenach powinni zaś spróbować kulinarnej oferty Farmer & Sons w Skórzewie, restauracji The Moment w Kielcach (pierogi z dudkami z karmelizowaną szalotką i marmurkowym sosem maślankowym można tu zjeść już za 38 zł, a grasiczki cielęce z sałatką z kalafiorem, tymiankowym sosem velouté i maślaną brioche wyceniono na 39 zł) oraz Piernicova na toruńskiej starówce (tu również stołować mogą się nie tylko krezusi – w menu znajdziemy assiette z kalafiora za 59 zł, gęsie pipki za 61 zł, ravioli z kaczką za 69 zł czy poliki wołowe za 89 zł; stek z polskiej polędwicy wołowej kosztuje z kolei 141 zł, tiramisu po toruńsku 38 zł).

Z kolei warszawski WANDAL – który poza wyróżnieniem Bib Gourmand otrzymał także nagrodę specjalną za Otwarcie Roku – na drugie danie proponuje np. kopytka z maliną, różą i kwaśną śmietaną za 48 zł, biodrówkę jagnięcą z ziołami, rzodkiewką i kalarepą za 119 zł czy „Śląskie niebo" ze schabu wieprzowego, z morelami, słonecznikiem i masłem za 59 zł/100 g.

Osobom szukającym dobrych i przystępnych cenowych dań z kuchni świata degustatorzy Michelin polecają m.in. Da Andrea w Olsztynie (specjalizującą się we włoskich smakach), łączącą polskie tradycje kulinarne z europejskimi inspiracjami restaurację Acanti w Łodzi, Brut Bistro w Gdańsku z kuchnią inspirowaną smakami z różnych stron świata (np. kopytka z parmezanem i czosnkiem niedźwiedzim można tu zjeść za 55 zł, dorsza ze szparagami i kalafiorem za 75 zł, a golonkę ze szparagami i groszkiem za 76 zł) czy też serwującą autentyczne dania kuchni marokańskiej restaurację Naama w Rzeszowie (zestaw mezze kosztuje tu 39 zł, harira z wołowiną 32 zł, a party box z kuchnią Maroka dla czterech osób 320 zł). Z kolei tajskie smaki poznać można w warszawskiej restauracji AHAAN – tu menu podzielone jest na kartę dzienną (do godz. 17.30) oraz wieczorną, a większe dania kosztują od 37 do 85 zł.

Można by tu tak smakowicie pisać i pisać, bo w tym roku liczba restauracji z Bib Gourmand w Polsce wzrosła już do 38. Na koniec wspomnieć chciałbym jednak o gdańskiej restauracji Eliksir, która jako jedyna w naszym kraju otrzymała Zieloną Gwiazdkę, przyznawaną lokalom, które „charakteryzuje inne podejście do gotowania i prowadzenia gastronomii, oparte na świadomych wyborach, sezonowości, odpowiedzialnym doborze produktów oraz bliskiej współpracy z lokalnymi producentami". Smacznego!

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 612cf85725

CUPRA FORMENTOR VZ (HYBRYDA PLUG-IN)



FOT. JAP

Modny model hiszpańskiej Cupry – z charakterystyczną agresywną sylwetką i zadziornymi reflektorami Matrix LED – już na pierwszy rzut oka bardziej przypomina sportowego crossovera niż klasycznego SUV-a. I muszę przyznać, że testowany Formentor – oznaczony przez producenta literkami VZ (skrót od hiszpańskiego słowa „veloz", które po polsku oznacza „szybki") – jak na crossovera bardzo dobrze się prowadzi.

To zasługa hybrydowego napędu typu plug-in, na który składają się 1,5-litrowy silnik spalinowy o mocy 177 KM i maksymalnym momencie obrotowym 250 Nm sprzężony z silnikiem elektrycznym o mocy 116 KM i 330 Nm. Łączna moc takiego układu to aż 272 KM i aż 400 Nm maksymalnego momentu obrotowego. Taki zestaw sprawia, że mierząca 445 cm długości, 184 cm szerokości i 153 cm wysokości Cupra od zera do pierwszej setki przyspiesza w 7 s. W dzisiejszych czasach nie jest to wartość szczególnie imponująca, ale podczas testu ani razu nie zdarzyło mi się, abym czuł, że to auto jest za mało dynamiczne. Dzięki sztywnemu zawieszeniu Cupra Formentor VZ trzyma się zaś asfaltu niczym przyklejona. To, co momentami psuje radość z jazdy, to dość ospała reakcja skrzyni biegów DSG na nagłe i bardzo mocne dociśnięcie pedału gazu. Prędkość maksymalna wynosi 220 km/h.

Osoby, które w typowym tygodniu pracy poruszają się głównie z domu do biura i z powrotem, ucieszy fakt, że zasięg tego auta w trybie wyłącznie elektrycznym wynosi teoretycznie 116 km (w realnych warunkach drogowych to ok. 100 km). Ci, którzy mają panele fotowoltaiczne, mogą je zatem w nocy podładować w domu i wyruszyć do pracy bez konieczności tankowania. Pozostali po rozładowaniu baterii powinni zobaczyć średnie spalanie na poziomie ok. 7 l/100 km.

Wnętrze zostało wykonane z dużą dbałością o detale. Fani marki będą zachwyceni licznymi „miedzianymi" akcentami, charakterystycznymi właśnie dla Cupry. Ekran systemu multimedialnego jest typowy dla grupy Volkswagena. W kabinie o sportowym charakterze tego modelu przypominają kubełkowe fotele, skórzana kierownica, metalowe nakładki na pedały i podrasowana podstopnica. Miejsca we wnętrzu jest sporo: zarówno z przodu, jak i na tylnej kanapie.

Niestety, w wersji hybrydowej bagażnik jest mniejszy niż w wersjach typowo spalinowych. Jego pojemność wynosi tylko 345 l (a po złożeniu tylnej kanapy rośnie do 1415 l). Ceny Formentora zaczynają się od 133,9 tys. zł, ale model ten z literkami „VZ" kosztuje już co najmniej 220 tys. zł (za wersję benzynową o mocy 265 KM). Testowany model startuje cennikowo od 266,7 tys. zł. Po dołożeniu modnego lakieru, 19-calowych felg, lusterek z włókna węglowego i hamulców z zaciskami Brembo cena rośnie jednak do ponad 322 tys. zł.

SMARTFON NUBIA FLIP 2 5G

Ciekawe wzornictwo, zaskakująco użyteczny ekran zewnętrzny, przyzwoita jakość zdjęć z głównego aparatu o rozdzielczości 50 MP – to największe zalety atrakcyjnie wycenionego „flipa" marki Nubia.

Solidnie skonstruowany smartfon z klapką budzi zainteresowanie, i to nie tylko wśród tych, którzy pamiętają dawne wersje tego cuda techniki, gdy były to jeszcze tylko telefony z klapką. Dziś wiele tego typu modeli kosztuje sporo, a tymczasem solidnie wykonana i intrygująco wyglądająca Nubia Flip 2 5G dostępna jest już za cenę przeciętnego smartfona ze średniej półki.

Składana obudowa sprawia, że ważący zaledwie 193 g model bez trudu zmieści się w kieszeni spodni czy marynarki. Po rozłożeniu smartfona oczom ukazuje się ekran AMOLED o przekątnej 6,9 cala i rozdzielczości 1188 x 2790, na którym przyjemnie ogląda się rolki, krótkie filmy, a nawet gra czy pracuje. Do zalet wyświetlacza trzeba dodać odświeżanie na poziomie 120 Hz, żywe kolory oraz 1200 nitów jasności (dzięki temu ze składaka Nubii można korzystać nawet w czerwcowym słońcu). Drugi ekran – OLED o przekątnej 3 cali, rozdzielczości 422 x 682 i jasności 900 nitów – nie tylko obsługuje podgląd powiadomień czy możliwość szybkiego włączenia latarki, lecz także pozwala na korzystanie niemal ze wszystkich aplikacji, które można uruchomić na dużym ekranie.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Wzmocniony zawias robi wrażenie solidnego. Sam smartfon również powinien być dość trwały, bo producent deklaruje, że jego „składak" potrafi przetrwać upadek z wysokości 1,2 m. Z kolei po rozłożeniu Nubia Flip 2 staje się elegancka i smukła (ma tylko 7,2 mm grubości). Z „flipa" można też oczywiście korzystać w trybie namiotu, np. przy odtwarzaniu muzyki.

Sercem urządzenia jest Mediatek Dimensity 7300X, który pracuje szybciej i wyraźnie stabilniej niż procesor instalowany w poprzedniej generacji, czyli w Nubii Flip 5G. Na pokładzie jest też 50-megapikselowy aparat główny, którym można robić przyzwoite zdjęcia. Nubia Flip 2 5G została również wyposażona w pakiet sztucznej inteligencji, który może się przydać do upiększania zdjęć z wakacji czy w tłumaczeniu zwrotów w obcych krajach.

Wady? Brakuje eSIM, ładowania bezprzewodowego, aparatu ultraszerokokątnego i odporności na wodę i kurz. Mimo to stosunek ceny do jakości w porównaniu z flagowymi konkurentami jest bardzo dobry. Cena: 2299 zł.

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 612cf85725

Noce i dni z piłką



FOT. ADOBE STOCK

Tomasz Zbigniew Zapert

Od 11 czerwca do 19 lipca oczy świata, nie tylko sportowego, będą zwrócone na mistrzostwa świata w piłce nożnej. Rozgrywane już po raz XXIII

Pod kilkoma względami mają one wymiar pionierski. Imprezę współorganizuje tercet państw: Stany Zjednoczone, Kanada oraz Meksyk, toteż firmują ją trzy maskotki: łoś Maple (Kanada), jaguar Zayu (Meksyk) i orzeł Clutch (USA).

Po raz pierwszy wystąpią w niej reprezentacje 48 krajów, co skutkuje 104 (sto czterema!) meczami. Niemało z nich zapowiada się wyjątkowo egzotycznie. Dajmy na to: Demokratyczna Republika Konga – Uzbekistan, Republika Zielonego Przylądka – Arabia Saudyjska, Panama – Ghana, względnie Wybrzeże Kości Słoniowej – Curaçao. Zastanawia, jak wypadną Irańczycy. De facto będący z Amerykanami na ścieżce wojennej.

POLAK NIE POTRAFI?

Od marca wiemy, że pośród uczestników turnieju zabraknie Biało-Czerwonych. Choć awans zaprzepaściliśmy w tyleż emocjonujących, co dramatycznych okolicznościach, patrząc chłodnym okiem wstecz, nasza absencja nie powinna zaskakiwać, ponieważ w większości mundiali Polski brakowało. A spośród dziewięciu startów powodzeniem zakończyły się jedynie dwa (trzecie lokaty w roku 1974, za kadencji selekcjonerskiej Kazimierza Górskiego, oraz w 1982 r. z trenerem Antonim Piechniczkiem).

Zwłaszcza turniej z 1974 r. wzbudził gremialne zainteresowanie w kraju, a także pośród rozsianych po świecie Polonusów. Zwycięstwa nad (Argentyną 3:2, Haiti 7:0, Włochami 2:1, Szwecją 1:0, Jugosławią 2:1 oraz Brazylią 1:0) zagwarantowały nam miano „czarnego konia" turnieju. Do piłkarskich annałów przeszła zaś jedyna nasza porażka, 0:1 z manszaftem gospodarzy w sławetnej konfrontacji na wodzie. Boisko Stadionu Leśnego we Frankfurcie nad Menem po gwałtownym „oberwaniu chmury" przypominało bowiem grzęzawisko. Z racji nasiąkniętej niczym gąbka nawierzchni mecz powinien zostać przełożony, a nie jedynie opóźniony (o pół godziny). Wprawdzie wymagałoby to modyfikacji kalendarza imprezy, co przy dobrej woli wchodziło w rachubę. O tym, że austriacki arbiter Erich Linemayr wyraził zgodę na przeprowadzenie zawodów, zadecydowała telewizja. Obawiając się pokaźnych strat finansowych za odwołanie transmisji (okraszonej blokami reklamowymi, sowicie opłaconymi) do kilkudziesięciu państw na różnych kontynentach.

Spektakularne dokonanie Deyny, Laty, Szarmacha, Tomaszewskiego, Gadochy, Gorgonia, Żmudy, Kasperczaka, Maszczyka, Musiała i Szymanowskiego – skład podstawowej jedenastki potrafię wymienić zbudzony w środku nocy – usiłowała zdyskontować władza ludowa. Po przylocie na lotnisko Okęcie ekipę przyjął na audiencji towarzysz pierwszy sekretarz (Edward Gierek) wraz z towarzyszem premierem (Piotr Jaroszewicz). Piłkarzy oraz sztab szkoleniowo-medyczny uhonorowano wysokimi odznaczeniami państwowymi, jak również reglamentowanymi wówczas dobrami: talonami na samochody tudzież sprzęt AGD i RTV.

Nasz drugi krążek mistrzostw świata – z takiego samego kruszcu – wartość ma identyczną, ale – śmiem twierdzić – wywołuje nieco mniejszą nostalgię. Pewnie dlatego, że nie był to nad Wisłą czas, aby celebrować sportowe wyczyny – trwał przecież stan wojenny. Na drodze ku podium Polska odniosła trzy triumfy (Peru 5:1, Belgia 3:0, Francja 3:2), trzykrotnie zremisowała – i to bezbramkowo (Włochy, Kamerun, ZSRS), przegrywając tylko drugą potyczkę, półfinałową (taki wtedy obowiązywał regulamin) z Italią.

Piechniczek i jego podwładni (m.in. Zbigniew Boniek, Józef Młynarczyk, Włodzimierz Smolarek, Andrzej Buncol, Waldemar Matysik, Janusz Kupcewicz) powrócili do kraju w aureoli bohaterów. Chociaż przybyli po północy – opóźnienie wynikało z awarii samolotu wykrytej tuż przed odlotem z Półwyspu Pirenejskiego – to na Okęciu entuzjastycznie witały ich tłumy. Sukces piłkarski stał się dla umundurowanej władzy narzędziem ocieplającym własny wizerunek. Media wyeksponowały „przyjacielską" – jak podkreślano – wizytę medalistów u Wojciecha Jaruzelskiego, serdecznie gratulującego zawodnikom.

eprasa.pl 612cf85725

W pozostałych zmaganiach mundialowych zawodziliśmy oczekiwania, przywołajmy te z obecnego stulecia: 2002 – Jerzy Engel, 2006 – Paweł Janas, 2018 – Adam Nawałka, 2022 – Czesław Michniewicz. Czasami aspiracje niepotrzebnie i zanadto buńczucznie anonsowano – exemplum rok 1978 i jadący po mistrzostwo team pod egidą Jacka Gmocha. (Zapytany, czym jest dla niego piłka nożna, odparł: grą zespołową). Po otwierającej czempionat potyczce Polaków z Republiką Federalną Niemiec (0:0), wyjątkowo – mówiąc oględnie – mało interesującej, telegram gratulacyjny do Buenos Aires przesłał Edward Gierek! Następnie przyszedł nieszczęsny rzut karny w grze z Albicelestes. Niewykorzystany przez Kazimierza Deynę, co obrosło licznymi teoriami spiskowymi. Równie absurdalnymi!

Przed czterema laty zespół kierowany przez Czesława Michniewicza osiągnął cel elementarny. Awans do fazy pucharowej nie uchronił jednak coacha od utraty posady. Raził wyjątkowo destrukcyjny styl gry prezentowany przed jego podopiecznych.

Za to nasz debiutancki występ w tych zawodach (Francja A.D. 1938) znalazł poczesne miejsce w futbolowych kronikach. Otóż w pierwszym i – jak się niestety okazało – ostatnim naszym meczu tamtych mistrzostw konkurowaliśmy na stadionie w Strasburgu z Brazylią, przegrywając – po dogrywce – 5:6. Cztery gole wbił Canarinhos Ernest Wilimowski, piątego – z rzutu karnego podyktowanego za faul na tym fenomenalnym napastniku o biografii wyznaczonej obrotami koła historii – dorzucił Fryderyk Scherfke, też gracz, którego los zdeterminowała druga wojna światowa. Mecze transmitowało Polskie Radio. Podobno relacja Michała Franka – lekarza po fachu, potem konspiratora Armii Krajowej, zamordowanego przez Niemców w Auschwitz – ustanowiła rekord słuchalności w kategorii antenowych sprawozdań sportowych międzywojnia. Natomiast osiągnięcie Wilimowskiego poprawił dopiero – po ponad półwieczu! – Rosjanin Oleg Salenko, pięciokrotnie kierując piłkę do bramki Kamerunu. Tyle poloniców stricte sportowych, pora na inne.

NIMB ENIGMY

Wracając do Wilimowskiego. W czerwcu 1974 r. odwiedził on miasteczko Murrhard, położone w Badenii-Wirtembergii, opodal Stuttgartu, gdzie w Pensjonacie Sonne-Post kwaterowały „Orły Górskiego". Czy zdołał dotrzeć do naszego szkoleniowca? Okrywający to nimb enigmy zainspirował Roberta Talarczyka do napisania sztuki pt. „Ezi" (tak określali piłkarza kibice), zaadaptowanej tej wiosny na scenie Teatru TVP przez Janusza Zaorskiego ze Zbigniewem Zamachowskim (Górski) oraz Andrzejem Chyrą (Wilimowski) w rolach wiodących. Tego piłkarza spotkał też wówczas w Republice Federalnej Niemiec redaktor Andrzej Roman z „Kuriera Polskiego". Przeprowadził nawet wywiad, ale nie został on wydrukowany. Tekst skonfiskował Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, gdyż rozmówca znajdował się na liście osób objętych zakazem wzmiankowania. Skuteczniejsi byli inni wywiadowcy Wilimowskiego: Wojciech Trojanowski i Karol Zbyszewski. No ale obaj reprezentowali media wolne, odpowiednio: sekcję polską Radia Wolna Europa oraz „Dziennik Polski", periodyk polskiej emigracji w Londynie.

„Ponad wszelką wątpliwość był najlepszym polskim piłkarzem w historii. Być może, gdyby doszło do mistrzostw świata w 1942 r., nie mówilibyśmy dziś o Pelém, ale właśnie o nim" – sugerował historyk futbolu, Andrzej Gowarzewski. Mówiąc nawiasem, mundial numer cztery miał się odbyć – w myśl decyzji FIFA – na terytorium hitlerowskich Niemiec. Wiosną roku 1939 wyznaczono już nawet wstępną listę potencjalnych miast kandydujących do roli gospodarzy spotkań. Figurowały na niej m.in. Wrocław, Szczecin oraz… Wiedeń.

Nie ulega wątpliwości, że najlepsze lata sportowe odebrała Wilimowskiemu druga wojna światowa. Po podpisaniu volkslisty brylował w kadrze III Rzeszy, prowadzonej przez sławnego selekcjonera Seppa Herbergera, który twierdził, że był najlepszym graczem, z jakim kiedykolwiek pracował. O skali umiejętności i skuteczności snajpera najdobitniej przekonują liczby. W ośmiu występach w koszulce ze swastyką zdobył aż 13 goli (w trykocie z białym orłem odpowiednio – 21) Polski nigdy już nie odwiedził, bo tu uznano go za renegata. Taką opinię wyrażał niezmiennie choćby największy bodaj autorytet krajowego dziennikarstwa sportowego redaktor Bohdan Tomaszewski.

Skądinąd latem 1978 r. w Argentynie odnalazł on Jerzego Bułanowa, legendę Polonii Warszawa, kapitana reprezentacji Polski doby interbellum, potomka białych Rosjan. II Rzeczpospolita zapewniła im schronienie przed bolszewikami, którzy zagrabili rodzinny majątek zbity na handlu materiałami bławatnymi, jak wówczas definiowano tekstylia. Słowa interlokutora nie trafiły jednakże na antenę Polskiego Radia z racji cenzorskiego weta. Pamiętano, że piłkarz, endek z przekonania, był radykalnym antykomunistą. W połowie lat 40. wyjechał do Buenos Aires w obawie przed widmem sowieckim zagrażającym zachodniej Europie, zdominowanej przez zapatrzoną w Kreml lewicę. Wspomaganą aktywnością pożytecznych idiotów z kręgu kultury i nauki, czapkujących Stalinowi.

WRON WON ZA DON!

Wydźwięk polityczny miał dla nas mundial z roku 1982. Otóż kiedy na hiszpańskich stadionach kopano piłkę, w Polsce trwał stan wojenny. W związku z tym spotkania z udziałem podwładnych Piechniczka obserwował z trybun

Grupy mistrzostw świata 2026:

Grupa A: Meksyk, Republika Południowej Afryki, Korea Południowa, Czechy
Grupa B: Kanada, Bośnia i Hercegowina, Katar, Szwajcaria
Grupa C: Brazylia, Maroko, Haiti, Szkocja
Grupa D: USA, Paragwaj, Australia, Turcja
Grupa E: Niemcy, Curaçao, Wybrzeże Kości Słoniowej, Ekwador
Grupa F: Holandia, Japonia, Szwecja, Tunezja
Grupa G: Belgia, Egipt, Iran, Nowa Zelandia
Grupa H: Hiszpania, Wyspy Zielonego Przylądka, Arabia Saudyjska, Urugwaj
Grupa I: Francja, Senegal, Irak, Norwegia
Grupa J: Argentyna, Algieria, Austria, Jordania
Grupa K: Portugalia, Demokratyczna Republika Konga, Uzbekistan, Kolumbia
Grupa L: Anglia, Chorwacja, Ghana, Panama

eprasa.pl 612cf85725

liczny krąg emigrantów politycznych tudzież osób ich wspierających. Protestowali wobec zła wprowadzonego 13 grudnia 1981 r. między Tatrami a Bałtykiem w majestacie komunistycznego bezprawia przez towarzysza generała. Napis na jednym z trzymanych przez nich transparentów głosił: „WRON won za Don!". Kiedy kamery międzynarodowego przekazu telewizyjnego koncentrowały na nim oczy, umundurowani włodarze TVP nakazywali przerywanie transmisji, racząc widzów planszą z wyjaśnieniem: „Usterki poza granicami kraju". Poniewczasie wyszło na jaw, że w manifestację zaangażowany był Józef Łobodowski, ceniony pisarz, przez dekady zatrudniony w sekcji polskiej Radia Madryt. Należał do sympatyków futbolu, za młodu strzegł bramki Lublinianki, a spośród swych osiągnięć dziennikarskich na czołowym miejscu stawiał rozmowę z Ferencem Puskasem. Zawodnikiem najwyższej klasy światowej, który po zdławieniu przez Armię Czerwoną rewolucji węgierskiej 1956 r. zbiegł na Zachód, walnie przyczyniając się do futbolowej hegemonii Realu Madryt. Dość przypomnieć, że jako jedyny piłkarz cudzoziemiec został przyjęty przez Francisca Franco. Generalissimus przekonał go, aby reprezentował barwy Hiszpanii, bo Puskas został przez reżim Jánosa Kádára oskarżony o zdradę narodu i pozbawiony obywatelstwa węgierskiego, toteż przez kilka sezonów funkcjonował jako bezpaństwowiec.

ZA ATLANTYKIEM

O ile w Meksyku, podobnie jak w całej Ameryce Łacińskiej, piłka nożna jest sportem numer jeden, o tyle w Kanadzie i USA wciąż ustępuje popularnością – i to wyraźnie – innym dyscyplinom. Znacznie większe zainteresowanie towarzyszy rozgrywkom hokeja na lodzie, koszykówki, o bejsbolu nie wspominając. A jeżeli zapyta się Amerykanina o futbol, to pomyśli o jego lokalnej odmianie, przypominając Europejczykom agresywniejszą wersję rugby. Bowiem w USA kopaną określa się mianem soccer. Wprawdzie jest tam znany od lat – reprezentacja występowała nawet w mistrzostwach świata już w międzywojniu, a w roku 1950 sprawiła nie lada sensację, pokonując w mundialu Anglię 1:0, co przeszło do historii pod nazwą „cud na trawie" – lecz przez dekady uchodził za sport marginalny. Aby nie rzec – peryferyjny, ponieważ za Atlantykiem grali w nogę przede wszystkim emigranci. Rodem z Irlandii, ze Szkocji, z Włoch, Francji, Latynosi, a także Polacy.

Debiutancka próba rozpropagowania soccera w ojczyźnie Abrahama Lincolna zakończyła się fiaskiem. North American Soccer League po niespełna 20 latach działalności splajtowała. Jej symbolem pozostaje Cosmos Nowy Jork, przed półwieczem uchodzący – to nie żart! – za najzamożniejszy (sic!) klub piłkarski świata. Stać go było na sprowadzenie z Europy takich indywidualności jak Niemiec Franz Beckenbauer, Holender Johan Neeskens, Włoch Giorgio Chinaglia czy Brazylijczycy: Carlos Alberto oraz Pelé. Kończyli tam efektowne kariery boiskowe, wydatnie wzbogacając swoje konta bankowe. Co ciekawe, do gwiazd – to chyba adekwatny termin – Cosmosu trafił i nasz rodak, Stanisław Terlecki. Zdarzyło się to już jednak w okresie, kiedy klub zdecydowanie stracił na znaczeniu. Swoją drogą ten błyskotliwy skrzydłowy nigdy nie posmakował mundialu. W 1978 r. z kadry wyeliminowała go kontuzja, osiem lat później nie przekonał do swych umiejętności szkoleniowca. Dodajmy, że w NASL, a także Major Soccer League (halowej odmianie piłki nożnej) zaistniał także Kazimierz Deyna, broniący barw klubu z San Diego.

Kolejne podejście do upowszechnienia soccera w USA wywołało większy rezonans. Na dodatek zataczający coraz szersze kręgi. Wydatnie pomogła w tym organizacja mundialu w roku 1994. Wprawdzie stadiony wypełniali podczas niego głównie fani drużyn na nich grających, ale i obecność Amerykanów – dla których nierzadko był to pierwszy naoczny kontakt z tą dyscypliną – była znacząca. Czy podobnie stanie się tym razem? Przypuszczalnie tak, ponieważ ranga soccera zdecydowanie wzrosła. Szczególnie od dnia, gdy na piłkarską emeryturę wybrał się tam Lionel Messi, ciągle dzielący i rządzący w Interze Miami oraz szykujący się do swego piątego startu w finałach globalnego czempionatu.

OD ZMIERZCHU DO ŚWITU

Organizacja tegorocznego mundialu wymagała skomplikowanej operacji logistycznej. Wszak konfrontacje – zaplanowane na 16 stadionach – w miastach nie tylko rozdzielonych granicami tudzież tysiącami kilometrów, lecz także ulokowanych w rozmaitych strefach pogodowych i czasowych. Zdaniem wielu ekspertów podróże oraz aklimatyzacja mogą wydatnie przyczynić się do boiskowych rezultatów. Ich prawidłowość ma zagwarantować technika, w coraz większym stopniu wspomagająca sędziów. Pośród nich znalazł się Szymon Marciniak. Będzie to jego trzeci mundial. Czy znowu przyjdzie mu sędziować widowisko na miarę niebotycznego finału sprzed czterech lat Francja – Argentyna?

Jedno jest pewne. Kibiców na Starym Kontynencie czekają bezsenne noce. Potyczki rozpoczynają się bowiem w godzinach: 18, 19, 21, 24, 1, 1.30, 2, 3, 4, 5, 6. Czasu polskiego, rzecz jasna. Transmisje na antenach TVP w likwidacji. I być może z racji tego określnika za ocean delegowano jedynie dwa tandemy sprawozdawcze. Pozostałych 13 komentatorów zrelacjonuje zmagania ze studia w Warszawie. Na szczęście w gronie tym brak Dariusza Szpakowskiego. Jego poprzednik, Jan Ciszewski, też popełniał przed mikrofonem lapsusy, lecz, primo, przyszło mu sprawozdawać mundiale, z których wracaliśmy z tarczą, a secundo, potrafił stworzyć przed mikrofonem niepowtarzalną atmosferę, toteż pomyłki raziły uszy telewidzów w niewielkim stopniu.

Warto nadmienić, że mundialowe starcia są obecne na ekranach telewizorów w Polsce od sześciu dekad. Z jednym wyjątkiem. Latem roku 1970 r. z powodu oszczędności dewiz (czy to jeszcze powszechnie czytelny termin?) TVP nie zakupiła praw do transmitowania mistrzostw świata w Meksyku. W przeciwieństwie do innych demoludów, również tych w nami sąsiadujących. Toteż niemało kibiców na czas imprezy przeniosło się w pobliże granic z Niemiecką Republiką Demokratyczną, Związkiem Sowieckim czy Czechosłowacją. Kwaterowali u rodzin, kolektywnie wynajmowali pokoje w pensjonatach, zapełnili kwatery domów wypoczynkowych Funduszu Wczasów Pracowniczych. I śledzili rywalizację, obierając przekaz „bratnich" stacji telewizyjnych. Kibicowali różnie. Teraz sympatie też są podzielone. Niech wygra lepszy!

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 612cf85725

POCZET POLSKICH WODZÓW

Zagończyk Chmielecki



FOT. DOMENA PUBLICZNA



JACEK KOMUDA

Odchodząc w 1626 r. z wojskiem kwarcianym na Pomorze, które zagrożone zostało przez atak szwedzkiego króla Gustawa Adolfa, hetman Stanisław Koniecpolski pozostawił na Ukrainie regimentarza Stefana Chmieleckiego herbu Bończa, który miał bronić tej prowincji przed Tatarami. Dlaczego jednak obdarzył taką godnością mało wówczas znanego wojownika? Otóż Chmielecki, chorąży bracławski, miał już duże doświadczenie w walkach z Tatarami i Turkami. Służbę wojskową rozpoczął w 1609 r., w czasie wojen z Moskwą trwających do 1618 r. Niestety, jego udział w wyprawie cecorskiej 1620 r. nie był zbyt chwalebny. 19 września, po przegranej bitwie w polu, kiedy w obozie wybuchła panika, próbował razem ze strażnikiem wielkim koronnym Janem Odrzywolskim powstrzymać uciekających, jednak ostatecznie sam uszedł. Opuścił hetmana Stanisława Żółkiewskiego, który zginął później pod Mohylowem w czasie dramatycznego odwrotu ku granicom Rzeczypospolitej. Chmielecki zmazał swoją winę, uczestnicząc w obronie Ukrainy przed Tatarami, pod wodzą hetmana Koniecpolskiego.

W 1624 r. w czasie rozprawy z ordą Kantymira dowodził kozakami nadwornymi Tomasza Zamoyskiego, stając się jednym z najlepszych zagończyków hetmana, wysyłanym na najtrudniejsze akcje. A zatem śledzenie i szarpanie o wiele silniejszych sił tatarskich w czasie marszu głównego kosza do Medyki pod Przemyślem. Potem zaś rozbijanie pojedynczych torhaków w czasie rabunku i zagarniania jasyru na ziemiach przemyskiej i sanockiej. Po rozbiciu ordy pod Martynowem Chmielecki stał na czele grupy pościgowej. Na początku 1626 r. brał udział w odpieraniu kolejnego ataku ordy, który wysłany został z oddziałem ok. 800 koni do śledzenia ruchów Tatarów. Pod Tarnopolem dopadł główne siły wroga; po rozpoznaniu, że przeciwnicy spali, nie wystawiając straży, zaatakował z zaskoczenia, zabijając wielu wojowników, uprowadzając jeńców i wycofując się, kiedy zebrały się przeciwko niemu wszystkie oddziały z kosza. W ten sposób poznawał i naśladował tatarski sposób walki, stając się jednym z nielicznych zagończyków, który był w stanie dotrzymać kroku lotnym ordyńcom. Od czasu tego starcia rosła także jego sława jako obrońcy kresów.

Kiedy zatem w sierpniu 1626 r. Koniecpolski ruszył z większością wojska na pomoc królowi Zygmuntowi III w Prusach, Chmielecki pozostał jako regimentarz z garścią wojska i kozaków zaporoskich. Gdy w końcu września orda, wiedząc już o odejściu głównych sił, wpadła Czarnym Szlakiem na Ukrainę i rozłożyła kosz pod Białą Cerkwią, regimentarz zebrał ok. 4,5 tys. żołnierzy z wojsk prywatnych, w tym 1,5 tys. kozaków rejestrowych, i 9 października uderzył na Tatarów, odnosząc ogromne zwycięstwo. Co pokazuje, że Rzeczpospolita prowadziła wówczas walkę na dwa fronty – w Prusach ze Szwecją, a na Ukrainie z Tatarami. Tych zaś poselstwa szwedzkie zachęcały do najazdów na ziemie Korony.

W 1629 r., kiedy wojna w Prusach ciągle trwała, orda znowu ruszyła na Polskę, Chmielecki, mając wsparcie starszego nad rejestrem kozackim Hryćki Czarnego i jego mołojców, pobił Kantymira nad Gniłą Lipą i wziął 2 tys. jeńców. Bohater określany był już wówczas przez Tatarów mianem „bicza" lackiego, a uwielbiany przez szlachtę jako obrońca Ukrainy uwalniający tłumy jasyru. Śpiewano o nim pieśni i układano wiersze. Był też poważany przez kozaków zaporoskich ze względu na sprawiedliwy sposób postępowania z ludźmi.

Za wygrane kampanie wojenne i bezustanną obronę granicy Stefan Chmielecki otrzymał z rąk króla Zygmunta III godność wojewody kijowskiego. Był to ogromny awans dla regimentarza, który pochodził z biednej szlachty i służbę zaczynał w chorągwiach koronnych jako zwykły towarzysz. Awans pokazywał też, że w Rzeczypospolitej ciągle można było sięgnąć po urzędy senatorskie, nie będąc przedstawicielem magnackiej elity. Tym większym szokiem dla szlacheckiej opinii publicznej stała się jego śmierć 20 lutego 1630 r., kilka tygodni po nominacji na urząd. Chmieleckiego powszechnie żałowano, nie brakowało głosów, że został otruty przez niechętnych mu magnatów. Dziś nie ma na to dowodów, miał on zresztą wówczas już ok. 50 lat. Pozostawił po sobie pokaźną fortunę, którą odziedziczyli synowie, i żonę, Teofilę, która zasłynęła jako kresowa wilczyca zajeżdżająca sąsiadów. Chmielecki trafił do kanonu sarmackich bohaterów. Pisał o nim w „Wojownikach sarmackich" Szymon Starowolski, powstały liczne mowy i panegiryki sławiące zmarłego. Po jego śmierci żołnierze koronni na Ukrainie przywdziali żałobę, żałowali go też zwykli chłopi i mieszczanie, gdyż żaden z kresowych zagończyków nie chronił ich lepiej przed okrutną niewolą na Krymie. ©℗

eprasa.pl 612cf85725



SIOSTRY GOTUJĄ

MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK
I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

Barszcz z Podkarpacia

Podkarpacie jest przepiękne. Nic dziwnego, że tam właśnie, w Strachocinie, osiadła rodzina Bobolów, w której przyszedł na świat jeden z trzech głównych patronów Polski – św. Andrzej Bobola.

Z dawnego dworu nie pozostał ślad, ale święty objawił się proboszczowi tamtejszej parafii, ks. Józefowi Niżnikowi – cała ta niezwykła historia opisana jest w książce księdza. Sanktuarium św. Andrzeja Boboli znajduje się u jezuitów przy Rakowieckiej w Warszawie, gdzie spoczywają doczesne szczątki tego niezwykłego kaznodziei, ze względu na skuteczność nawracania na wiarę katolicką nazywanego Duszochwatem. Odwiedziłyśmy księdza w połowie maja, spotykając na miejscu wielu pielgrzymów – przyjeżdżają tam bowiem modlić się głównie za ojczyznę.

Ale co to ma wspólnego z kuchnią? Otóż ksiądz podjął nas obiadem, który przygotowały siostry... Byłyśmy głodne, bo z Warszawy to prawie pięć godzin jazdy, więc z wdzięcznością usiadłyśmy do stołu. I tutaj nasze kubki smakowe od razu zostały zawojowane przez... barszcz. Ale nie był to barszcz byle jaki! Coś pomiędzy barszczem a kremem z buraków, doskonale doprawione, pikantne, lekko słodkie i kwaskowe, treściwe, a jednocześnie niezbyt ciężkie danie. Jego piękny, rubinowy kolor był dodatkową atrakcją posiłku. Po powrocie zaczęłyśmy wertować książki kulinarne i przeglądać podkarpackie potrawy. Podajemy więc państwu efekt naszych poszukiwań kulinarnych w postaci podkarpackiego barszczu. Przepis jest inspiracją i naszą wariacją tradycyjnego przepisu, a że buraczki są bardzo zdrowe, krwiotwórcze, bogate w sole mineralne oraz witaminy z grupy B, witaminę C oraz błonnik, to goszczą na naszym stole bardzo często pod różnymi postaciami. Dziś polecamy zupę krem z młodych buraków.



FOT. ADOBE STOCK

Krem z młodych buraków

• 1 pęczek botwinki • 1 młoda marchewka, pietruszka i seler • 1 cebula zwykła • ½ pora • 3 łyżki oliwy z oliwek • 2 ząbki czosnku • 2 spore ziemniaki • sok z ½ cytryny

Przyprawy: sól, pieprz, ziele angielskie, 4 sztuki, liść laurowy: 2 sztuki, 1 łyżeczka majeranku,

1,5 litra bulionu warzywnego (może być z ekokostki),

śmietanka słodka do zabielenia zupy,

natka pietruszki do dekoracji, mogą być też liście bazylii i mięty.

Buraczki pokroić razem z liśćmi na drobną kostkę, warzywa również i cebulę. W garnku z grubym dnem podgrzać oliwę i poddusić cebulkę, po kilku minutach dodać pokrojone warzywa, buraki i ziemniaki, przeciśnięty czosnek, przyprawy, całość dusić kilka minut. Zalać bulionem i gotować ok. 40 min. Na koniec za pomocą blendera zblendować na gładko i dodać śmietankę. Podawać z grzankami i tartym serem parmezanem. ©℗



NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Pizza i myśli Mao

JOANNA BOJAŃCZYK

W roku 1969, zaliczywszy pierwszy rok studiów, zostałam przez rodzinę wyekspediowana do Londynu, do rodziny stryjecznego wuja, który po wydostaniu się z obozu w Woldenbergu osiadł w Anglii.

Wdowa po wuju i jej dwoje dzieci mniej więcej w moim wieku mieszkali w komunalnym szeregowym domku przy Denver Street, w dzielnicy Chelsea, blisko Tamizy. Wąskie schody, wiktoriański kominek i wiecznie zepsuty prysznic – było tam miło i zwyczajnie. Dziś to elegancka dzielnica zamożnej bohemy – ciocia Molly nie przeczuła rozwoju wydarzeń i wyprowadziła się, zanim ceny domów podskoczyły dziesięciokrotnie.

Angielska rodzina, szczególnie jej młodsza część, prowadziła bujne życie towarzyskie. Do kuzynki Harriet i kuzyna Marka przychodziły tłumy znajomych. Wszystko odbywało się wesoło, ale spokojnie, chociaż w hipisowskich czasach bywało różnie, jak wiadomo... Dziewczyny w mini i długich włosach, kuzyn Mark cytujący „Czerwoną książeczkę" Mao – do dziś mu to wypominam, ale nie lubi słuchać.

Wtedy w Londynie pierwszy raz zetknęłam się z nieznanymi w Polsce daniami. Progresywna ciocia Molly dobrze gotowała i na szczęście nie przepadała za kidney pie (placek z cynaderek, brytyjska specjalność). Na lunch podawała zieloną sałatę z pomidorami, ogórkami, oliwkami, jajkiem na twardo, szparagami, wszystko polane sosem winegret. Czegoś takiego w Milanówku nie znałam. W czasach późnego Gomułki oliwa, oliwki, cytryny, ocet winny były w Polsce nie tyle nie do zdobycia, ile nie do pomyślenia. Królowała sałata ze śmietaną – wtedy w moich oczach szczyt banału. Nie przypuszczałam, że 50 lat później stanie się egzotyczną ciekawostką.

Któregoś dnia przed dom na Denver Street zajechał rowerem chłopak z włoskiej knajpy na Kings Road i z dużego pudła wydobył placek o średnicy chyba 40 cm. Znad czerwonawej warstwy pomidorów i sera wynurzały się oliwki i zielone główki czegoś, czego nie znałam. To była premiera pizzy i kaparów w moim życiu.

Kilka lat później, gdy miałam już własny dom w Warszawie (to już środkowy Gierek), postanowiłam gości zaskoczyć. Pizza home made miała być clou przyjęcia na parę osób. Rzeczywiście zaskoczenie było, niekoniecznie takie, jakiego oczekiwałam. Placek gruby i twardy jak kość, na nim plasterki kiełbasy krakowskiej posypane serem tylżyckim czy jakimś takim, jedynym dostępnym w sklepie przy Czarnomorskiej. Jednym słowem: świństwo. Obecni na tej kolacji wypominają mi tę pseudopizzę do dziś, jak ja Markowi „Czerwoną książeczkę". ©℗

eprasa.pl 612cf85725



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O faszystach w Weronie

W uroczym mieście z cudownym amfiteatrem i legendarnym balkonem domu Capulettich decyzją postępowych władz miejskich w ramach rytualnej walki z faszyzmem każdy, kto chce skorzystać z przestrzeni i budynków publicznych, musi ściągnąć z Internetu formularz, wyjaśnić w nim, co chce zrobić, gdzie, kiedy i dlaczego, a następnie podpisać deklarację następującej treści: „Uznaję fundamentalne zasady włoskiej Konstytucji i Statutu Miejskiego, odrzucam faszyzm i wszelkie formy totalitaryzmu. Potępiam stosowanie przemocy". Nazwali to „klauzulą antyfaszystowską".

Rzekomo stała za tym idea, aby organizacje i stowarzyszenia nawiązujące słowem, gestem czy symbolem do czasów Mussoliniego nie organizowały swoich wieców, spotkań czy akcji propagandowych w mieście. Sęk w tym, że takich oszołomów jest w Italii bardzo niewielu. Praktycznie gatunek wymarł. Tyle że – zdaniem włoskiej lewicy premier Meloni – jej partia Bracia Włosi, podobnie jak Liga wicepremiera Salviniego, to faszyści pełną gębą, których celem jest wprowadzenie faszystowskiej dyktatury. Powstało na ten temat wiele książek, a jedna, „Szamanka Meloni" Massima Gianniniego (były naczelny superlewicowej „La Stampa" i wicenaczelny zideologizowanej „La Repubblica"), zrobiła furorę na niedawnym kiermaszu książek w Turynie. „Walczymy z faszyzmem" to obecnie główne, jeśli nie jedyne hasło lewicowej propagandy. Oczywiście o tym, kto jest faszystą, a kto nie, decydują postępowcy. Wyobraźcie sobie nośność takiego komunikatu: „Władze Werony nie wyrażają zgody na wiec wyborczy Giorgii Meloni, bo nie odcięła się od faszyzmu".

Słowem – klauzula to nic innego jak chytra, obraźliwa prowokacja i poniżająca próba zmuszenia ludzi, w tym politycznych adwersarzy, do podpisania oświadczenia o tym, że nie są wielbłądami. ©℗



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Ukraińskie dekameronki

Zatrwożyła mnie skala wysypu ukraińskich i proukraińskich treści w Internecie w związku z kryzysem spowodowanym decyzją prezydenta Zełenskiego o nadaniu jednej z jednostek wojskowych imienia bohaterów UPA. Widać, że takie rzeczy wyłażą spod internetowego kamienia w pełnej skali właśnie w okresach przesilenia.

Muszę przyznać, że wątki się mieszają w sposób często przeczący narracyjnie sobie, co oznacza, że sprawa jest zarządzana sieciocentrycznie. No bo jak pogodzić jednoczesny wyrzut, że Ukraina walczy za Polskę (a my tu wymachujemy jakimiś „starymi trupami", jak raczyła sprawę określić pewna lewa posłanka), z opublikowanymi obok tego wynikami preferencji Ukraińców, że jeśli już, to Ukraina będzie bronić Polski w przypadku ataku Putina jako kraju ostatniego na liście przyjaciół? No, jakoś się to nie zgadza.

Króluje symetryzm, a właściwie symetryzm porównawczy. A to się wytyka, że Armia Krajowa robiła przecież to samo (to samo?!) Ukraińcom, kiedy ci walczyli o „wolną Ukrainę", a to – powtarzając za polskim konsulem (sic!) – że „każde państwo ma prawo do interpretacji swojej historii". Dobrze, że chyba tego Niemcy nie czytali, bo inaczej zobaczylibyśmy podobne wykwity „pamięci historycznej" za naszą drugą granicą. W końcu nawet pojawił się zarzut, że co my się czepiamy, kiedy polski Czarniecki tak samo (tak samo?!) wyrzynał powstanie kozackie, nie szczędząc kobiet i dzieci. A więc my – Ukraińcy – zdejmiemy swych krwiożerczych patronów ze swych ulic i placów, jak wy – Polacy – wyrzucicie Czarnieckiego ludobójcę z hymnu polskiego. Taki to symetryzm.

W ogóle to komunikuję, że my z tym hymnem naszym to pecha mamy. Występują w nim dwa nazwiska i każde nie podoba się konkretnym nacjom. Ja z zaskoczeniem skonstatowałem, że nasza admiracja do takiego Napoleona, umieszczona przecież w „Mazurku Dąbrowskiego", to policzek dla takich Portugalczyków. I tak mijać się mają prawdy narodów co do rozdziału win.

Ja pisałem, że tak będzie. Ukraińcy robią numery, które nas antagonizują, by zaraz potem wskazywać, że antagonizmy są na rękę Moskwie. Przypomina mi to pewną anegdotę.

Przychodzi pacjent do lekarza i do niego mówi: Panie doktorze – jak tu się dotknę w prawe kolano, to mnie boli. Na to doktor: niech się więc pan nie dotyka. 250 zł proszę.

Taką samą mam radę dla kolegów Ukraińców. Proszę się więc nie dotykać. Nie zaczynać, by potem pokazywać, że to na rękę Putina i że nasze pretensje to narracja moskiewska. I 250 zł proszę, które przeznaczę na zrzutkę na drona. Może trafi w jakiegoś Jermaka… ©℗

eprasa.pl 612cf85725



SPODE ŁBA

Zełenskiemu pokazać figę!

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

Burzę patriotycznych emocji wywołała w Polsce decyzja Wołodymyra Zełenskiego, nadająca jednej z ukraińskich jednostek wojskowych nazwę „Bohaterów UPA". Oburzenie wyraził prezydent Karol Nawrocki. Zapowiedział on nawet złożenie wniosku o odebranie ukraińskiemu prezydentowi Orderu Orła Białego. Liczni politycy PiS odnieśli się do tego pomysłu z entuzjazmem. Sprawiają oni wrażenie, jakby nowiny o promowaniu na Ukrainie kultu UPA spadły na nich „jak grom z jasnego nieba", a ostatnie lata przespali w tatrzańskiej jaskini, obok rycerzy Łokietka. „Ludzie, którzy dzisiaj siedzą na swoich stołkach, często – jak wiemy – również okradają swój naród ukraiński korupcją na niebywałą skalę, ci ludzie dzisiaj nadają jednostkom wojskowym imię bohaterów UPA. To jest, proszę państwa, tak, jakby Niemcy w ramach pojednania polsko-niemieckiego nadali swojej jednostce wojskowej, najlepiej jeszcze gdzieś blisko granicy z Polską, imię NSDAP [...] albo bohaterów III Rzeszy, albo SS. Przecież to jest niebywałe" – zagrzmiał Przemysław Czarnek. Jednoczesne wybuchanie oburzeniem „na gwizdek" nikogo w partiach wodzowskich nie dziwi. Podobieństwo używanych argumentów podobnie. „Przepraszam, jakby ktoś w Niemczech stwierdził, że nazwie jednostkę Bundeswehry imieniem SS albo NSDAP, to co, to byśmy mówili, że to są różne perspektywy postrzegania historii?" – pyta były wiceminister spraw zagranicznych Paweł Jabłoński. Niedawno entuzjastyczny zwolennik wspierania władz ukraińskich oskarża dziś prezydenta Zełenskiego o „świadome promowanie i wychwalanie ludobójców".

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



Na tle ogarniętych amnezją i skrajną hipokryzją kolegów wyróżnia się Jacek Sasin. „Już czarno-czerwone sztandary są przekroczeniem granic. No proszę sobie wyobrazić, że teraz w Niemczech są wywieszane flagi hitlerowskie ze swastyką. To jest porównywalne". Jedynie w jego ustach pojawiła się nuta samokrytyki. „Zbyt długo tolerowaliśmy to, co się dzieje w tym zakresie z UPA na Ukrainie, zbyt długo uznawaliśmy, że Ukraina, która walczy z rosyjską agresją, potrzebuje jakiejś wyrozumiałości" – przyznał poseł PiS.

Trudno się z jego refleksją nie zgodzić. Oto co w lipcu roku 2023 mówił w Telewizji Republika prezes IPN, dr Karol Nawrocki. „Uważam, że swoich bohaterów Ukraińcy mają prawo wybierać sobie sami, nawet jeśli dla nich bohaterem jest Stepan Bandera czy Roman Szuchewycz. Polacy nie będą wybierać patronów ukraińskich ulic. To jest rzecz, do której jako prezes Instytutu Pamięci Narodowej w Polsce nie roszczę sobie żadnych pretensji. Natomiast nie jest dla mnie zrozumiały brak możliwości pochowania polskich ofiar" – twierdził Karol Nawrocki. „Mamy prawo oczekiwać od naszego sojusznika, któremu pomagamy w tej straszliwej wojnie, że będziemy mogli pochować nasze kobiety i dzieci" – dodał ówczesny prezes IPN.

Zwróćmy uwagę na to, że cywilizowanego pochówku „naszych kobiet i dzieci" prezes IPN nie domagał się i nie żądał – a jedynie „miał prawo go oczekiwać". Czy „prawa do oczekiwania" ktoś nas dzisiaj pozbawił? Nazywanie ukraińskich ulic i szkół imionami Bandery i Szuchewycza już w roku 2023 było dla dyrektora IPN dziejącą się, na naszych oczach, oczywistością. Jakim więc cudem nie wiedzieli o tym procederze ani uczony prof. Czarnek, ani bywały w świecie minister Jabłoński? Dzisiejsze ich przebudzenie wydaje się zwykłym pajacowaniem. Pustymi gestami próbują oni przykryć bankructwo własnej polityki wobec Ukrainy. Wyborców swoich mają, jak zwykle, za głupców. Jeśli miliony Polaków były w stanie uwierzyć, że Mateusz Morawiecki nie miał nic wspólnego ani z Zielonym Ładem, ani z kamieniami milowymi KPO, to dlaczego nie próbować im wmówić, że PiS „zawsze sprzeciwiał się kultowi Bandery"? Na wygłaszanie wrogich ukraińskim nacjonalistom frazesów wyraziła zapewne zgodę ambasada USA. Słudzy Ukrainy postanowili skorzystać – następna taka okazja może się znów szybko nie trafić. ©℗

eprasa.pl 612cf85725



GRZEGORZ KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Lasciate ogni speranza!

W demokratycznych, wzorcowo europejskich i praworządnych Niemczech gloryfikuje się Prusy – państwo, które zbudowało swoją wielkość na zniszczeniu Polski. Król Prus Fryderyk II, zaprzysięgły wróg Polski i polskości, był fetowany za Odrą w 2012 r. z okazji 300-lecia jego urodzin. Hohenzollern był przedstawiany jako wielki modernizator, oświeceniowy król filozof. W 2016 r. rząd Angeli Merkel opublikował „Białą Księgę" dotyczącą strategii bezpieczeństwa RFN. Jako „wzorce wychowawcze" dla współczesnej Bundeswehry przedstawiano w niej reformatorów pruskiej armii po 1806 r. W tym gronie był gen. Carl von Clausewitz. Autor słynnego traktatu „O wojnie" porównywał nasz kraj do Tatarstanu. Nazywał Polskę „szmatą pozszywaną z kilku kawałków". Zreformowana armia pruska miała strzec nabytków terytorialnych Berlina poczynionych kosztem Polski od pierwszego rozbioru.

Krótko po pandemii w centrum Berlina zainaugurowało działalność „Forum Humboldtów", czyli odbudowany od fundamentów na mocy decyzji kolejnych rządów Bundesrepubliki królewski zamek Hohenzollernów. Zgromadzone tam zbiory biblioteczne czy ekspozycje muzealne mają przekonywać Niemców i turystów z zagranicy, że Hohenzollernowie nie zajmowali się niczym innym, jak gromadzeniem książek i kolekcjonowaniem obrazów. Wilhelm von Humboldt, reformator pruskiego systemu edukacji na początku XIX w., podzielał zdanie całej pruskiej elity o „kulturowej misji" Berlina na zabranych Polsce ziemiach.

Rosja putinowska systematycznie i coraz wyraźniej gloryfikuje Stalina i innych sowieckich ludobójców. Usprawiedliwia pakt Ribbentrop-Mołotow, chwali Jałtę, oskarża Polskę o układanie się z Hitlerem. Wielki, historiozoficzny „ruski mir" obejmuje i stawia na poczesnym miejscu takich wrogów Polski jak car Piotr I (osobisty bohater prezydenta Rosji) i feldmarszałek Suworow – autor rzezi Pragi w 1794 r. Powracając na krótko do wątku niemieckiego – ulubioną postacią historyczną kanclerz Angeli Merkel była urodzona w Szczecinie Katharina von Anhalt-Zerbst, lepiej znana jako caryca Katarzyna II – autorka wszystkich trzech rozbiorów Polski. Pierwszy wspólnie przeprowadziła z pruskim królem filozofem.

W pierwszych miesiącach wojny rosyjsko-ukraińskiej można było się łudzić, że Ukraińcy wreszcie mają kandydatów nieludobójców do swojego panteonu narodowego: obrońców Wyspy Wężowej czy lotniska w Hostomelu

Na Białorusi świętem państwowym obchodzonym jako „zjednoczenie ziem białoruskich" jest zabór ziem polskich dokonany przez Sowietów po 17 września 1939 r. Reżim Łukaszenki systematycznie niszczy polskie cmentarze wojenne, gdzie m.in. spoczywają żołnierze polskiego podziemia niepodległościowego z czasów drugiej wojny światowej.

Na Ukrainie systematycznie i coraz wyraźniej gloryfikuje się ludobójców z UPA oraz ich politycznych i intelektualnych patronów. Ostatnia decyzja prezydenta Ukrainy o nadaniu jednej z ważniejszych jednostek armii ukraińskiej miana „bohaterów UPA" jest tego spektakularnym, ale nie jedynym dowodem. Czekamy, gdy kolejna jednostka zostanie nazwana imieniem „bohaterów Waffen-SS Galizien".

W pierwszych miesiącach wojny rosyjsko-ukraińskiej można było się łudzić, że Ukraińcy wreszcie mają kandydatów nieludobójców do swojego panteonu narodowego: obrońców Wyspy Wężowej, lotniska w Hostomelu czy Bachmutu. Lasciate ogni speranza! W tym panteonie królować mają „bohaterowie UPA", autorzy okrutnego ludobójstwa (genocidum atrox) popełnionego na Polakach na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej.

Żyjemy w takich uwarunkowaniach czegoś, co można nazwać geopolityką pamięci historycznej. Od wschodu i zachodu otaczają nas odbrązawiacze Fryderyka II, Piotra I, Suworowa, Stalina, Bandery i Szuchewycza. W tym samym czasie trwa u nas rzeź podstaw programowych do nauczania historii w szkole, z ekspozycji muzealnych usuwa się naszych bohaterów, a tworzy się wystawy o „naszych chłopcach w Wehrmachcie", a minister odpowiedzialny za edukację w Polsce publicznie mówi z okazji kolejnej rocznicy wyzwolenia niemieckiego obozu w Auschwitz o „polskich nazistach budujących w czasie wojny obozy koncentracyjne".

Lasciate ogni speranza! To nie są przejęzyczenia i koincydencje. Ich konsekwencje będą straszliwe. „Naród bez historii wcześniej czy później staje się narodem bez ziemi" – jak mawiał bł. kard. Stefan Wyszyński. ©℗

eprasa.pl 612cf85725

TURBANY



FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Henry Nowak (18-letni Brytyjczyk o polskich korzeniach) został zadźgany nożem przez Turbana. Kim są Turbany? Turbany to wyznawcy sikhizmu – religii powstałej w XV w. w Indiach w prowincji Pendżab. Sikhizm to mieszanka islamu i hinduizmu. Sikhów nie lubi nikt – ani wyznawcy islamu, ani hinduiści. Sikhowie noszą turbany i uważają się za lepszych. Cała masa sikhów osiedliła się w Wielkiej Brytanii i tam też uważają się za lepszych. Natomiast obecny premier Wielkiej Brytanii uważa sikhów za lepszych od białych rdzennych Brytyjczyków.

Premier Wielkiej Brytanii, Keir Starmer, powiedział, że nie zlikwiduje specjalnego przywileju, na podstawie którego Turbanom w Wielkiej Brytanii wolno nosić rytualne noże do podrzynania gardeł i wypruwania flaków. Sikhom wolno nosić ceremonialne noże (o długości ostrza 21 cm), bo te noże są „ceremonialne", natomiast białym brytyjskim kobietom zabrania się nosić w torebce gazu łzawiącego.

Białe kobiety mogą być bezbronne i gwałcone. Turbany mają mieć możliwość zarżnięcia białego – tyle oznacza wypowiedź brytyjskiego premiera, gdy ją przetłumaczyć na język praktyczny.

***

Henry Nowak, brytyjsko-polskiego pochodzenia. Najstarszy z czworga rodzeństwa. Student na kierunku rachunkowość i finanse. Oceny celujące. Biała koszula. W wieczór morderstwa wracał do akademika z pubu, gdzie świętował ze znajomymi z drużyny piłkarskiej. Biała koszula. Poziom alkoholu we krwi poniżej limitu dla kierowców. Biała koszula.

Został zadźgany ceremonialnym nożem przez Turbana. Kilka pchnięć: dwa w tył nóg, jedno w twarz i śmiertelne w klatkę piersiową, czyli serce/płuca. Henry Nowak utonął we własnej krwi.

W chwili przybycia policji, Turban przedstawił się jako „ofiara napaści rasistowskiej", więc policja skuła umierającego Nowaka, ale nie skuła Turbana z ceremonialnym nożem w ręku. Nowak dziewięć razy mówił: „Zostałem dźgnięty nożem. Nie mogę oddychać". Zmarł skuty kajdankami, a policja broniła Turbana.

Turbany są już w Polsce, bo ich tu sprowadził PiS. Widziałem na własne oczy. Prowadzą Ubery, spacerują ulicami.

***

Czy niechęć do Turbanów to rasizm lub ksenofobia? Jest mi to absolutnie obojętne!

Mam prawo się bać Turbanów i ich ceremonialnych noży. Mam prawo się bać, mam prawo odczuwać niechęć, mam prawo do ksenofobii. Nikt ich nie lubi w Indiach, a zakładam, że w Indiach wiedzą o nich więcej niż ja. Z tego wynika, że mam ich prawo nie lubić w Polsce, posługując się mądrością kulturową Hindusów. Nie chcę Turbanów w Polsce, podobnie jak Hindusi nie chcą Turbanów w Indiach.

***

Turbany zadźgały na śmierć młodego Polaka. W sieci temat huczy od dawna, a w mediach klasycznych była bardzo długo cisza. Światowe agencje chciały to przemilczeć, bo Turbany są pod ochroną. W Polsce znalazłem tę informację po raz pierwszy dopiero tydzień temu w TV Trwam i była to ostatnia informacja w wieczornych wiadomościach. Sześć innych tematów było ważniejszych.

Młodzi redaktorzy nie są nauczeni oceniać, który temat jest WAŻNY, a który tylko głośny lub narzucający się. Narzucającym się tematem była nadchodząca rocznica objęcia rządów przez prezydenta Nawrockiego. Temat żaden – jedno wielkie nic. Rocznicy nawet jeszcze nie ma, ale oni już omawiają to na miejscu pierwszym w Polsacie, w Republice i w najbardziej szanowanej przeze mnie TV Trwam.

Redaktor posługujący się rozumem oraz sercem i sumieniem dobiera tematy inaczej i inaczej ustawia ich kolejność. Rocznica objęcia urzędu przez Nawrockiego jest w tym tygodniu kompletnie BEZ ZNACZENIA. I w przyszłym tygodniu też będzie bez znaczenia i będzie nadal bez znaczenia w tygodniu, w którym wypadnie ta rocznica. Bo to tylko rocznica, a nie wydarzenie. Gdyby to była kolejna rocznica niezałatwionej sprawy Wołynia, wówczas to powinien być materiał numer jeden we wszystkich telewizjach.

***

Tematem numer dwa zarówno w Polsacie, jak i w TV Trwam były in vitro i aborcja.

Czy to są naprawdę „Informacje dnia"? Czy to są naprawdę „Wydarzenia" dnia?

Moim zdaniem szum informacyjny, a nie żadne „wydarzenie dnia". Dobry redaktor potrafi znaleźć rzecz najważniejszą, a nie tylko najgłośniejszą lub najbardziej popularną, lub najczęściej powtarzaną… Dobry redaktor nie podaje ludziom tego, o czym ludzie sami gadają w autobusie. Dobry redaktor zwraca uwagę na to, co WAŻNE.

***

Redaktor stacji TV Trwam (którą bardzo cenię!) zdecydował, że ludziom w Polsce trzeba przez kilka minut opowiadać duperele na temat tego, że z okazji Dnia Dziecka do ogrodów prezydenckich zaproszono dzieci, ple, ple… Czy to jest na tyle ważne, aby całej Polsce zawracać głowę? NIE. Redaktor zawalił!

Redaktor stacji Polsat (która bywa niezła, jeśli chodzi o obiektywne informacje) zdecydował, że ludziom w Polsce trzeba przez kilka minut opowiadać o warszawskim adwokacie, który podszywał się pod najwyższych urzędników państwa. Czy to było ważne na tyle, aby całej Polsce zawracać głowę takimi duperelami pasującymi do audycji porannej o przykładowym tytule „Kronika kryminalna"? NIE. Redaktor zawalił!

Redaktor TV Republika zdecydował, że najważniejszą informacją dnia jest to, że ponad 60 proc. Polaków pozytywnie ocenia działalność pierwszej damy RP. Ojojoj…

Potem było o tym, że TVP to kłamczuchy i manipulatory.

Potem było o atakach Żurka na dziennikarzy Republiki. Czy to jest temat do głównego wydania? Moim zdaniem do telewizji śniadaniowej raczej.

Potem było i potem było, i potem jeszcze było, ale najważniejsze jest, że nie było NIC na temat chłopaka o imieniu i nazwisku Henry Nowak, którego Turban dźgał na śmierć, a policja nie skuła Turbana i nie ratowała Nowaka, gdy ten tonął we własnej krwi.

Takie same Turbany widać na Uberach w Polsce.

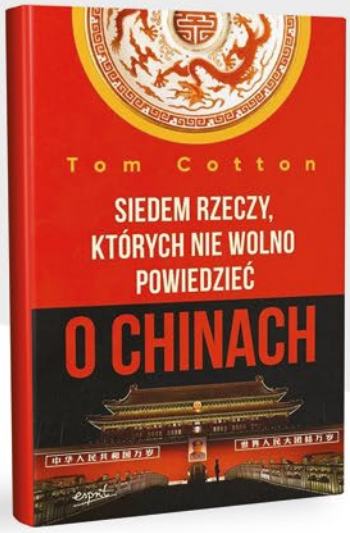
Takie same Turbany już są na naszym terenie i nikt ich nie deportuje. Podaję to Państwu jako ważną informację dnia. Reszta to szum. ©℗

eprasa.pl 612cf85725

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

TOM COTTON: „SIEDEM RZECZY, KTÓRYCH NIE WOLNO POWIEDZIEĆ O CHINACH”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~591~~ ZŁ

292,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 299 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 612cf85725

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl 612cf85725